

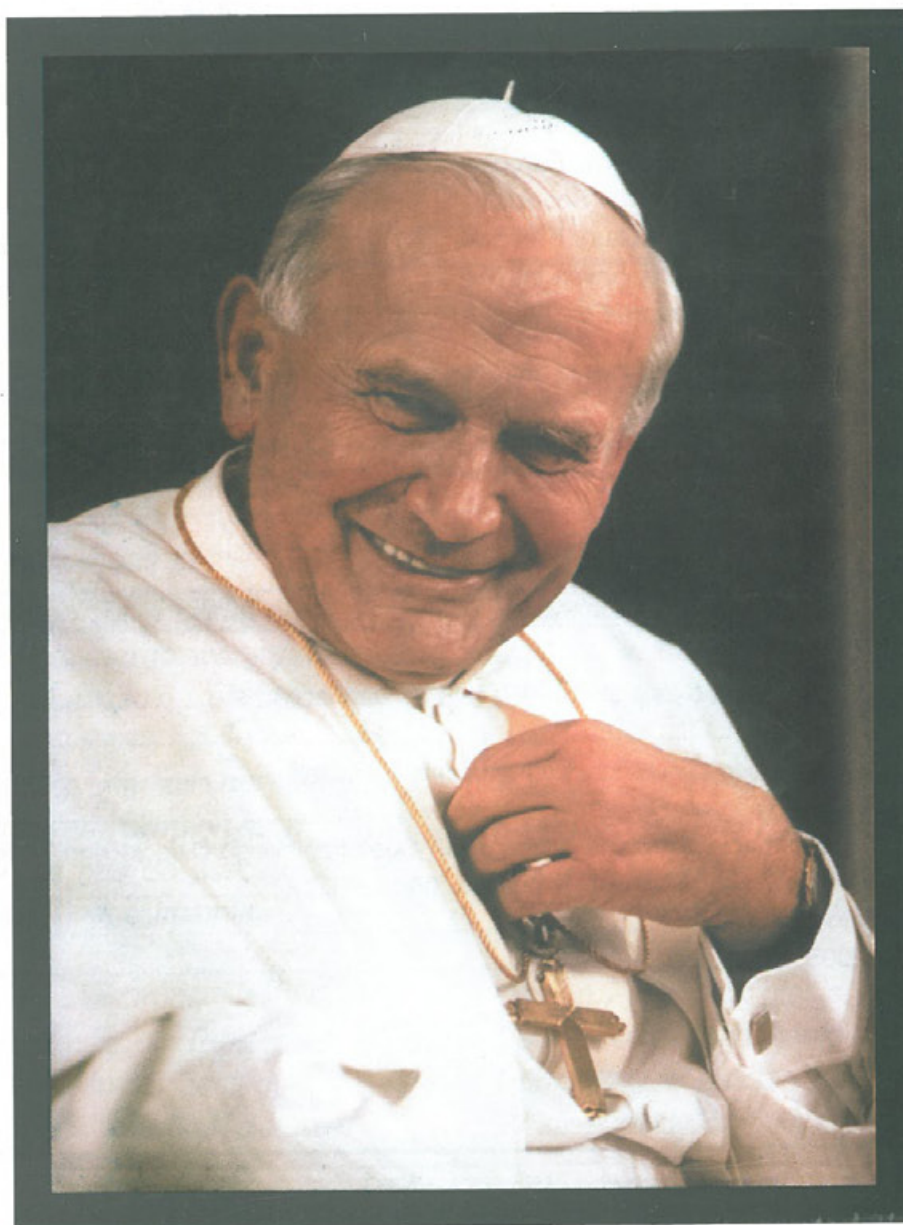


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC-KWIECIEŃ 2(85) 2005

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH • WROCŁAW



Takim zapamiętamy naszego Papieża Jana Pawła II,
który 2 kwietnia 2005 roku odszedł do Domu Ojca...

Spis treści

Zdzisław Kuhl – Epitafium na śmierć Karola Wojtyły, Polaka Ojca Świętego Jana Pawła II – wiersz	1
Danuta Nespiak – Wielkość, świętość i milczenie Jana Pawła II	2
Czesław Miłosz – wiersz-Oda na 80 urodziny Jana Pawła II	4
Iwo Werschler – Gorzkie zwycięstwo	5
Jan Woźniak – Mojego dziadka drogi do Polski (II)	7
Aleksander Smoliński – „Bez ognia i miecza” (II)	9
Jarosław Tadeusz Leszczyński – W bojkowskich wsiach Bieszczadów Wschodnich	13
Władysław Stążka – Moja droga do medycyny i zawodu lekarza (I)	16
Tadeusz Ulrych – Tadek: życiorys (I)	20
Jadwiga Niedzielska – Lwowskie wspomnienia szkolne	23
Mariusz Oberc – Tragiczna Wielkanoc 1944	27
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	29
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Alicja Zbyryt – Jest takie miasto, co zwie się Lwów, znów wolno o nim dziś pamiętać... ..	33
Alicja Zbyryt – Kresowe rymy	35
Piotr Franków – Gorzowskie obchody 65. rocznicy deportacji Polaków z Kresów Wschodnich w głąb ZSRR	36
Jan Arski – Oplatek i wybory w piłskim Oddziale	36
Stanisław Czerkas – Rola wybitnych Polek w Europie Zachodniej	37
Zbigniew Abram – 60-lecie Obertyniaków w Sobocisku	37
Zbigniew Umański – IV Legnickie Dni Kultury Kresowej	38
Maria Janowska – Wspomnienia z dzieciennych lat (I)	41
Alfons Soczyński – Krzemieniec (Przedruk z: „Akcent Polski” nr 1/2005)	44
Z ZAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Ernest Banach, syn ziemi podolskiej	46
Śp. Jadwiga Hanel (1929-2005)	47
Śp. Kazimierz Kołodziej (1936-2005)	47
Śp. Waclaw Jerzy Mańkowski	48
Śp. Kajetan Petrowicz (1894-1975)	48
Stanisław Leszczyński – Wspomnienie o Przyjacielu	48
Śp. Leopold Świdorski (1929-2004)	50
NOWE KSIĄŻKI	
Mirosław Skonieczko – Informacja o książce pt. „Wesele na bagnach”	50
Jerzy Duda – Lektury kresowe	50
Regulamin II Konkursu Literackiego „Kresowe Wspomnienia Podolan”	51
Alfred Janicki – VII Festiwal „Wielkie Bałakanie”	52
Janusz Ragankiewicz – Informacja o zmianie terminu XIII Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej „TA JOJ!” – Leszno '05	52
Gdzie kupić „Semper Fidelis”	53
Errata do nr. 1 (84) / 2005	53

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631
Nowe konto:

Materialów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Pogrążeni w głębokim smutku i żalu żegnaliśmy Papieża-Pielgrzyma

JANA PAWŁA II

Wielkiego Człowieka i Wielkiego Polaka.

Był ojcem duchowym i autorytetem moralnym dla lwowian i kresowian tam i tu obecnie żyjących. Jesteśmy szczególnie Mu wdzięczni za odwiedzenie w czasie papieskiej pielgrzymki na Ukrainę Lwowa – grodu „Semper Fidelis”, spotkanie się tam z rodakami na wspólnej Mszy św.

i błogosławieństwo Boże. Rodakom dodał duchowej otuchy i siły do trwania w wierze Ojców i polskości.

Jego zrozumienie i wielkie serce dla skrzywdzonych przez historię i los pozostaną na zawsze w naszej pamięci.

Żegnaj Nieodżałowany Ojciec Święty!

Niech Ci ziemia włoska lekką będzie.

Członkowie i Zarząd Główny
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Wrocław, 2 kwietnia 2005 r.

Epitafium na śmierć Karola Wojtyły, Polaka Ojca Świętego Jana Pawła II

*Dla nas drogi Ojciec umarłeś za wcześniej.
Wypaliło się Twego życia ognisko.
Daleś z siebie Polakom to wszystko,
Co najdroższe, Twe nauki i pieśni.*

*Już na Twojej twarzy uśmiech nie zagości,
Umęczonej sygnałem cierpienia.
Dziś odszedłeś od nas do wieczności.
Został tylko ślad Twego imienia.*

*Papieżu Janie Pawle Drugi,
Cały świat dziś płacze po Tobie.
Doceniając Twego ducha zasługi.
Polska pogrążona w smutku i żałobie.*

*Polska cała hołd Ci swój oddaje.
Obudziłeś dumę w sercach swych rodaków.
W stu pielgrzymkach odwiedzałeś kraje.
Tyś największy ze wszystkich Polaków.*

*Wskazałeś nam drogę do nieba,
Po miłości zagmatwanych ścieżkach.
Dziś już w domu Twego Ojca mieszkasz.
Twego wsparcia u Niego nam trzeba.*

*Bóg Cię złączył z Twojej miłości matką,
Której w życiu cały się oddałeś.
To oddanie przyszło Ci tak łatwo,
Choć w swym życiu tyle wycierpiałeś.*

*Dzwon Zygmunta niesie smutny ton,
I swój ból nam żałośnie wydzwaniania.
Pogrążony w żałobie nasz dom.
W kir spowity oznaką rozstania.*

Zdzisław Kuhl

Danuta Nespiak

Wielkość, świętość i milczenie Jana Pawła II



Fot. Archiwum

Ojciec Święty Jan Paweł II i Arcybiskup Metropolita Lwowski Marian kard. Jaworski

Październik roku 1978 przyniósł Kościołowi katolickiemu 264 następcę Piotra, biskupa Rzymu, a świat ówczesny nie mógł wtedy przewidywać, że 58-letni metropolita krakowski kardynał Karol Wojtyła będzie największym moralnym autorytetem, jednoznacznym „znakiem sprzeciwu” wobec relatywizmu etycznego cywilizacji XX wieku, głosząc na wszystkich kontynentach świętość małżeństwa, fundamentalną wartość rodziny, wolność religijną oraz broniąc prawa do życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci człowieka. Głosząc tak trudne przesłania, zwłaszcza dla społeczeństwa zachodniej Europy, którego filozofia życia przekreśla dekalog, gromadził jednocześnie setki tysięcy młodzieży, wtedy kiedy był coraz starszy i słabszy fizycznie, co stanowiło zupełny kontrast z kipiącą młodością zalewającą pola i stadiony Europy i Ameryki.

Fenomen tego pontyfikatu wielu teologów, filozofów i historyków religii będzie jeszcze długo „rozgryzać”. Jego styl pasterzowania nie przypominał zupełnie stylu jego poprzedników, nawet tych błogosławionych, jak dobry papież Jan XXIII.

Jan Paweł II był w swoim głoszeniu Ewangelii „nadnarodowy” i uniwersalny, a jednocześnie w każdym państwie dużym i ważnym, małym i biednym, wyrażał szacunek dla ich kultury i tożsamości narodowej.

Polska była domem dla Jana Pawła II w „sposób w jaki nie może nim być żadne inne miejsce, nawet po ponad dwudziestu latach spędzonych w Rzymie” – napisał wybitny amerykański filozof i teolog George Weigl (zob. „Świadek nadziei. Biografia Jana Pawła II”. Kraków 2000 r., s. 7). Już 4 dni po swoim wyborze na papieża 20 października 1978 r., gdy przyjmował korpus dyplomatyczny akredytowany przy Stolicy Apostolskiej, powiedział do tego dostojnego grona, że tragiczna często historia Polski nauczyła go szanować specyficzne wartości każdego narodu i ludu, jego tradycję i prawa wśród innych narodów. Warto przypomnieć Jego słynne przemówienie w siedzibie UNESCO w Paryżu 2 czerwca 1980 r.: „Jestem synem narodu, który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć, a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność, nie biorąc za podstawę przetrwania jakichkolwiek środków fizycznej potęgi, jak tylko własną kulturę, która się okazała w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg.” (zob. Jan Paweł II. „Pamięć i tożsamość”. Kraków 2005 r., s. 89).

Dla nas był bardzo polskim papieżem, który kochając Polskę najbardziej kochał w niej Kraków. W tym mieście w czasie swojej pielgrzymki do



Fot. Arturo Mari

Autorka na audiencji u Ojca Świętego Jana Pawła II. Watykan, czerwiec 1986 r.

Ojczyzny w czerwcu 1987 r. na błoniach krakowskich powiedział, że przyjechał „do mojego Krakowa, miasta mojego życia, miasta naszych dziejów” (zob. G. Weigel, jw., s. 689).

Szanując wielkość i świętość Jana Pawła II trzeba zrozumieć, że taką samą miłością nie mógł kochać Lwowa i Wilna, bo się tam nie urodził, nie chodził do szkół, ani nie zdawał matury, a jego formację duchową i intelektualną jako młodego kapłana nie kształtowało seminarium lwowskie. Ale tego ducha Lwowa w biografii Jana Pawła II trochę było. Oto przykłady: 9 sierpnia 1987 r. papież wysłał z Castel Gandolfo list do biskupa Mariana Jaworskiego, który wówczas był administratorem apostolskim Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie. W liście tym Jan Paweł II napisał: „Minęła w dniu 15 czerwca dwudziestopięcioletnia rocznica śmierci śp. Arcybiskupa Eugeniusza Baziaka Metropolity Lwowskiego. Opatrzność Boża zrzędziła, iż byłem bardzo blisko związany z osobą Zmarłego. Z jego ręki otrzymałem sakrę biskupią w katedrze na Wawelu w dniu 28 września 1958 r. i aż do śmierci byłem jego najbliższym współpracownikiem w biskupim posługiwaniu Kościołowi krakowskiemu, któremu zmarły Metropolita Lwowski opatrnościowo pasterzował w latach 1951-1962. Jestem świadom tego jak wiele Mu zawdzięczam.” (cytat z Wydawnictwa Kurii Archidiecezjalnej w Lubaczowie pt. „Arcypasterz”, 1987r., s.1).

W Lubaczowie, na tym skrawku przedwojennej archidiecezji lwowskiej, Jan Paweł II jeszcze przed swoim wyborem na papieża był kilkakrotnie np. z okazji 25-lecia sakry biskupiej Eugeniusza Baziaka Metropolity-wygnańca. Jako papież 3 czerwca 1991 r. na błoniach pod Lubaczowem odprawił mszę św. i wygłosił homilię dla tysięcy wiernych po obu stronach wschodniej granicy, ale przedtem modlił się przed cudownym obrazem Matki Bożej Łaskawej z katedry lwowskiej.

W roku 1975 wypadła 600-lecie powstania drugiej po gnieźnieńskiej najstarszej metropolii w Polsce – metropolii halicko-lwowskiej obrządku

łacińskiego na mocy bulli papieża Grzegorza XI z 13 lutego 1375 roku. Centralne uroczystości odbyły się na Jasnej Górze w Częstochowie. Specjalne orędzie wraz z cennym kielichem mszalnym przesłał papież Paweł VI, a uroczystej koncelebrowanej mszy św. przewodził arcybiskup krakowski kardynał Karol Wojtyła. Natomiast homilię wygłosił wówczas prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Padły w niej wtedy takie jednoznaczne stwierdzenia: „Tak wiele mówi się dziś o ekumenii. Ale swoistym wyrazem jej było to co przeżywało Miasto zawsze wierne. Był to dowód głębokiego ducha chrześcijańskiego, a zarazem kultury duchowej narodów i umiejętności życia i współpracy... To niezwykle bogactwo kultury współżyjących ze sobą ludów i kultury współdziałających ze sobą obrządków religijnych stanowiło o tym, że Miasto zawsze wierne było wyjątkowym przykładem ekumenii i umiejętności chrześcijańskiego życia i współżycia.” (zob. „Studia Luboczoziensia”, Lubaczów 1983 r., s. 162). Z ekumenicznym chrześcijańskim przesłaniem przyjechał Jan Paweł II w czerwcu 2001 r. do „Miasta zawsze wiernego” – do Lwowa – w czasie swojej pamiętnej pielgrzymki, w której odwiedził również Kijów. Zobaczył Lwów chyba po raz pierwszy i niestety ostatni raz w swoim życiu. Beatyfikował wówczas w tym mieście arcybiskupa metropolitę lwowskiego Józefa Bilczewskiego, ks. Zygmunta Gorzdzowskiego oraz 28 męczenników za wiarę obrządku greckokatolickiego. W homilii wygłoszonej na hipodromie lwowskim 26 czerwca w języku polskim dla wiernych obrządku rzymskokatolickiego (bo podczas mszy beatyfikacyjnej nazajutrz w obrządku greckokatolickim homilię wygłosił po ukraińsku) znalazły się słowa, których głębię mogli odczytać tylko Polacy zza jałtańskiej granicy i my tu w Polsce. Oto one: „Wyplłyn na głębię lwowski Kościele łaciński. Pan z Tobą. Nie lękaj się trudności, które także dzisiaj stają na Twojej drodze... Śliczna Gwiazda miasta Lwowa niech będzie dla Was oparciem i niech przyniesie Wam pełnię łask. Lwowski Kościele łaciński – niech się wstawiają za Tobą wszyscy święci i święte, którzy wzbogacili Twoje dzieje.”. Ale słowa te miały swoje dopełnienie w milczeniu Jana Pawła II, który nie powiedział „Wyplłyn na głębię kościoła łacińskiego Polaków”. Taka refleksja nasuwa się, gdy przypomni się słowa homilii papieża skierowane do wiernych obrządku greckokatolickiego przy beatyfikacji ich męczenników: „To uroczyste stwierdzenie Chrystusa brzmi szczególnie wymownie dzisiaj, kiedy ogłaszamy błogosławionymi niektórych synów i córek tego chwalebego lwowskiego kościoła Ukraińców.”. I jeszcze było milczenie Jana Pawła II w homilii dla rzymskich katolików kryjące się pod treścią następujących słów: „Dzisiaj, gdy wielbimy Boga za to, że ci Jego śludzy okazali tak nieugiętą wierność Ewangelii, odczuwamy głęboką wewnętrzną potrzebę uznania różnych przejawów niewierności ewangelicznym nakazom, jakich nierzadko dopuszczali się chrześcijanie pochodzenia zarówno polskiego, jak i ukraińskiego

zamieszkujący te ziemie. Chrześcijanie obydwu narodów muszą iść razem w imię jedyne go Chrystusa ku jednemu Ojcu, prowadzeni przez tego samego Ducha, który jest źródłem i zasadą jedności... Dzisiaj arcybiskup Józef Bilczewski i jego towarzysz biskup Pelczar i arcybiskup Szeptycki wzywają was – trwajcie w jedności." (zob. cytaty z homilii za „Gazetą Lwowską” z 17 lipca 2001 r., s. 6 oraz z „Naszego Dziennika” z 28 czerwca 2001 r., s. 9).

Jan Paweł II był wielki w swoim wymiarze człowieka i świętym. On przebaczał wszystko i wszystkim, przebaczył swemu zamachowcowi Ali Agcy. W tej homilii wzywał do przebaczenia obie strony, polską i ukraińską, by to przebaczenie rozlało się, jak powiedziało „niczym dobroczynny balsam w każdym sercu”. Ale ci wszyscy Polacy, których rodziny wymordowano na Kresach – przebaczą, bo On o to prosił, tylko sprawcy nie powiedzieli nigdy „mea culpa”, więc Ty Ojczy Świąty, tam u Boga, wstaw się za nimi, by uznali swoją winę...

Jan Paweł II przemierzył Afrykę, Amerykę północną i południową, prawosławną Grecję i Rumunię, niewierną Francję, liberalną, uśmiercającą swoich starców i niepełnosprawne niemowlęta Holandię, witali go w Armenii i Azerbejdżanie, popłynął na dalekie wyspy Trynidad i Tobago – bo tam byli ludzie, którzy na niego czekali. Nigdy nie był na Kresach, nie widział zarośniętych pól wołyńskich, gdzie były kiedyś polskie wsie i kolonie, po których nie zostało nic oprócz polskich kości w ziemi. Gdyby Opatrzność zrzuciła, że Jan Paweł II urodziłby się w Buczaczu, Czortkowie, czy na Łyczakowie we Lwowie byłby tak samo Wielki i święty, przed którym klękali wielcy tego świata całując jego papieski pierścień. Ale może apelując do Polaków i Ukraińców o przebaczenie

i jedność obok błogosławionych Polaków Józefa Bilczewskiego i Józefa Pelczara dołączyłby do nich błogosławioną skromną Ukrainkę Josafatę Michalinę Hordaszewską, współzałożycielkę Służebnicz Marii Niepokalanej, która w duchu Ewangelii służyła ubogim, chorym, bezdomnym i która nie witała Niemców wkraczających do Lwowa w 1941 r., czym niestety zgrzeszył arcybiskup metropolita grekokatolicki hrabia Andrzej Szeptycki ogłaszając swój list pasterski, w którym napisał: „Zwycięską Niemiecką Armię, która już zajęła cały kraj, witamy z radością i wdzięcznością za oswobodzenie od wroga.” (tekst ukraiński: „Pobidonosnu Nimećku Armiju, szczo zaniała bże majże cityj kraj, witajemo z radistju i wdjacznistju za oswobodżenja wid woroha. Cytat z Wisti Stryjszczyny 18 tyjpnia 1941 r. Słowo Mytropolyta do Duchowenstwa i Wirnych Archijepatrii).

W zakończeniu swojej ostatniej książki „Pamięć i tożsamość” Jan Paweł II napisał: „Każde ludzkie cierpienie, każdy ból, każda słabość kryje w sobie obietnicę wyzwolenia... Odnosi się to do każdego cierpienia wywołanego przez zło. Odnosi się także do ogromnego zła społecznego i politycznego, jakie wstrząsa współczesnym światem i rozdziera go: zła wojen, zniewolenia jednostek i narodów, zła niesprawiedliwości społecznej, depantania godności ludzkiej, dyskryminacji rasowej i religijnej, zła przemocy, terroryzmu, tortur i zbrojeń – całe to cierpienie jest w świecie również po to żeby wyzwolić w nas miłość, ów hojny i bezinteresowny dar z własnego „ja” na rzecz tych, których dotyka cierpienie.”

To przesłanie jest dla nas wszystkich bez względu na narodowość, rasę i religię. Bądźmy wierni temu przesłaniu Wielkiemu i świętemu naszemu Rodakowi Janowi Pawłowi II. □

*Przychodzimy do Ciebie, ludzie słabej wiary,
Abyś nas umocnił przykładem swego życia
I oswobodził od niepokoju
O dzień i rok następny. Twój to wiek dwudziesty
Zasłynął nazwiskami potężnych tyranów
I obróceniem w nicość ich drapieżnych państw.
Że tak będzie, wiedziałeś. Uczyłeś nadziei:
Bo tylko Chrystus jest panem historii.*

*Cudzoziemcy nie zgadli, skąd ukryta siła
U kłeryka z Wadowic. Modlitwa, prorocstwo
Poetów nie uznanych przez postęp i pieniądź,
Choć królom byli równi, czekały na Ciebie,
Abyś za nich oznałmił urbi et orbi,
Że dzieje nie są zamęt, ale ład szeroki.*

*Pasterzu nam dany, kiedy odchodzą bogowie!
I we mgle nad miastami błyszczy Złoty Cielec.
Bezbronne tłumy biegną, składają ofiarę
Z własnych dzieci skrwawionym ekranom Molocha.
I lęk w powietrzu, niewymówiony lament:
Bo nie dosyć chcieć wierzyć, żeby móc uwierzyć.*

*I nagle jakby czysty dźwięk dzwonu na jutrznię,
Twój znak sprzeciwu podobny do cudu,
Żeby zapytywano: jakże to możliwe,
Że wielbią Ciebie młodzi z niewierzących krajów,
Gromadzą się na placach głowa przy głowie,
Czekając na nowinę sprzed lat dwóch tysięcy,
I przypadają do stóp Namiestnika,
Który miłością objął ludzkie plemię.
Jesteś z nami i odtąd zawsze będziesz z nami,
Kiedy odezwą się moce chaosu,
A posiadacze prawdy zamkną się w kościołach,
I jedynie wąpiący pozostaną wierni,
Twój portret w naszym domu co dzień nam przypomni,
Co może jeden człowiek, i jak działa świętość.*

Czesław Miłosz

Ten piękny wiersz to jest Oda na 80 urodziny Jana Pawła II.

Iwo Werschler Gorzkie zwycięstwo

Nastala wiosna. Szybkimi krokami zbliża się maj, a wraz z nim 60 rocznica zakończenia drugiej wojny światowej, największego konfliktu w dziejach ludzkości. Konfliktu, który wywarł wyjątkowy wpływ na losy narodu polskiego.

Władze rosyjskie organizując okazałą fetę z okazji „Dnia Zwycięstwa”, który od czasów sowieckich obchodzony jest 9 maja. Rosja świętować będzie tryumf swego oręża, chociaż odniesiony został pod czerwonym sztandarem, z godłem sierpa i młota.

W uroczystościach moskiewskich weźmie udział prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Społeczeństwo nasze jest podzielone, jeśli idzie o akceptację tego kroku. Przeciwnicy zwracają uwagę, że nie zostanie należycie uhonorowany wkład Polaków w zwycięstwo nad Niemcami, a rola Związku Sowieckiego w wojnie i po jej zakończeniu była dla Polski nie mniej fatalna niż rola Niemiec. Wobec różnych sądów i ocen pragnę przypomnieć fakty historyczne, o których warto pamiętać dyskusując nad trafnością lub nie, decyzji powziętej przez najwyższego przedstawiciela naszego państwa.

Geneza drugiej wojny światowej sięga zakończenia pierwszej. Traktat Wersalski, będący owocem konferencji pokojowej obradującej w Paryżu bez udziału Rosji, został podpisany przez Niemcy 28 czerwca 1919 r. Zarówno Niemcy jak i Rosja sowiecka od początku znalazły się w opozycji do porządku, który Traktat Wersalski ukształtował i sankcjonował.

Z pożogi pierwszej wojny wyłonilo się po prawie półtorawiekowej niewoli państwo polskie. Niepodległość wywalczyli Polacy zmagając się na równi z Niemcami – Powstania Wielkopolskie i Śląskie, jak i z Rosją – odparcie najazdu bolszewickiego. Znaczące poparcie w końcowej fazie wojny i podczas konferencji pokojowej otrzymaliśmy ze strony demokratycznych mocarstw zachodnich.

Konsekwencją takich rozstrzygnięć była antyzachodnia i antypolska polityka Niemiec i ZSRR, jaką niezależnie od różnych koniunkturalnych niuansów uprawiały te państwa przez cały okres międzywojenny. Współpraca Niemiec i Rosji sowieckiej została zapoczątkowana układem w Rapallo w 1922 r., którego istotę dobrze oddają słowa ówczesnego kanclerza J. Wirth'a, który usprawiedliwiając wobec oponentów zbliżenie do państwa komunistycznego powiedział, że „Polskę trzeba wykończyć (Polen muss erledigt werden)”. Słowa te wyrażały niewątpliwie intencje obu stron zawierających układ w Rapallo! Dalszym krokiem był sowieckoniemiecki traktat berliński z 1926 r. kładący podstawę pod kooperację militarną.

Dojście do władzy Hitlera zakłóciło na kilka lat przyjazne stosunki dwóch sąsiadów Polski. Niezorientowanemu obserwatorowi mogło się nawet wydawać, że różnice ideologiczne między hitleryzmem a komunizmem wykluczają wszelką współpracę. Moment ten usiłowała wykorzystać dyplomacja polska. Doszło do podpisania paktu o nieagresji z ZSRR (1932 r.) i deklaracji o niestosowaniu przemocy z Niemcami (1934 r.). Jednak Józef Piłsudski nie miał złudzeń i przewidywał, że dobre stosunki z Niemcami skończą się za cztery lata.

W latach 1935-1938 Hitler systematycznie zrzucał wszystkie ograniczenia, jakie na Niemcy nałożył Traktat Wersalski. Przywrócił w Niemczech powszechny obowiązek służby wojskowej, dokonał remilitaryzacji Nadrenii, anszlusu Austrii oraz zagarnął Sudety. Działania te ułatwiły mu Wielka Brytania i Francja, prowadząc osłabioną politykę „appeasement'u”.

W październiku 1938 r. Niemcy zaproponowały Polsce przedłużenie na 25 lat układu z 1934 r., domagając się w zamian zgody na włączenie do Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska, budowę eksterytorialnej linii kolejowej i autostrady przez polskie Pomorze dla połączenia z Prusami Wschodnimi oraz przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego. Propozycję tę, jak i coraz natarczywiej ponawiane później żądania, Polska odrzuciła. Minister J. Beck odpowiedział Niemcom, że Polska pakt o nieagresji z Rosją traktuje serio jako „rozwiązanie trwałe”.

Po wkroczeniu Wehrmachtu do Czechosłowacji (15 marca 1939 r.), zaniepokojona Anglia udzieliła Polsce „gwarancji”, a następnie oba państwa zawarły obustronne zobowiązanie. W odpowiedzi Hitler wypowiedział w Reichstagu deklarację o niestosowaniu przemocy z Polską. Wojna zbliżała się szybko.

Jej wybuch nie był jednak nieuchronny. Wiele zależało od polityki Stalina. Dyktator sowiecki z uwagą śledził przebieg wydarzeń. Rozwiązaniem, którego pragnął, byłby konflikt między Niemcami a demokracjami zachodnimi, do którego ZSRR włączyłby się w końcowej fazie i który, podobnie jak I wojna światowa, przyniósłby tryumf komunizmu, tym razem na obszarze Europy Zachodniej. Dlatego Stalin nie zamierzał przeszkadzać Hitlerowi. Przeciwnie, zrobił wszystko, aby do rozpoczęcia wojny go zachęcić. Kiedy po wypowiedzeniu przez Hitlera deklaracji z Polską J. Beck powiedział w Sejmie, iż Polacy nie znają pojęcia pokoju za wszelką cenę, a bezcenną rzeczą w życiu ludzi, narodów i państw jest jedynie honor, przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSRR Władimir Mołotow „złożył gorące gratulacje” ambasadorowi polskiemu w Moskwie podkreślając, że w przemówieniu Becka najbardziej podobał mu się fragment mówiący właśnie o honorze... Z inicjatywy Anglii i Francji rozpoczęły się w kwietniu 1939 r. rozmowy z Rosjanami, których celem, ze strony Zachodu, było powstrzymanie wojennych zapędów Hitlera. Rozmowy te zostały przerwane w sierpniu, gdy ku zaskoczeniu niemal wszystkich, Hitler zawarł ze Stalinem układ.

Tak zwany pakt Ribbentrop-Mołotow podpisany 23 sierpnia 1939 r. i zwany też paktem o nieagresji, okazał się w istocie zgodą i zachętą Stalina do rozpoczęcia wojny. Już w jego oficjalnym brzmieniu uderza to, że w przeciwieństwie do zawieranych dotąd przez Kreml podobnych układów nie znalazło się zastrzeżenie, iż jeśli jedna z umawiających się stron dokona napaści na inne państwo, druga ma prawo natychmiast umowę zerwać. Najistotniejszą treść krył jednak tajny protokół, w którym Niemcy i Związek Sowiecki umawiały się co do podziału ziem niepodległego jeszcze państwa polskiego i decydowania o losach Polski na przyszłość! Jest zatem rzeczą bezsporną, że do wojny doszło także z woli Rosji. Hitler nie odważyłby się napaść na Polskę, gdyby Rosja związała się z Zachodem układem o wzajemnej pomocy, a nawet gdyby samą

swoją postawą trzymała go w niepewności co czeka Niemcy ze strony ZSRR w razie inwazji na Polskę.

Przez pakt Ribbentrop-Mołotow Stalin rozproszył obawy Hitlera. Zapewnił, że na wschód od Polski Niemcy nie mają wroga, lecz przyjaciela.

Jakie intencje przyświecały Rosji w 1939 r. doskonale ilustruje exposé wygłoszone przez W. Mołotowa na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR 31 października 1939 r. Podkreślając na wstępie nastanie i pogłębianie przyjaznych stosunków między Związkiem Sowieckim a Niemcami, Mołotow z satysfakcją podkreślił, iż „wystarczyło krótkie uderzenie najpierw wojsk niemieckich, a następnie Czerwonej Armii, by nie pozostało nic po tym **pokracznym tworze** (urodliwego dietyszcza) **traktatu wersalskiego**”, jak pogardliwie i z nienawiścią nazwał państwo polskie. Dodał też, że o przywróceniu Polski „nie może być mowy”.

Stanowisko wobec wojny ujawnił Mołotow ustosunkowując się do wypowiedzenia wojny Niemcom przez Anglię i Francję (3 września 1939 r.). Anglicy oświadczyli, mówiąc Mołotow, że ich celem jest „zniszczenie hitleryzmu”. A zatem „ogłosili przeciw Niemcom coś w rodzaju wojny ideologicznej”. Wojnę tak porównał do wojen religijnych przeciw heretykom i dowodząc, iż ideologii nie można zlikwidować środkami militarnymi, politykę Anglii i Francji nazwał „nie tylko nonsensem, lecz również zbrodnią”.

Imperialistyczne cele Rosji widoczne są wyraźnie w stwierdzeniu Mołotowa, że po 17 września „do ZSRR przeszło terytorium o rozmiarach równych wielkiemu państwu europejskiemu”. Dziś wiadomo, że dzięki współpracy z Niemcami w 1940 r. Rosja powiększyła jeszcze swe terytorium o kraje bałtyckie i część Rumunii.

Tak więc aż do 22 czerwca 1941 r. Stalin stał wiernie u boku Hitlera, czerpiąc z tego wymierne korzyści. I gdyby nie zdradziecka istotnie napaść Niemiec na ZSRR, takim sojusznikiem pozostałby. Obludnie zatem brzmiały wszystkie zapewnienia, że właśnie Rosja walczyła najofiarniej z hitleryzmem i jej przede wszystkim należy się cześć i chwała z powodu zwycięstwa nad nim.

Oburzające są natomiast zarzuty jakie Stalin i jego spadkobiercy (niezależnie od barwy w jaką dzisiaj się stroją) formułowali i formułą wobec Polski.

To bowiem **Polska pierwsza odrzuciła żądania Hitlera**, których przyjęcie, jak można to dostrzec z perspektywy historycznej, mogło ją uchronić przed wieloma tragicznymi skutkami, a równocześnie przywieść katastrofę komunizmu już przed półwieczem.

Podczas wojny nie powstał żaden polski rząd kolarujący z Niemcami, jak miało to miejsce np. we Francji czy Norwegii. Przez całą wojnę naród polski pod kierunkiem jedyne legalnego rządu na wychodźstwie i krajowych władz Państwa Podziemnego prowadził z Niemcami walkę zbrojną i cywilną, a Armia Krajowa była najliczniejszą armią podziemną jaką powołał jakkolwiek okupowany kraj. Największym wkładem AK w walkę z okupantem niemieckim było Powstanie Warszawskie, którego upadek w tak tragicznych okolicznościach spowodował Stalin zatrzymując nad Wisłą ofensywę Armii Czerwonej i oczekując aż Niemcy unicestwią najsilniejszy ośrodek polskiej konspiracji, stolicę Państwa Podziemnego.

Wskutek wojny i okupacji, tylko niemieckiej, zginęło ponad 6 milionów obywateli polskich, a majątek narodowy uległ zagładzie w blisko 40%!

Równoległe z walką narodu na ziemi polskiej, na różnych frontach II wojny światowej walczyły polskie regularne siły zbrojne. W końcowej fazie wojny PSZ na Zachodzie liczyły około 190 tysięcy żołnierzy, a tzw. „ludowe” Wojsko Polskie osiągnęło cyfrę 400 tysięcy. Polska zatem znalazła się wśród pięciu państw, które dźwigały na sobie główny ciężar walki zbrojnej z hitlerowskimi Niemcami i ich sojusznikami.

A przecież bilans strat podany wcześniej nie obejmuje ofiar jakie naród polski poniósł wskutek polityki Związku Sowieckiego prowadzonej na ziemiach okupowanych w latach 1939-1941. Ofiar aresztowań, deportacji i bestialskich mordów, z morderstwem katyńskim na czele. Nie obejmuje także zbrodni popełnianych na Polakach w czasie tzw. „wyzwalania” Polski w latach 1944-1945.

Gdy żoldacy sowieccy dopuszczali się gwałtów, morderstw i rabunków na ludności cywilnej, funkcjonariusze NKWD tropili polityków i żołnierzy Podziemia. Wtedy to podstępnie i zdradziecko aresztowano 16 przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego i podczas procesu pokazowego w Moskwie, w czerwcu 1945 r., sąd państwa, które **wraz z Niemcami** napadło na Polskę w 1939 roku postawił oskarżonym absurdalny zarzut współpracy z Niemcami! Przy milczeniu sojuszników zachodnich wydano bezprawne wyroki. Gen. Leopold Okulicki – ostani Komendant Główny AK, Jan Stanisław Jankowski – Delegat Rządu oraz Stanisław Jasiukowicz – minister, nigdy nie wrócili do Ojczyzny. Zmarli w rosyjskim więzieniu. Jak by tego było mało, zapłaciliśmy jeszcze za naszą nieugiętą postawę dodatkową cenę. W wyniku decyzji mocarstw podjętej w Jałcie, Polska wyszła z wojny ze zmniejszonym terytorium, zmienionymi granicami i z władzą narzuconą przez mocą, wspartą na rosyjskiej sile i od Rosji zależną. W świadomości Polaków pozostało poczucie krzywdy. Martyrologii i bohaterstwa nie uwierzyły oczekiwane zwycięstwo. To zaś, które kazano nam świętować przez lata komunistycznych rządów, było, szczególnie dla ludzi z Kresów Wschodnich, gorzkim zwycięstwem.

Ludzie ci bowiem przez lata okupacji sowieckiej i niemieckiej utracili wielu bliskich, często wrócili z zsyłki na Sybir lub do Kazachstanu, a na ziemi będącej ich małą ojczyzną od wielu pokoleń, pozostawili całe swe mienie i groby swoich Zmarłych.

Jesteśmy dziedzicami tych „repatriantów”, sami byliśmy jednymi z nich. My tę gorycz zwycięstwa 1945 roku nadal odczuwamy. I dlatego trudno nam godzić się z myślą, że najwyższy reprezentant naszego państwa przez swą obecność na uroczystości, która nie może być naszym świętem, niejako w naszym imieniu wyrazi jej akceptację.

Tym bardziej, że organizatorzy nie chcą ani uznać wyrządzonych nam krzywd, ani uhonorować należycie wkładu polskiego oręża w pokonanie hitlerowskich Niemiec.

Doceniamy wartość dobrosąsiedzkich stosunków. Rozwijanie ich nie może jednak dokonywać się kosztem godności narodowej. Pamiętajmy te dramatyczne słowa, które wypowiedział Józef Beck – tragiczny polityk, lecz gorący patriota: „Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor.” □

Jan Woźniak

Mojego dziadka drogi do Polski (II)



Franciszek Woźniak ok. 1946 roku, zawiadowca III klasy PKP

Starszy ułan Franciszek Woźniak również powrócił ze swoim 6 Pułkiem Ułanów Kaniowskich do Małopolski Wschodniej. Zapewne nie da się już nigdy odtworzyć jego przygód wojennych. Odtworzony na podstawie dostępnej mi literatury opis szlaku bojowego 6 puł. pozwala zorientować się, gdzie mógł walczyć i jaką przebył drogę w ciągu tych dwóch wojen. Nie wiem czy był ranny lub odznaczony

za czyny bojowe. Zachowało się jedynie jego zdjęcie z 1921 roku w mundurze starszego ułana 6 puł, z przypiętą odznaką pułkową, nadawaną zasłużonym żołnierzom na wniosek dowódcy szwadronu. Odznaka Pułkowa była nagrodą za wzorową służbę. Zachował się również własnoręcznie pisany życiorys mojego dziadka z 1946 roku, w którym napisał że został zwolniony do cywila jako „inwalida 5 klasy C II”. Nie wiem co to znaczy, być może jest to efekt odniesionych ran lub kontuzji. Należy też pamiętać, że szeregi walczących wojsk w owych czasach bardziej niż rany i śmierć przereźdały choroby. Zachował się np. meldunek z 4 października 1920 roku „o dużym procencie przeziębień wśród żołnierzy, zwłaszcza grupy gen. Latinika, z braku odzieży, płaszczy i butów”.

Franciszek nie został od razu zwolniony z armii. Po zakończeniu wojen o odzyskanie i utrzymanie niepodległości II Rzeczypospolitej, pierwszoplanowym zadaniem Wojska Polskiego było przygotowanie jak największej liczby wyszkolonych rezerw ludzkich, na wypadek przyszłych konfliktów zbrojnych. Poczyniono starania o wyszkolenie odpowiedniej ilości podoficerów i oficerów rezerwy. Szczególnie promowani byli ochotnicy z czasów minionych walk, wykazujący się odpowiednim statusem szkolnym. Tym sposobem Franciszek Woźniak trafił do Szkoły Podchorążych zorganizowanej przy 6 Pułku Strzelców Podhalańskich w Stryju.

6 PSP. powstał na bazie 5 Pułku Strzelców Polskich armii gen. Józefa Hallera we Francji. Sformowany w grudniu 1918 roku, w połowie kwietnia 1919 roku przybył do Polski, do Hrubieszowa. Wziął udział w walkach z Ukraińcami na Wołyniu, a w II połowie 1919 roku został przeniesiony na Śląsk, gdzie ochraniał naszą granicę zachodnią zagrożoną przez Niemców. W lipcu 1919 roku utworzono dla 6 PSP. batalion zapasowy, ze stałym miejscem postoju w Stryju. We wrześniu 1919 roku, w ramach reorganizacji wojska polskiego, zmienio-

no nazwę pułku na 47 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych i nadając mu numerację krajową. Od stycznia do marca 1920 roku pułk stacjonował na Pomorzu. Wziął czynny udział w wojnie polsko-bolszewickiej, walcząc głównie na froncie północnym. Wziął udział w bitwie warszawskiej i w bitwie nad Niemnem. Po zakończeniu działań wojennych, w październiku 1920 roku cały pułk został przewieziony koleją do Stryja, miejsca jego pokojowej dyslokacji. W ramach przechodzenia wojska Polskiego na pokojowe struktury, 10 października 1921 roku 47 pp. został ponownie przemianowany na 6 Pułk Strzelców Podhalańskich Dywizji Górskiej. Początkowo cały 6 PSP. stacjonował w Stryju, gdzie warunki lokalowe w koszarach były bardzo trudne. Obok żołnierzy kwaterowali tu też niektórzy oficerowie i podoficerowie zawodowi z rodzinami. O wolne mieszkanie w Stryju w owym czasie było niezmiernie trudno. W 1930 roku 6 PSP. został przeniesiony do Sambora i częściowo do Drohobycza. Opuszczone koszary w Stryju zajął 53 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych, stacjonujący tu do wybuchu II wojny światowej.

Franciszek Woźniak odbył w Stryju przeszkolenie oficerskie i zdemobilizowany został ostatecznie 15 maja 1922 roku w stopniu podporucznika rezerwy ułanów. Rozpoczął się pokojowy okres jego dorosłego życia, zapewne najlepsze lata w jego życiu. Powrócił do pracy w PKP, rozpoczynając swą powojenną karierę zawodową w Niżniowie. Kończył kursy zawodowe, podnosił kwalifikacje i awansował. W 1924 roku został dyżurnym ruchu, w 1931 starszym asystentem, a w 1935 roku zawiadowcą stacji kolejowej w Niżniowie.

Przyszedł też wreszcie czas na ułożenie sobie życia osobistego. W Niżniowie poznał swoją przyszłą żonę Karolinę, jedną z córek Wojciecha Kopkowicza, burmistrza Niżniowa. Pobrali się 14 października 1924 roku. Rok później urodził się im jedyny syn Zdzisław – mój ojciec. W lipcu 1937 roku spotkał Franciszka Woźniaka kolejny awans. Został zawiadowcą III klasy (najwyższej) i objął stację kolejową w Kałuszu.

Jego ojciec Józef na pewno dumny był z osiągnięć syna – urzędnika kolejowego. Nie dość że kontynuował szanowany zawód kolejarza po ojcu, to jeszcze szybko awansował. Należy dodać, że w 20-leciu międzywojennym XX wieku w PKP promowano ludzi sprawdzonych, zasłużonych dla odzyskania niepodległości Polski, ochotników z lat 1918-1920. Józef Woźniak na pewno też już wybaczył dawno Franciszkowi ucieczkę z Doliny, z domu rodzinnego do wojska. Zmarł w 1938 roku i został pochowany we wsi rodzinnej Kobyłowluki w powiecie trembowelskim, obok kilku pokoleń swoich dziadów.

Franciszek i Karolina Woźniakowie mieszkali w Kałuszu i do wybuchu wojny w 1939 roku prowadzili spokojne i dostatnie życie, rozpoczęli budowę domu. Franciszek nie wziął udziału w kampanii wrześniowej. PKP były instytucją zmilitaryzowaną, pracującą w czasie wojny na rzecz wojska, zapewniającą dostawy oraz przezozy pododdziałów. Po wkroczeniu Rosjan 17 września

na kresy wschodnie II Rzeczypospolitej, Franciszek był zmuszony ukrywać się. Rosyjskie służby bezpieczeństwa NKWD interesowały się polskimi oficerami rezerwy, uczestnikami wojny z 1920 roku. Większość zamordowanych w Katyniu, Starobielsku, Ostaszkowie i Kozelsku to właśnie oficerowie rezerwy Wojska Polskiego, przedstawiciele polskiej inteligencji międzywojennej. Rodzinie Woźniaków udało się uniknąć sieci zarzuconej przez NKWD. Karolina z synem Zdzisławem wyjechali do Mikołajowa, gdzie zamieszkali w domu krewnych Łysiaków. Franciszek również wyjechał z Kałusza i podjął pracę robotnika kolejowego na stacji Berezowice-Ostrowiec koło Tarnopola. Nie wiem czy zmienił nazwisko – nie zachowały się takie informacje. Ale na pewno ta zmiana warunków pracy i miejsca zamieszkania miała na celu ukrycie się przed władzami sowieckimi. Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku do Małopolski Wschodniej, Franciszek nadal pracował w Berezowicach-Ostrowcu. Niemcy również zarządzili przymusową rejestrację polskich oficerów rezerwy. Należy pamiętać, że w latach niemieckiej okupacji na terenie Podola i Wołynia wzmogły bardzo działalność nacjonalistyczne organizacje ukraińskie jak OUN-UPA, współpracujące z Niemcami i mające zadawnione porachunki z Polakami. Powrót do Kałusza lub w rodzinne strony, gdzie był znany, narażał na zadencjonowanie przez niechętnych Franciszkowi ludzi.

Rodzinną ciekawostką jest to, że podobnie ułożyły się w tamtych czasach losy innego członka mojej rodziny. Józef Chamuczyński, wuj mojej mamy Marii z domu Koryniewicz – żony Zdzisława, również był kolejarem i przed II wojną światową zawiadowcą stacji kolejowej w Tarnopolu. Jeszcze wcześniej, w 1920 roku walczył z bolszewikami w pułku ułanów i był również podporucznikiem rezerwy. W czasie okupacji Tarnopola, najpierw sowieckiej, a następnie niemieckiej, zmuszony był ukrywać się. Osiadł właśnie w Kałuszu, gdzie pracował w warsztatach kolejowych. Józef Chamuczyński w czasie II wojny światowej działał w podziemiu kolejarskim.

Brak informacji na ten temat w powojennym życiorysie Franciszka Woźniaka. W powojennych latach 40-tych XX wieku o tych sprawach bezpieczniej było nie pisać. Czy znali się z Józefem Chamuczyńskim? Jest to wysoce prawdopodobne. Ale na pewno nie przypuszczali, że za kilka lat, w 1948 roku, syn jednego i bratanica drugiego spotkają się w odległych Gliwicach i założą rodzinę.

W 1943 i 1944 roku fala nacjonalistycznego ukraińskiego zagrożenia przybrała na sile. Tragiczne doniesienia najpierw z Wołynia, a następnie i z Podola, rodziły w środowiskach polskich psychozę strachu. Jedynym wyjściem, wskazywanym również przez propagandę ukraińską, był wyjazd z Podola za San „do Polski”. Wiele polskich rodzin zostało ostrzeżonych przez znajomych Ukraińców o planowanych napadach na polskie domy przez „strilciw” ze znakiem tryzubna na czapkach.

W marcu 1944 roku, jeszcze przed przejściem frontu niemiecko-rosyjskiego, Franciszek Woźniak przy udziale szwagra Władysława Turczyńskiego, również kolejarza, zorganizował transport kolejowy swojej rodziny z terenów zagrożonych na zachód. Dołączyły do nich spokrewnione rodziny Łysiaków z Mikołajowa, oraz Turczyńskich i Kopkowiczów z Niżniowa. Po opuszczeniu

Podola, Łysiakowie zatrzymali się w Pawłosiowie pod Jarosławiem. Woźniakowie i Turczyńskowie z matką Marią Kopkowicz dojechali do Bobowej koło Nowego Sącza. Tutaj obaj kolejarze znaleźli zatrudnienie na stacji kolejowej i doczekali przejścia frontu. Do 17 stycznia 1945 roku Franciszek był tu dyżurnym ruchu.

Po zakończeniu wojny i ustaleniu nowych granic Polski nie było już mowy o powrocie na Podole. Należało dostosować się do warunków powojennych, znaleźć swoje miejsce na ziemi i nowy dom po opuszczeniu Kresów Wschodnich. Rodzinie Franciszka i Karoliny Woźniaków nie udało się. Doszło do separacji a następnie rozwodu. Karolina z synem wyjechała do rodziny do Jarosławia. Franciszek również opuścił Bobową i został skierowany do dyspozycji Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Poznaniu, a następnie DOKP w Szczecinie. Objął obowiązki zawiadowcy III klasy w Jastrowiu koło Piły, po przekazaniu stacji kolejowej władzom polskim przez rosyjską komendanturę wojskową miasta. Franciszek zamieszkał w budynku stacyjnym na piętrze, gdzie miał mieszkanie służbowe. Jak wszyscy włączył się w powojenną odbudowę zrujnowanego kraju, a w szczególności w uruchomienie i utrzymanie ruchu kolejowego na podległym odcinku. Pierwsze miesiące i lata były okresem wzmożonego ruchu kolejowego. Tysiące ludzi wracało z Niemiec i z zachodu do Polski. Inni, przesiedleńcy z Kresów Wschodnich, przewozili swój dobytek i swoje rodziny, szukając miejsca do osiedlenia na ziemiach zachodnich i północnych powojennej Polski. Jednocześnie wracały sowieckie jednostki wojskowe z Niemiec po zakończeniu działań wojennych. Priorytet w transportach kolejowych miały też składy towarowe załadowane maszynami i urządzeniami technicznymi, oraz innymi zarekwirowanymi dobrami, wywożone do Związku Radzieckiego. Pociągi te ładowane były nie tylko w pokonanych Niemcach hitlerowskich, ale niestety również na ziemiach północno-zachodnich przyłączonych do Polski na mocy konferencji jałtańskiej. Zdobywc wojenną traktowano jak należne reparacje wojenne i bez skrupułów wywożono do Związku Radzieckiego. Na szczęście dla powojennej Polski, również mocno zrujnowanej, szerokości torów kolejowych PKP i torów rosyjskich były różne. Szersze tory rosyjskie nie mogły przyjąć polskiego taboru kolejowego i lokomotyw. Dzięki temu ocalały i pozostały w Polsce. Całość wywożonego dobra przeładowywano na tor szeroki już za obecną granicą wschodnią, bądź też wprost zwalano na pobocze toru, skutkiem czego uległo zniszczeniu w znacznym procencie. Polscy kolejarze nie mieli tu nic do gadania. Wszelkie próby oporu, lub choćby podejrzenie o opieszałość, było traktowane jako sabotaż i można było wyjechać daleko na wschód, bez prawa powrotu. W Polsce powojennej wciąż decydowali Rosjanie; służby NKWD były sprawne i bezwzględne. W swą rolę szybko wchodził polscy uczniowie z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a władza ludowa przejmowała prawie wszystkie dziedziny życia Polski Ludowej i jej obywateli. Trwała weryfikacja obywateli polskich. Wyszukiwano kolaborantów, folksdojczów, ale i też byłych żołnierzy polskich organizacji niepodległościowych, o innym niż czerwone zabarwienie. Ulubionym (nakazany) sposobem weryfikacji prowadzonym przez działy kadr zakładów pracy było wielokrotne, co pewien

czas, pisanie życiorysów i wypełnianie ankiet personalnych. Szczerść i pełne zaufanie do władzy ludowej było czasem źródłem kłopotów, podobnie jak różnice w składanych oświadczeniach.

Franciszek Woźniak pochwałił się, że skończył przedwojenną Szkołę Podchorążych i był podporucznikiem rezerwy. Z podanych dat pełnienia służby wojskowej w latach 1918-1922 wynikało że bił się z bolszewikami, czym nie należało się wtedy chwalić. Jako przedwojenny urzędnik PKP również nie był zwolennikiem przejmowania władzy w Polsce przez komunistów. Będąc jednostką podejrzaną, został wzięty pod lupę. Być może doszły jeszcze jakieś jego wypowiedzi, usłyszane przez niepowołane osoby i doniesione tam gdzie zawsze chętnie słuchano? A być może Franciszek Woźniak był po prostu niepokorny i wypowiadał jawnie swoje poglądy? W każdym razie naraził się i zaczęły się kłopoty w pracy. Zachowała się Karta Ewidencyjna Franciszka z lat powojennych, przechowywana w dziale kadr DOKP w Szczecinie. W rubryce „kary dyscyplinarne” można naliczyć 12 nałożonych upomnień i nagan służbowych w okresie od 20.12.1946 do 12.02.1948 roku. Przyczyny były błahе, a ich częstotliwość udzielania świadczy o jednoznacznej nagonce i próbie przekreślenia dotychczasowej nienagannej, wieloletniej służby Franciszka Woźniaka w PKP. Ponieważ był człowiekiem honorowym, kolejarem o dużym doświadczeniu zawodowym, cierpiał i gryzł się bardzo. Nie czuł się też zapewne dobrze – chorował na serce. Miał również zapewne świadomość nieudanego życia małżeńskiego i brak oparcia w rodzinie. Zachowało się pismo jakie wysłał w marcu 1950 roku do swoich przełożonych, informując o przekazaniu do działu kadr już wszystkich posiadanych dokumentów i zaświadczeń oraz kilkakrotnym pisaniu życiorysu. Treść pisma i zawarte w nim sformułowania świadczą o przeżywanej depresji i poczuciu doznawanej krzywdy. Krótko po tym, 12 sierpnia 1950 roku, w czasie pełnienia służby zmarł na zawał serca. W porze obiadowej źle się poczuł i udał się do swego mieszkania służbowego. Ponieważ długo nie schodził, a pokój był zamknięty od wewnątrz, wybito szybę i dostano się do środka przez okno. Franciszek

Woźniak leżał ubrany na łóżku, nie dając oznak życia. Wezwana lekarka stwierdziła zgon – zawał serca, około godziny 15.00. Zachował się protokół służbowy sporządzony na tę okoliczność.

Mój dziadek wspomniany był przez znające go osoby jako mężczyzna przystojny i elegancki, dbający o wygląd. Był komunikatywny, uczynny, miał pogodne usposobienie. Znał cztery języki obce: ukraiński, niemiecki, rosyjski i czeski.

Został pochowany na cmentarzu w Jastrowiu. W ostatniej drodze odprowadzała zmarłego Karolina Woźniak z synem Zdzisławem, jego krewni, grono współpracowników oraz znajomych.

Mój dziadek Franciszek odbył dwie drogi do Polski. Pierwsza, odbyta w latach 1918-1922 była pełna młodzięczego zapału, chwały i nadziei. Lata te choć trudne, głodne i śmiertelnie niebezpieczne, przyniosły mu sukces. To o co walczył – o niepodległą Polskę, spełniło się. Zasłużył się Polsce na miarę swoich niewielu lat życia i Polska odplaciła mu za to według zasług.

Drugą drogę do Polski odbył w wieku dojrzałym, z bogatym doświadczeniem życiowym, w latach 1944-1950. Uciekając z rodziną z Podola, odczuwał gorzkie porażki. Jak wielu Kresowian liczył zapewne na szybki powrót. Powojenna rzeczywistość, nowe granice przesunięte znacznie na zachód oddaliły, a z biegiem lat zupełnie rozwiały te nadzieje. Franciszek obserwował narastający totalitaryzm w Polsce i szerzącą się, obcą mu ideologię. Z czasem doszły kłopoty rodzinne, kłopoty w pracy i pogarszający się stan zdrowia. Czy miał poczucie klęski w chwili śmierci?

Tego się już nigdy nie dowiem. Mogę tylko snuć domysły. Na pewno nie przypuszczał, że z górą 50 lat po jego śmierci, wnuk będzie próbował odtwarzać drogę życiową dziadka. Uważam, że zdobyta wiedza na ten temat jest warta utrwalenia i przekazania moim synom – Tomaszowi i Kamilowi.

Obchodząc kolejne rocznice odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku, powinniśmy pamiętać o udziale w tych historycznych już dziś wydarzeniach naszego dziada Franciszka Woźniaka. Jesteśmy mu to winni. □

Aleksander Smoliński

„Bez ognia i miecza” (II)

Migawki z sentymentalnych podróży po niepodległej Ukrainie w poszukiwaniu śladów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Część 2. Olesko i Podhorce

Olesko

Po nostalgicznej wędrówce po Lwowie można rozpocząć kolejny etap podróży. Wyjeżdżając z miasta szosą kijowską w kierunku wschodnim, z lekkim odchyleniem na północ, dotrzemy do położonego nad niewielką rzeką Libercią Oleska. W 1919 r. miasteczko to zamieszkiwało 4200 osób, z czego 850 Polaków, 2300 „Rusinów”, jak wówczas nazywano Ukraińców zamieszkujących Galicję Wschodnią, oraz 1050 Żydów. Miasto to należy do

najstarszych grodów ruskich, jednak już w XIV znalazło się w składzie Wielkiego Księstwa Litewskiego. W XV w. jego właścicielem został książę litewski Świdrygiełło, a po nim władali nim Olescy, Herburtowie, Żółkiewscy, Daniłowiczowie i Sobiescy, a w końcu Rzewuscy. Na rynku miasteczka stoi ufundowany w XV w. kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy, w którym znajduje się pochodzące z 1618 r. epitafium Jana Daniłowicza wojewody ruskiego i dziadka późniejszego króla Jana III. Teraz jest to jednak cerkiew prawosławna należąca do Autokefalicznej Cerkwi Ukraińskiej. Obecnie tę senną i

złożoną z zaledwie dwóch ulic, a mianowicie Tarasa Szewczenki oraz Zamkowej, miejscowość zamieszkuje zaledwie około 1900 mieszkańców.

Jednakże najważniejszym i jednocześnie najcenniejszym zabytkiem Oleska jest położony około 1 kilometra na wschód od miasteczka na wierzchołku stromego wzgórza **oleski zamek** (zdjęcie poniżej). Króluje on nad



rozciągającą się wokół bagnistą w niektórych miejscach równiną, przez którą przepływa rzeka Libercia. Pokreślić także warto, iż roztacza się z niego przepiękny widok na najbliższą okolicę. Leżąc zaś na tak zwanym „Czarnym szlaku” najazdów tatarskich na Rzeczypospolitą stanowił niegdyś jedną z ważnych zapór zagradzających Tatarom drogę do Lwowa.

Dla polskiej historii, choć dzisiaj odwiedzają je głównie turyści ukraińscy, jest to miejsce o bardzo ważnym znaczeniu. Jego początki sięgają XIV wieku, czyli czasów ruskich książąt halicko-wolyńskich. Następnie po wielu kolejach losu dostał się on w ręce reprezentującego tam władzę Rzeczypospolitej wojewody ruskiego, a wspomnianego powyżej Jana Daniłowicza, który w końcu XVI wieku nadał mu wspaniałą renesansową bryłę. W tym to właśnie miejscu w dniu 17 sierpnia 1629 roku urodził się późniejszy, najpierw hetman wielki koronny Jan Sobieski, a następnie Król Polski Jan III. Jak sam pisał w swojej autobiografii skreślonej na życzenie nuncjusza papieskiego: „Urodziłem się w Olesku, zamku na wysokiej górze. Podczas mego urodzenia były pioruny bardzo, tak że aż krawiec matki mojej od tego ogłuchł i był głuchym aż do samej śmierci. Tatarowie też podpadli w tenże właśnie czas pod zamek”. Zaiste nie każdym narodziłom towarzyszą takie znaki!

Większość przewodników po zamku, którego wnętrza są częścią Lwowskiej Galerii Obrazów, po zorientowaniu się, że ma do czynienia z Polakami pokazuje podróżnym miejsce, niewielkie pomieszczenie wraz z wykuszem okiennym, w którym rzekomo miał przyjąć na świat Jan III. Jednakże już pobieżny ogląd tego miejsca budzi cały szereg bardzo poważnych wątpliwości, co do prawdziwości tego faktu. Rzadziej natomiast wspomina się o tym, iż w położonym niedaleko od Oleska zamku w Białym Kamieniu w roku 1639 przyszedł na świat jeszcze jeden król Polski, a mianowicie Michał Korybut Wiśniowiecki, któremu przyszło rządzić w bardzo trudnych dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów czasach i to na dodatek niezbyt szczęśliwie.

Te oraz inne okoliczności spowodowały, że już w 1882 roku zamek ten jako pamiątka narodowa został przez Komitet Opieki nad Zamkiem w Olesku wykupiony z rąk jego ostatnich właścicieli, a mianowicie Rzewuskich i oddany na własność narodowi polskiemu. Rozpoczęły się prace konserwatorskie, które przerwał wybuch II wojny światowej. Przyniosła ona nie tylko ogromne zniszczenia obiektu, ale również zmianę politycznej przynależności tego terytorium. Kolejny etap jego renowacji miał miejsce już w czasach sowieckich. W 1955 roku przeznaczono go bowiem na muzeum, do którego zwożono obiekty muzealne ze spustoszonego przez wojnę oraz inne okoliczności świątyni, głównie katolickich i grekokatolickich, a także pałaców, przeważnie polskich, z obszaru całej zachodniej Ukrainy. Szczególnie smutne wrażenie na widzu robią, w wielu przypadkach mocno zniszczone i okaleczone, obiekty sakralne wyrwane ze swego naturalnego kontekstu przestrzennego i estetycznego.

Zauważyć również należy, iż dzisiaj w niepodległym już państwie ukraińskim usilnie podkreślane są zarówno istotne oraz rzeczywiste, jak też i problematyczne związki zamku Oleskiego z historią narodu ukraińskiego. Wśród nich jest choćby fakt jego oblężenia i zdobycia przez wojska kozackie pod wodzą Chmielnickiego, których chyba najważniejszym skutkiem było złupienie i zniszczenie zamku.

Wewnątrz zamkowych pomieszczeń znajduje się dość interesująca ekspozycja. Do najciekawszych jej elementów należy **renesansowy, intarsjowany stół z mapą Ziemi Świętej, kolekcja ikon oraz galeria portretów magnackich i szlacheckich z XVI i XVII wieku**. Ze ścian na widza spoglądają dumne i strojne postacie wojewodów, starostów oraz innych urzędników koronnych Rzeczypospolitej Obojga Narodów pochodzących z domów Daniłowiczów, Sobieskich, Potockich, Rzewuskich, Zbaraskich i innych. Jednakże najbardziej intrygującą część tej ekspozycji stanowi ogromnych rozmiarów, monumentalny, **obraz pędzla Martino Altomonte przedstawiający bitwę pod Wiedniem**, a pochodzący z żółkiewskiej kolegiaty i przeniesiony, trudno pojąć dlaczego, do Oleska, w którym nie ma odpowiednio dużego pomieszczenia dla jego należytej ekspozycji. Stąd też, aby móc umieścić go w jednej z zamkowych komnat zniszczono, obcięto, jego ramę oraz zwinęto znaczną część górnej partii płótna. Kolejne z serii żółkiewskich płócien leży zwinęte w skrzyni umieszczonej pod przeciwległą ścianą tego samego pomieszczenia. Skrzynia ta dość powszechnie służy zaś za miejsce spoczynku dla wielu nieświadomych tego faktu zwiedzających – sic! Do poruszonej tutaj kwestii płócien z Kolegiaty w Żółkwi przyjdzie nam jeszcze powrócić na końcu naszej podróży.

Na zakończenie tych peregrynacji po komnatach zamku oleskiego warto także dodać, iż pod obrazem przedstawiającym bitwę pod Wiedniem, niemal na podłodze, znajduje się ciekawa, malowana **husarska kopia**, najprawdopodobniej pochodząca z XVII wieku. Pamiętać należy, iż obiekty tego typu nie są zbyt często spotykane w kolekcjach muzealnych. Dziwi więc fakt, że jest ona „powszechnie dostępna” dla turystów, którzy mogą się z nią zapoznać niemal „organoleptycznie”.

Na zakończenie tej opowieści warto też dodać, że u podnóża zamku znajdują się barokowe **zabudowania kościoła i klasztoru kapucynów** fundowane w 1739 roku przez wojewodę wolyńskiego Seweryna Rzewuskiego oraz jego żonę Antoninę z Potockich (zdjęcie poniżej). Do chwili obecnej w stanie pierwotnym zacho-



wała się jedynie zewnętrzna bryła tych budynków, w których dziś mieszczą się magazyny Lwowskiej Galerii Obrazów.

Podhorce

Po obejrzeniu tych wybranych obiektów i opuszczeniu Oleska należy powrócić na główną szosę prowadzącą na wschód, a następnie skierować się na południe w stronę widocznego już z dala pięknie usytuowanego zamku w Podhorcach. Po drodze warto zatrzymać się na chwilę przy leżącym tuż przy szosie obiekcie, który tylko w bardzo pośredni sposób wiąże się z historią Polski. Jest to mianowicie posowiecki **pomnik poświęcony I Armii Konnej Siemiona Budionnego**, znajdujący się na szlaku, którym po zakończeniu bitwy pod Brodami armia Budionnego podążała na Lwów. Warto też dodać, iż stoi on na terenach walk konarmiejców Budionnego z 18 Dywizją Piechoty generała Franciszka Krajowskiego, jakie toczyły się na przełomie lipca i sierpnia 1920 r. podczas marszu Armii Czerwonej w kierunku Lwowa. Dość interesująca i imponująca swą wielkością oraz ciekawie umiejscowiona jego bryła jest już dzisiaj mocno zdewastowana. W tej części Ukrainy nikt dzisiaj nie identyfikuje się już bowiem z etosem tej formacji byłej Armii Czerwonej, która dała się dobrze we znaki nie tylko Polakom, ale także walczącym z nią w 1920 roku, zarówno jako ówczesny sojusznik Wojska Polskiego jak i samodzielnie wojskom Ukraińskiej Republiki Ludowej. Stąd też z roku na rok można obserwować postępującą degradację tego pomnika.

Jak już wspomniano, aby dotrzeć do odległych o 8 kilometrów od Oleska Podhorców należy zjechać z głównej drogi w kierunku południowym. Wśród niezwykle malowniczego krajobrazu i obfitej zieleni szosa pnie się zboczem wapiennej Białej Góry ku górze i fragmentami przypomina nieco nawet „górskie” serpentyny. Dojedziemy nią na wysokie wzgórze zwane Woroniaków oraz do leżącej na nim wsi Podhorce. Pośrodku tej miejscowości znajduje się wyraźna oś zorientowana w kierunku północ-południe. Po przeciwległych jej końcach, na północy, leży zamek oraz, na południu, barokowy

kościół zamkowy pod wezwaniem Św. Józefa zbudowany w latach 1752-1763 przez kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego Wacława Rzewuskiego, ojca późniejszego targowiczanina i zdrajcy hetmana polnego koronnego Seweryna Rzewuskiego. Kościół ma bardzo ciekawą bryłę, gdyż jest wysoką rotundą zwieńczoną kopułą z latarnią oraz posiada wysunięty do przodu i szerszy od niego kolumnowy portyk. Na attyce natomiast znajdują się figury świętych dłuta Sebastiana Fesingera. O znaczeniu i potęgze rodu jego fundatora, a także pełnionego przez niego hetmańskiego urzędu świadczą resztki malowideł ściennych znajdujących się we wnętrzu. Obok przedstawień religijnych jest tam bowiem także kartusz z wizerunkiem Orderu Orła Białego i hetmańskiej buławy. Na uwagę zasługują też epitafia rodu Lubomirskich i Rzewuskich.

Świątynia ta choć od pewnego czasu „restaurowana” i używana przez wiernych kościoła grekokatolickiego nadal znajduje się jednak w bardzo złym stanie. Jest to skutek jej splądrowania przez okoliczną ludność w roku 1944 oraz długiego okresu całkowitego braku konserwacji w czasach sowieckich.

Wychodząc z kościoła podróżny, tak jak to dawnej robili jego właściciele, powinien udać się pieszo do zamku widocznego na przeciwnym końcu wspomnianej tutaj osi (zdjęcia poniżej). Droga do niego wiedzie reszt-



kami starej dworskiej parkowej alei, przechodząc pomiędzy stojącymi na wysokich kolumnach figurami **Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia** oraz **Św. Józefa**. Jednak zamiast „jak to drzewie bywało”, dworu, klientów, gości oraz służby obecnie towarzyszyły mu będą miejscowe kundle, duże i małe, gęsi pasące się na resztkach dawnej magnackiej fortuny oraz gromadka bardzo miłych i ciekawych świata, a także przybyszów, miejscowych dzieci. W ten sposób przy odrobinie wyobraźni i choćby elementarnej wiedzy o dawnych obyczajach można choć przez chwilę poczuć powiew historii. Jednak im bardziej będziemy zbliżali się do zamku, tym mniej będzie nas otaczało tego czaru, który będzie ustępował innym, nie mniej intensywnym, doznaniom.

Podhorecki zamek został wzniesiony w latach 1635-1640 przez ówczesnego magnata i kszelana krakowskiego oraz hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Jego projekt opracowali Guillaume de Bauplan oraz Andrea Dell'Aqua. Obaj byli znanymi inżynierami wojskowymi. Stąd też zamek, jak na hetmańską siedzibę przystało, otrzymał założenie obronne. Nie wolno też zapominać, iż leżał on na szlaku tatarskich najazdów. Po nagłej śmierci Koniecpolskiego, ponoć jak komentowali współcześni „od zbyt młodej żony”, zamek przeszedł w ręce Sobieskich, a potem Rzewuskich i w końcu Sanguszków, którzy władali nim aż do tragicznego 1944 roku. Przez wieki swego istnienia, pomimo wielokrotnych zniszczeń, zamek stał się swoistym muzeum, w którym nagromadziły się bezcenne pamiątki świadczące nie tylko o dawnej potęgze Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz sile i znaczeniu władających nim koronnych, kresowych rodów magnackich, lecz również o pracowitości zamieszkujących należące do niego dobra ludzi, w przeważającej większości przodków dzisiejszych Ukraińców. Spowodowało to, iż w latach międzywojennych stał się on filią lwowskiego Muzeum Narodowego imienia Jana III, a w latach 30-tych został gruntownie odnowiony.

Jednakże zmiany polityczne, jakie nastąpiły w wyniku II wojny światowej pozostawiły po sobie tragiczną spuściznę. Bowiem mimo przejęcia zamku i jego zbiorów przez władze państwowe sowieckiej Ukrainy w październiku 1945 roku został on w zorganizowany sposób obrabowany przez żołnierzy Armii Sowieckiej stacjonujących wtenczas w Złoczowie. Ich pastwą padło głównie malarstwo, meble, lustra, zbiory starej broni oraz cały szereg bibelotów, jakie zniknęły w przepastnych kieszeniach sowieckich wyzwolicieli. Po tym tragicznym i brzemennym w skutki fakcie pozostała część zbiorów przewieziono do Lwowa.

Ograbiony w ten sposób zamek w czasach sowieckich został przebudowany i zamieniony na szpital gruźliczy, co spowodowało całkowite zniszczenie i zmianę pierwotnego układu jego wnętrza. Na starych posadzkach i parkietach wyrósł las ścianek działawych i płytach różnego rodzaju rur. Ogromu katastrofy dopełnił pożar zaprószonego poprzez niedbalstwo jednego z jego pracowników w roku 1956, który strawił praktycznie cały zamek. Zamienił się on w opuszczoną ruinę. Dopiero w latach 90-tych zaopiekowała się nim Lwowska Galeria Obrazów, dzięki której przy bardzo znacznym poparciu całego szeregu polskich instytucji rozpoczęły się zakro-

jone na szeroką skalę i trwające do chwili obecnej prace restauracyjne.

Zamek stanowi typowy przykład barokowej rezydencji reprezentacyjno-obronnej określanej jako „palazzo in fortecca”. Otrzymał on kwadratowe założenie bastionowe. Na jego południowym boku zbudowano okazały pałac stanowiący integralną część całego założenia obronnego. Do zamku, na jego dziedzińcu wewnętrznym, prowadzi umieszczona od frontu okazała brama wjazdowa znajdująca się w kurtynie pomiędzy dwoma murywanymi bastionami z wieżyczkami strażniczymi w narożach. Takie same bastiony zachowały się również od strony północnej. Oprócz funkcji obronnych służyły one także jako platformy widokowe, z których rozciągał się niegdyś widok na opadający trzema tarasami ogród francuski oraz leżącą u jego stóp rozległą Równinę Wołyńską. Także i dziś, choć już nie ma ogrodu, widok stąd jest wspaniały, a przy dobrej pogodzie można zobaczyć nawet zamek w Olesku. Po wschodniej i zachodniej oraz południowej stronie pałacowego dziedzińca położone są kazamaty przylegające do kurtyn forticy i pełniące funkcje magazynów, pomieszczeń dla wojskowej załogi oraz gospodarcze.

Sam pałac zbudowany został na planie prostokąta z ryzalitem środkowym nakrytym czterospadowym dachem oraz dwoma pawilonami bocznymi przykrytymi hełmami, które wieńczą złożone figury Atlasów. Drugie piętro pałacu nadbudowano dopiero w połowie XVIII wieku. Na dziedzińcu wewnętrznym znajdują się późniejsze schody wiodące do bocznych loggi na I piętrze, co pozwala wejść na bastiony południowego skrzydła zamku, skąd rozciąga się dobry widok na kościół Św. Józefa oraz resztki dawnego ogrodu znajdującego się dawniej przed południowym skrzydłem zamku.

Poważniejsze ślady i pozostałości dawnych wnętrz zachowały się jedynie na I piętrze. Są to resztki stiukowych i złożonych panopliów na korytarzu, a w salach kominki oraz portale wykonane z czarnych marmurów chęcińskich z herbami Rzewuskich, a także resztki kaplicy zamkowej. Tam ponoć jeszcze do niedawna w tablicy komemoratywnej poświęconej jednemu z odnowicieli zamku, a mianowicie Eustachemu księciu Sanguszcze znajdował się jego biust wykonany z białego marmuru. Obecnie, niestety, nie ma po nim już żadnego śladu. Według wyjaśnień jednego z terażniejszych opiekunów tego obiektu został on skradziony przez jednego z „polskich” turystów – sic! Być może, iż obecnie gdzieś w Wołominie lub Pruszkowie „robi” za gustowny przycisk do papieru, stojąc na stercie zapewne bardzo ważnych „biznesowych” dokumentów jednego ze współczesnych polskich nowobogackich. Jeżeli rzeczywiście tak się stało, to jest to swoiste „signum temporis” i jednocześnie memento. Po tej opowieści podróżnika nie będą już dziwiły różnorodne, kamienne elementy architektoniczne, jakie latem „na pamiątkę” można zakupić na lwowskich targowiskach oraz pytanie zadawane przy powrocie do domu na polsko-ukraińskiej granicy przez ukraińskich funkcjonariuszy celnych i pograniczników: „Czy nie wywozicie państwo z Ukrainy historycznych kamieni?”.

Do podobnych przykładów śladów takiego traktowania naszych zabytków rozsianych na wschodzie przez „turyستów” przybywających na Ukrainę z Polski przy-

dzie nam, niestety, jeszcze wrócić w toku naszych dalszych wędrówek.

Zamek warto także obejść dookoła włącznie z wejściem do pozostałych fragmentów fortyfikacji ziemnych jak fosy i wały. Patrząc na takie zniszczenia magnackiej niegdyś siedziby, której właściciele jeszcze w XIX wieku posiadali więcej ziemi, niż ówczesny król Belgii Albert, warto podumać nieco nad marnością fortuny oraz zmiennością i niestałością rzeczy i dóbr tego świata.

Po tych refleksjach można opuścić Podhorce lub przed odjazdem zobaczyć jeszcze dawną unicką, a obecnie prawosławną i pochodzącą z początku XVIII wieku drewnianą **cerkiew pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła**. Warto też pamiętać, iż Archanioł Michał jest jednym z patronów Ukrainy. Nie bez znaczenia jest również fakt, iż podczas Powstania Styczniowe-

Jarosław Tadeusz Leszczyński

W bojkowskich wsiach Bieszczadów Wschodnich

W szeroko pojętych Karpatach polskich, także w tej ich części, która znajduje się obecnie w granicach Ukrainy, zamieszkują trzy grupy górali ruskich. Idąc od wschodu, od źródeł Białego Czeremoszu – historycznej granicy polsko-rumuńskiej, grupy górskie Gór Czywczyńskich, Polonin Hryniawskich, Czarnohory, Beskidu Pokuckiego i Gorganów po dolinę rzeki Łomnicy zamieszkują Huculi. Część Gorganów położoną na zachód od tego cieku wodnego i Bieszczady aż po grupę Wysokiego Działu zaludniają Bojkowie. Najdalej na zachód wysuniętą grupę górali ruskich, zaludniającą zachodnie krańce Bieszczadów, Beskid Niski oraz Beskid Sądecki po Piwniczną zaludniają Łemkowie. Nas interesuje druga z wymienionych grup – Bojkowie. W obecnych granicach Polski nie ma ich w ogóle. Wyszli podczas Akcji „Wisła” w 1947 r. na Ziemię Zachodnią i północną nigdy już nie powrócili na ziemię ojców w przeciwieństwie do części Łemków, którzy dotąd zamieszkują Beskid Niski. Żyjąc w diasporze ich potomkowie deklarują się jako Ukraińcy. Jedynymi zabytkami kultury bojkowskiej w obecnych granicach Polski są cerkwie bojkowskie (ob. kościoły rzymskokatolickie) w Smolniku nad Sanem i Czarnej koło Ustrzyk Dolnych oraz cerkwie i zagrody bojkowskie w Sektorze Bojkowskim Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Chcąc natomiast poznać dotąd istniejące skupiska bojkowskie należy pojechać za obecną granicę ukraińską na teren tamtejszej części Bieszczadów, leżącej w granicach administracyjnych powiatów: turczańskiego i skolskiego. W wielu wsiach zachowały się drewniane zagrody bojkowskie i także cekrwie. Mamy dwie kategorie Bojków. Część z nich jeszcze z dawnych czasów jest szlachtą zagrodową pieczętującą się herbem Sas, pozostali zaś są chłopami. Nas w niniejszych rozważaniach interesują wsie zamieszkałe przez Bojków-chłopów. Zamieszkują m.in. takie wsie jak Libuchora, Hnyla i Krywka, którym poświęcimy więcej miejsca.

Najdłuższą i chyba najciekawszą z tych wsi jest Libuchora leżąca w dolinie potoku o tej samej nazwie, na

go jego wizerunek umieszczano także na wielopolowym herbie Rzeczypospolitej, jakiego używały władze powstańcze. Jest to kolejny ślad wspólnej przeszłości oraz pozostałość żywej jeszcze wtedy tradycji dawnej Rzeczypospolitej Obojga, a właściwie gdy do Polaków i Litwinów dodamy niegdysiejszych Rusinów a dzisiejszych Ukraińców to w rzeczywistości Trojga, Narodów.

Opuszczając Podhorce tą samą drogą, jaką przyjechaliśmy jeszcze raz warto nacieszyć oczy pięknymi wołyńskimi krajobrazami, których jedną z cech charakterystycznych jest zadziwiająca soczystość zieleni – nawet podczas lipcowych czy sierpniowych upałów. W końcu nie na darmo w jednej z popularnych pieśni biesiadnej słyszymy: „...na zielonej Ukrainie”.

Wszystkie fotografie oraz pocztówki pochodzą ze zbiorów autora. □

północnym podnóżu połoninnych szczytów: Ostry Wierch (1294 m n.p.m.), Wielki Wierch (1312 m n.p.m.), Ruski Put (1218 m n.p.m.), Listkowania (1248 m n.p.m.), Żurówka (1228 m n.p.m.), Chresty (1109 m n.p.m.) i Starostyna (1228 m n.p.m.). Wieś ciągnie się na długości ok. 8 km.

Początki wsi sięgają czasów panowania króla Zygmunta Augusta, a konkretnie związane są z działalnością jego matki, królowej-wdowy Bony. Przywilej lokacyjny wydała w 1553 r. Bona zasadzcy, kniaziowi (tak we wsiach ruskich lokowanych na prawie wołoskim nazywano sołtysów) Ołeksie (Aleksandrowi). Od jego imienia wieś początkowo nosiła nazwę Ołeksanka, która jednak się nie przyjęła i dlatego z czasem zaczęto ją nazywać Libuchorą, tak jak potok przez nią płynący. Wieś leżała na terenie królewskiej zwanej Ekonomią Samborską, w której urząd starosty pełniła m.in. królowa Bona. W ramach Ekonomii Samborskiej istniała Kraina Libuchorska, w skład której oprócz Libuchory wchodziły następujące wsie: Butla, Wysocko Niżne, Ropawsko, Makowice, Butelka Niżna, Butelka Wyżna, Krywka, Husne, Hnyla i Jaworów.

Potomkowie Ołeksy z czasem przyjęli od wsi i potoku nazwisko Libuchorscy. W 1558 r. król Zygmunt August wydał przywilej zezwalający na budowę we wsi cerkwi, młyna i karczmy. W 1564 r. zasiedlonych tu było 14 łanów, z których kmiecie płacili po 36 groszy podatku, a jeden chłop siedzący na półdworzyszczu płacił 32 grosze. Kmiecie libuchorscy byli ponadto zobligowani do dostarczania popiołów w blechu w Samborze (bielono tam płótno). We wsi mieszkało w tym czasie 200-250 ludzi. Tutejsi Bojkowie za prawo wypasu na połoninach bieszczadzkich uiszczali opłatę w naturze, przekazując na zamek w Samborze co dwudziestego barana lub wieprzka oraz oddając daninę w serach.

W 1569 r. sołtysi Jaczko i Dymitr otrzymali przywilej na osiedlanie w dolinie potoku nowych chłopów na planie wołoskim. Od tego czasu nastąpił podział wsi na dwie części. Dotychczasową starszą część założoną

przez Ołeksę zaczęto nazywać Libuchorą Niżną, zaś nową górną część Libuchorą Lewkową (od XIX w. Wyżną). W każdej części istniała odrębna cerkiew i wójtostwo, ale zarząd Ekonomii Samborskiej traktował wieś jako całość. Za czasów Zygmunta III Wazy dwóch tułtejszych włościan służyło w piechocie wybranieckiej i brało udział w wyprawach wojennych na Wołoszczyznę i Inflanty. Po I rozbiórce Polski w 1772 r. Libuchora znalazła się w zaborze austriackim, w którym dotychczasowe dobra królewskie, w tym także Ekonomia Samborska, przeszły na własność rządu austriackiego. Libuchorę włączono do klucza dóbr państwowych, których zarząd mieścił się w Boryni. W tym czasie (1785 r.) Libuchora liczyła 929 mieszkańców, z czego 890 było grekokatolikami, 19 wyznawało obrządek rzymskokatolicki, a 20 było Żydami. Dominującą grupą ludności byli grekokatolicy Bojkowie trudniący się pasterstwem i uprawą roli. Katolikami obrządku łacińskiego byli Polacy i Niemcy zatrudnieni w administracji dóbr rządowych jako leśnicy wraz z rodzinami. Mieszkały tu też 2-3 rodziny żydowskie, których członkowie dzierżawili tutejsze karczmy. W 1818 r. powstała w Libuchorze jednoklasowa szkoła jako jedna z najstarszych placówek oświatowych w Galicji. Początkowo frekwencja na zajęciach szkolnych była bardzo niska, a w 1836 r. było tylko 5 dzieci zapisanych do szkoły. Poprawa w tym względzie nastąpiła w 2 poł. XIX w., kiedy to w szkole uczyło się 43 dzieci. W 1880 r. Libuchora liczyła 1686 mieszkańców. W 1904 r. naukę w szkole wydłużono z 1 roku do 2 lat. W tym czasie na ogólną liczbę 300 dzieci tylko połowa była zapisana do szkoły.

Na przełomie XIX i XX stulecia wieś i pobliskie bieszczadzkie połoniny zaczęły odwiedzać pierwsi turyści, nie tylko w lecie, ale także w zimie. Przykładowo w dniach 5-7 stycznia 1911 r. grupa lwowian z Karpaciego Towarzystwa Naukowego w składzie: Józef Bizoń, Maksymilian Dudryk, Zenobiusz Pręgowski i Tadeusz Wilusz dokonała pierwszego zimowego przejścia grzbietem połonin od Starostyny do Pikuja.

Podczas I wojny światowej, zwłaszcza w czasie walk wojsk austro-węgierskich z rosyjskimi, toczącymi się w Karpatach na przełomie 1914 i 1915 r., wieś uciepiała od przymusowych kontrybucji i działań wojennych.

W czasie spisu powszechnego w 1921 r. odnotowano istnienie we wsi 363 budynków mieszkalnych. Liczba ta wzrosła w ciągu najbliższych 10 lat do 435. Na potoku Libuchora pracowało 5 młynów wodnych, których właścicielami było 4 Bojków (Iwan Kuliszczak, Aleksander Minkowicz, Mykoła Minkowicz, Wasyl Popiwniak) i starozakonny Benjamin Rosenberg. Pracował także, zasilał prądem potoku, tartak O. Minkowicza.

W Polsce międzywojennej stale rozwijał się ruch turystyczny w tej części Bieszczadów co zrodziło pomysły wybudowania przez Przemyskie Towarzystwo Narciarzy schroniska na 120 miejsc na północnym stoku Ostrego Wierchu. Schronisko to zostało spalone w czasie II wojny światowej.

W 1944 r. Libuchora znalazła się w granicach Związku Radzieckiego. Tutejsze gospodarstwa wiejskie uległy przymusowej kolektywizacji, której owocem było powstanie sowchozu o nazwie „Družba”. W 1979 r. wieś liczyła 2229 mieszkańców, by w 1989 r. zmniejszył stan zaludnienia do 2189.

Jak wspominałem wyżej wieś rozciąga się na przestrzeni 8 km z płn.-wsch. na płd.-zach. w górę potoku Libuchora. Ma typowy układ łanowy, powstały przy jej zakładaniu na prawie wołoskim w XVI w. Im wyżej w górę potoku tym więcej zachowało się starych drewnianych chałup. Stare chałupy w Libuchorze są budowlami jednotraktowymi, połączonymi wspólnym dachem z budynkami gospodarczymi – stajnią, stodołą, boiskiem, komorą itp. Takich domów zachowało się we wsi ok. 100. Wszystkie te chałupy postawione są w konstrukcji zrębowej z wiązaniem węglów „na obłap”. Dachy kryte były słomą. Do rzadkości należało pokrycie gontowe. Ten typ budownictwa był powszechny w Libuchorze do lat 30. ubiegłego stulecia. Nowe budownictwo nawiązuje do wzorów huculskich, powszechnych u podnóża Gorganów i Czarnohory. Styl huculski jest bowiem narodowym stylem ukraińskim i dlatego w nim wznoszone są budowle poza etnograficznym obszarem Huculszczyzny, ale wszędzie tam gdzie mieszkają Ukraińcy.

We wsi znajdują się obecnie 3 cerkwie: w Libuchorze Niżnej, w centralnej części wsi i wreszcie w Libuchorze Wyżnej. Pierwsza i trzecia są aktualnie świątyniami prawosławnymi, druga zaś grekokatolicka.

Pierwszą cerkiew we wsi, w dzisiejszej Libuchorze Niżnej zbudowano w 1558 r. na mocy przywileju króla Zygmunta Augusta. Początkowo była ona świątynią prawosławną, ale po przystąpieniu diecezji przemyskiej rytu wschodniego do unii z Rzymem w 1692 r. stała się unicką (w czasach zaborów Austriacy nadali unitom nazwę grekokatolicy). W 1798 r. w miejsce dotychczasowej cerkwi zbudowano nową, istniejącą do dnia dzisiejszego pw. Świątyni Przczystej Bogurodzicy. Uległa ona jednak przebudowie w 1914 r., która nadała jej cechy ukraińskiego stylu narodowego. Po Synodzie Lwowskim zwołanym w marcu 1946 r. cerkiew przeszła w ręce prawosławnych i ten stan utrzymuje się do chwili obecnej. Inicjatorem przebudowy cerkwi w 1914 r. był grekokatolicki paroch Libuchory, ks. Mychajło Biłas. Świątynia jest budowlą trójdzielną w typie bojkowskim. Babiniec, nawę i prezbiterium nakrywają kopuły spoczywające na ośmiobocznych tamburach. Kopuła nad nawę jest najwyższa, zaś te nad prezbiterium i babiniec ustawione są symetrycznie do niej. Wszystkie kopuły wieńczą cebulaste wieżyczki z krzyżami. W sąsiedztwie cerkwi stoi wolnostojąca trójkondygnacyjna dzwonnica, zbudowana w konstrukcji słupowo-zrębowej, przykryta ośmiopłociowym dachem namiotowym. Zbudowana została w początkach XX w. W otoczeniu cerkwi cmentarz grzebalny, co jest zwyczajem typowym dla Bojkowszczyzny. Można tu spotkać postumenty krzyży nagrobnych, wykonane z kamiennych słupków granicy polsko-czechosłowackiej, która do 1939 r. przebiegała grzbietem bieszczadzskich połonin.

Przenieśmy się teraz do drugiej libuchorskiej cerkwi prawosławnej, położonej w Libuchorze Wyżnej, zwanej niegdyś Libuchorą Lewkową. Wybudowana została w 1764 r. jako grekokatolicka, pełniąc rolę świątyni filialnej dla parafii w Libuchorze Niżnej. W pobliżu starej cerkwi wybudowano w 1922 r. obecną z inicjatywy ks. Machajły Biłasa w latach 1913-1933. Starą rozebrano w 1926 r. Od 1946 r. cerkiew jest świątynią prawosławną. Jest to budowla postawiona w konstrukcji zrębowej w typie bojkowskim, sylwetką przypominająca tą

z Libuchory Niżnej, którą zresztą otrzymała w tym samym czasie i z inicjatywy tego samego proboszcza. Obok cerkwi stoi XIX-wieczna dzwonnica postawiona w konstrukcji słupowo-zrębowej. Również i tą cerkiew otacza cmentarz grzebalny.

W efekcie Synodu Lwowskiego z 1946 r. przytłaczająca większość mieszkańców Libuchory przeszła na prawosławie i tylko nieliczni, nawet po upadku ZSRR i powstaniu wolnej Ukrainy powrócili do swych grekokatolickich korzeni. Z tego też powodu żadna z dwóch wyżej opisywanych cerkwi nie powróciła w ręce pierwotnych użytkowników. Zwolennicy jednościbozostwa wschodniego ze Stolicą Apostolską zbudowali sobie na początku lat 90. ubiegłego stulecia w centrum wsi niewielką cerkiewkę grekokatolicką pw. św. Jakuba Starszego. Przypomina ona raczej dużą kaplicę. Zbudowana jest ona na planie równoramiennego krzyża greckiego z 5 kopułami, z których centralna, największa zlokalizowana jest na skrzyżowaniu jego ramion, zaś 4 pozostałe usytuowane na nich. Kopuły wsparte są na ośmiobocznych tamburach i pokryte cynkową blachą. Dolna część cerkiewki jest murowana, tambury kopuł zaś wykonane są z drewna.

Religijność libuchorskich Bojków przejawia się nie tylko w starannie utrzymanych 3 cerkwiach, ale także w licznych kapliczkach domkowych, którego to zwyczaj nie zdołała wyplenić trwająca ponad 45 lat okupacja sowiecka. Ciekawym zwyczajem jest obudowywanie żeliwnych krzyży kapliczkami drewnianymi krytymi gontem. Po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 r. zaczęto wznosić kapliczki domkowe o wielobocznej bryle zakończone kopułkami wzorowanymi na motywach zwieńczeń okolicznych cerkwi. Pomalowane są one na kolory niebieski i żółty mające symbolizować barwy narodowe Ukrainy. Możemy spotkać także nową kapliczkę słupową z rzeźbą M. B. Fatimskiej, której kult jest bardzo popularny na Ukrainie, jako że podczas pamiętnych objawień w 1917 r. Boża Rodzicielka przepowiedziała m.in. nawrócenie Rosji.

Obiekty małej architektury sakralnej upamiętniają również tragiczne dzieje tych okolic jakich doświadczyły one w bezpośrednich latach po zakończeniu II wojny światowej. Aż do lat pięćdziesiątych XX w. toczyły się tu walki ukraińskiej Powstańczej Armii z siłami sowieckimi. W czasie jednej z takich potyczek w dniu 24 sierpnia 1949 r. poniósł śmierć z rąk NKWD major Marcin Mizerny (ps. „Ren”), jeden z dowódców tej organizacji mający na sumieniu śmierć także wielu Polaków. W miejscu jego śmierci przed kilkoma laty postawiono niewielkiej wielkości stalowy krzyż na betonowym postumencie z motywem czapki wojskowej. Pomnik ten zadaje kłam relacji Jana Gerharda, który śmierć wysokiego rangą dowódcy UPA zlokalizował na polu minowym w części Bieszczadów obecnie należącej do Polski.

Wśród starszych mieszkańców Libuchory dotąd żywa jest tradycja odbywania do 1939 r. pielgrzymek do Kalwarii Paclawskiej na odpust w święto Wniebowzięcia NMP, gdzie uczestniczyli w procesjach Pogrzebu i Wniebowzięcia Matki Bożej. Do tego rzymskokatolickiego franciszkańskiego sanatorium aż do 1945 r., czyli do definitywnego ustalenia się granicy polsko-radzieckiej (dziś polsko-ukraińskiej), tuż na wschód od niego, tłumnie uczestniczyli katolicy obu obrządków.

Inną wsią bojkowską, graniczącą z Libuchorą od północnego zachodu jest Hnyła. Została ona lokowana „na surowym korzeniu” w 1561 r. przywilejem wydanym w Wilnie dla Aleksego Mrzygloda. Zasadzca otrzymał prawo budowy młyna i folusza. Wieś weszła w skład Ekonomii Samborskiej i Krainy Libuchorskiej. Nazwę wzięła od rzeczki Hnyła Moczarska, w dolinie której została lokowana. W 1785 r. wieś liczyła 506 mieszkańców, z czego 485 stanowili grekokatolicy, 13 Żydzi oraz 8 katolicy obrządku łacińskiego. W niespełna wiek później (1880 r.) zaludnienie wzrosło do 825 osób, z czego 785 było grekokatolikami, a 40 Żydami.

W okresie II Rzeczypospolitej działał tu młyn wodny, a wieś liczyła 986 mieszkańców w 1921 r., by zwiększyć tę liczbę do 1127. W latach 70. XX w. władza radziecka zmieniła nazwę wsi na Karpatskoje. Dotąd nie przywrócono nazwy wsi, chociaż jej mieszkańcy używają obu jej brzmień.

We wsi zachowała się drewniana cerkiew bojkowska pw. św. Michała Archanioła z 1772 r. W centrum miejscowości stoi krzyż talerhowski. Postawiony został



Hnyła – krzyż talerhowski w centrum wsi

w 1929 r. z fundacji mieszkańców wsi Hnyła, o czym informuje umieszczona na postumencie żeliwna tablica z napisem w języku rosyjskim złożonym pisownią sprzed 1918 r. U stóp masywnego krucyfiks z rzeźbą Jezusa Ukrzyżowanego stoją dwie figurki – Matki Boskiej i św. Jana Ewangelisty.

Podczas pierwszej wojny światowej Austriacy posądzając wielu Rusinów o sympatie i szpiegostwo na rzecz Rosji umieszczali ich w obozie koncentracyjnym w Talerhofie koło Gratzu. Wielu więźniów nie przeżyło tego obozu. Szczególnie dużo osób trafiło do Talerhofu z terenu Łemkowszczyzny, o czym świadczą do dziś zachowane krzyże talerhowskie, m.in. w Bartnem, Piel-

grzymce i Zyndramowej. Oczywiście, choć w mniejszym stopniu, do Talerhofu trafiali także Rusini z innych części Galicji np. z Hnyły.

W pobliżu krzyża talerhowskiego stoi żeliwny krzyż przydrożny z 1906 r.

Na zakończenie naszej wędrówki po wsiach bojkowych wstąpmy jeszcze do Krywki – wsi położonej na płn.-wsch. od masywu króla Bieszczadów – Pikuja, nad potokiem o tej samej nazwie będącym dopływem Stryja.

Wieś została założona już w końcu XV stulecia przez właścicieli pobliskich wsi zamieszkałych przez szlachtę zagrodową – Komarnik, Wysocka Wyżnego i Matkowa (Komarnickich, Wysoczańskich, Matkowskich). Drogą działów Krywka weszła w posiadanie Turzańskich. W 1558 r. król Zygmunt August w drodze zamiany przekazał Turzańskim Topolnicę w Starosamborskiem. Krywkę przekazał zasadzcy Marcinowi Rogozińskiemu, który ściągnął do wsi nowych osadników nadając im prawo wołoskie. W ten sposób wieś stała się osadą chłopską w przeciwieństwie do wielu leżących w sąsiedztwie zaścianków drobnoszlacheckich. Mieszka tu zaledwie kilka rodzin szlachty zagrodowej, m.in. Czyczerscy.

W centrum wsi za nurtem potoku, który oddziela ją od głównej drogi wiejskiej, stoi cerkiew greckokatolicka pw. św. Mikołaja. Zbudowana została w 1928 r. w stylu bojkowskim. Nawę przecina krótki transept, na którego obu ramionach zlokalizowane są małe cebulasto



Krywka – cerkiew greckokatolicka pw. św. Mikołaja

zakończone wieżyczki, co ujawnia wpływy ukraińskiego stylu narodowego. Pierwsza cerkiew wzniesiona została w 1763 r. Należała do najpiękniejszych cerkwi Karpat Wschodnich i dlatego w 1930 r. została przeniesiona do skansenu we Lwowie położonego na Łyczakowie w tzw. Szewczenkowskim Gaju.

We wsi zachowało się sporo drewnianych chałup bojkowych zbudowanych w konstrukcji zrębowej. Pierwotne słomiane pokrycie ich dachów zastępuje obecnie eternit.

Godne uwagi są tu drewniane kapliczki domkowe, o szalunkach, podobnie jak w niedalekiej Libuchorze, utrzymanych w narodowych barwach ukraińskich – niebieskim i żółtym. □

Wspomnienia dawne i niedawne.

60 lat nauczania medycyny w Lublinie

Władysław Stążka

Moja droga do medycyny i zawodu lekarza (I)

Zanim przejdę do właściwego tematu, muszę cofnąć się do początków mego *curriculum vitae*, gdyż niektóre z tych szczegółów odegrały ważną rolę w późniejszym, już dorosłym życiu.

Urodziłem się we Lwowie, jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa. Ojciec mój i jego dwaj bracia przyczynili się do tego, że kiedy Polska odzyskała niepodległość w 1918 roku, po 123 latach niewoli, Lwów znów znalazł się w granicach Rzeczypospolitej. Jeden z moich stryjów został później zamordowany w Starobielsku. Ojca nie pamiętam, gdyż zmarł nim skończyłem drugi rok życia. Matka, bez zawodu, jakoś starała się pokierować życiem trzech synów (trzy córki zmarły podczas I wojny światowej na epidemii czerwonki).

Szkołę powszechną im. św. Antoniego na Łyczakowie ukończyłem będąc wychowankiem bursy im. św. Wojciecha. Zostałem przyjęty po egzaminie wstępnym do III Gimnazjum im. Stefana Batorego. Do wybuchu wojny ukończyłem trzecią klasę. W tym czasie należałem do 14. Lwowskiej Drużyny Harcerskiej, a również do Sodalicji Mariańskiej. Tam wpojono we mnie poczucie patriotyzmu i głęboką wiarę katolicką. Przez kilka lat byłem ministrantem.

Wybuch wojny. Sowieci wkraczą do Lwowa. W moim III gimnazjum przedwojenny program nauczania zostaje zastąpiony przez ukraiński i wszystkie lekcje odbywają się w tym języku. Udaje mi się przenieść do przedwojennego koedukacyjnego Gimnazjum Sióstr Urszulanek, tzw. dziesięciolatki, której dyrektorem był Rosjanin. Tam w 1941 roku ukończyłem IX klasę. Lwów zajęli Niemcy, kolejny okupant.

Zacząłem pracować w niemieckiej firmie Wald und Holz przy Dyrekcji Lasów Państwowych na stanowisku kierownika ekspedycji. Tam poznałem Zuzannę Wojciechowską, która podjęła pracę po ukończeniu kursów handlowych i pełniła w firmie obowiązki buchaltera. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaczęła się sympatia, która przetrwała wiele lat. Oboje wstąpiliśmy w szeregi Armii Krajowej Obwodu Lwowskiego. Zuzanna była łączniczką, a ja wcielony zostałem do plutonu „Grunwald” przy przedwojennym 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich. Mieszkałem wtedy w Krzywczycach u ciotki, za rogatką Łyczakowską na skraju lasu. Tam też odbywałem ćwiczenia wojskowe. Dowódcą moim był wówczas kolega ze szkoły powszechnej Władek Załogowicz, ps. „Felek”. W jego domu na Łyczakowie składałem uroczyste

przysięgę wojskową. Otrzymałem pseudonim „Komes”. Mieszkając blisko lasu, byłem świadkiem wielu transportów Żydów i Polaków na miejsce rozstrzeliwań oraz zakopywania ciał. Dwa lata później, tuż przed wycofaniem się Niemców ze Lwowa w krzywczyckim lesie palono odkopywane zwłoki, jak również ekshumowane ze Wzgórz Wuleckich ciała rozstrzelanych w 1941 roku polskich profesorów wyższych uczelni Lwowa, ich rodzin i przyjaciół.

Na kompletach tajnego nauczania zaliczyłem ostatnią klasę liceum i z początkiem czerwca 1944 roku zdałem maturę. Świadectw nie wydawano ze względu na bezpieczeństwo. Pełna dokumentacja była przechowywana w dwóch oddzielnych księgach, w różnych miejscach. Znowu ze względu na bezpieczeństwo nie wiedzieliśmy gdzie. Na podobne tajne komplety nauczania uczęszczała również Zuzanna. Często ją odprowadzałem na zajęcia oraz po nich do domu.

Wkrótce po zdaniu matury zostałem wcielony przez Niemców do tzw. Organizacji Todta, której zadaniem było wykonywanie prac przyfrontowych. Przez jakiś czas trzymano nas pod ścisłą strażą w słynnym obozie przy ulicy Janowskiej na obrzeżach Lwowa. Było nas tam wówczas około pięciuset. Obóz strzeżony był w dzień i w nocy przez żandarmów ukraińskich na zmianę z niemieckimi. Miano nas umundurować i przewieźć na front włoski. Podczas pobytu w obozie odwiedziła mnie Zuzanna. Rozmawialiśmy krótko przez szczelnie odrutowany płot pod okiem strażnika. Powiedziała na pożegnanie: „jeśli mnie kochasz, to musisz się stąd wydostać”. Kochałem, więc wziąłem sobie te słowa głęboko do serca. Wiedziałem, że w czasie poprzedniego zgrupowania próba ucieczki zakończyła się tragicznie, dwaj mężczyźni zostali schwytani i powieszeni. Mimo tego opracowałem własny, skomplikowany plan uwolnienia się z obozu i podjąłem próbę. Niewiele brakowało, by mnie wówczas zastrzelono, ale ostatecznie udało się.

Do domu w Krzywczycach, gdzie mieszkała moja mama i mój brat, nie chciałem wracać, żeby ich nie narażać. Przez długi czas mama nic nie wiedziała o mojej ucieczce. Za schronienie posłużył mi dom rodziców Zuzanny. Nie trwało to długo, gdyż wkrótce po raz drugi Lwów zajęła Armia Czerwona. Zaczęła się trzecia okupacja miasta. Był koniec czerwca 1944 roku. Z początkiem lipca zostałem zmobilizowany do wojska. Pięszko, pod eskortą żołnierzy rosyjskich dotarliśmy do Jarosławia, gdzie przekazano nas żołnierzom polskim z I Armii WP. Po dziesięciodniowym marszu dobrnęliśmy do Lublina. Postój był na Majdanku. Widok przerażający – szereg baraków, a w nich ubrania, buty, różne inne przedmioty, krematorium z popiołem po spalonych więźniach. Tu odbyła się selekcja i nabór do wojska. Po indywidualnych rozmowach oficerowie werbowali nas do różnych jednostek wojskowych wedle własnego uznania. Mnie zaproponowano szkołę oficerską w Riazaniu. Nie chciałem. Udało mi się przekonać rozmówcę i zmieniono plan. Ostatecznie wcielono mnie do 4. Samodzielnego Baonu Szkolnego I Armii WP. Miejscem postoju baonu były przedwojenne koszary wojskowe przy końcu Alei Raclawickich. Tam odbyła się przysięga wojskowa, potem ćwiczenia, wykłady i strzelanie na polach dzisiejszego Czechowa. Pod koniec listopada wymarsz w pełnym rynsztunku, z karabinami i plecakami, w kie-

runku Warszawy, do następnego punktu postoju, jakim był Mładz koło Otwocka. Tam odbywało się dalsze szkolenie. Tuż przed końcem roku dowódca kompanii poinformował, że będzie potrzebował do akcji kilku żołnierzy władających językiem niemieckim. Zgłosiłem się jako pierwszy, ale kiedy usłyszałem, że mamy przedostać się w nocy przez zamarznąłą Wisłę i schwytać niemieckiego jeńca, odmówiłem, tłumacząc się niedyspozycją. Wyruszyło pięciu chętnych. Na przeciwległym brzegu rzeki, przed okopami niemieckimi, wpadli na minę i zginęli. Mnie Pan Bóg ustrzegł od śmierci.

Po zakończeniu kursów w baonie i zdaniu egzaminów zostałem awansowany do stopnia kaprała i przydzielony do Samodzielnej Kompanii Chemicznej 4. Dywizji, na stanowisko dowódcy plutonu. Po zdobyciu Warszawy w 1945 roku ujrzeliśmy same gruzy. Przytłaczający widok! Dalej – jazda na samochodach ciężarowych na zachód. Pod Bydgoszczą zostaliśmy otoczeni przez Niemców. Zarządzono stałe pogotowie. Spaliśmy na zmianę, w mundurach, z karabinem przy sobie. Tak przez siedem dni. Gdy wreszcie mogłem się rozebrać i umyć, zobaczyłem po raz pierwszy w życiu wszy za kołnierzem koszuli.

Dalszy etap to Kołobrzeg. Mieliśmy zdobyć miasto, z którego atakujące wcześniej wojska radzieckie musiały się dwukrotnie wycofać. Staliśmy okopani na przedmieściu. Przed nami tory kolejowe, odsłonięte na dużej przestrzeni, przez które trzeba się było przedostać. Snajper niemiecki, ukryty gdzieś dalej na drzewie, co chwilę nas ostrzeliwał. Przeskakiwaliśmy pojedynczo. Przyszła kolej na mnie. Udało się. Biegano dalej, w chwilę później, zostałem lekko ranny w nogę odłamkiem granatu. Kilka dni musiałem więc spędzić w szpitalu polowym.

Następny etap to Odra, Berlin i wreszcie koniec wojny. Jaka radość! Okrzyki, salwy z karabinów, tańce i powrót do kraju.

Przez cały ten czas dowódcą mojej 4. Dywizji WP był generał Kieniewicz, „ruski Polak” jak go nazywaliśmy. Po zakończeniu wojny został dowódcą nowotworzonego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) ze Sztabem Głównym w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej – róg Puławskiej. Jednostka ta została utworzona głównie z kadry wojskowej 4. Dywizji Piechoty, więc i ja się tam dostałem. Zostałem szefem kancelarii personalnej sztabu KBW w randze sierżanta. Dość szybko awansowałem na stopień chorążego. Trafiały do mnie między innymi akta personalne oficerów likwidowanych na terenach południowej Polski – Podkarpacia, Rzeszowszczyzny itd. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy z zadań, jakie należały do jednostek KBW, ale wkrótce zrozumiałem, w jakim celu zostały one powołane. Musiałem się więc jak najszybciej stamtąd uwolnić.

Wychowany w duchu patriotyzmu, we wczesnej młodości planowałem zostać zawodowym oficerem armii i w razie potrzeby walczyć w obronie ojczyzny, tak jak mój ojciec i jego bracia w 1918 roku. No, ale „kariera” w KBW nie uśmiechała mi się. Postanowiłem więc realizować swoje drugie marzenie, a mianowicie zostać lekarzem. Zawód ten wydawał mi się piękny, szlachetny i nieporównywalny z żadnym innym. W czasach szkolnych rozczytywałem się w literaturze dotyczącej zdro-

wia, budowy organizmu ludzkiego, metod leczenia. Ojcowie kilku moich kolegów byli przed wojną lekarzami, bywałem u nich w domach, między innymi w domu słynnego lwowskiego chirurga Adama Grucy.

I zdarzyło się. Bliski kolega z frontu, Mikołaj Bojsza, wcielony tak jak ja po wojnie do KBW, dowiedział się, że w Lublinie utworzono Katedrę Medycyny Wojskowej. Jechał tam zdawać egzamin wstępny. Bezpośrednim moim szefem był wówczas w KBW major Faryna, uczciwy Polak, a co ważne lubiący mnie człowiek. Do niego udałem się z prośbą o przeniesienie do Lublina. Po długiej rozmowie wyraził zgodę. Poproszony dodatkowo o wystawienie mi wymaganej opinii, rzekł: „napisz sobie sam, wiesz jak to zrobić, przecież masz akta personalne wielu oficerów”. Napisałem więc, jak umiałem najlepiej. Oczywiście w samych superlatywach, aby zwiększyć szanse przyjęcia na wojskowe studia medyczne. Major, czytając tę opinię zapytał: „czy ty wiesz, co znaczy »ideologicznie pewny?«”. Oczywiście wiedziałem. Uśmiechnął się i podpisał. Z tą opinią, podaniem oraz świadectwem ukończenia dziewiętej klasy „dziesięciolatki”, choć bez świadectwa maturalnego, pojechałem do Lublina. Egzamin wstępny był pisemny. Zdałem. Zostałem przyjęty na pierwszy rok Wydziału Lekarskiego. Zobowiązałem się dostarczyć jak najszybciej świadectwo dojrzałości. Wróciłem do Warszawy, by otrzymać zwolnienie z KBW. Rozpocząłem starania nad przyjęciem mnie do Katedry Medycyny Wojskowej. Starania zakończyły się pomyślnie, być może w znacznej mierze dzięki opinii, którą sobie wystawiłem. Szczęśliwy byłem niezmiernie, bo ziszczyły się moje młodzieńcze marzenia i równocześnie uwolniłem się od służby w bezpieczeństwie.

Katedra Medycyny Wojskowej została powołana rozkazem naczelnego dowództwa WP z końcem 1944 roku. Ja i moi koledzy byliśmy więc drugim rocznikiem. W listopadzie 1945 roku podjąłem z ogromnym zapalem studia medyczne. Było nas wówczas na pierwszym roku około 120 studentów wojskowych. Zakwaterowani zostaliśmy w salach KUL przy Alejach Racławickich, w dość prymitywnych warunkach. Prycze z desek i sienniki ze słomy, kilkunastu studentów w jednej sali. W oknach brakowało szyb. Paliliśmy w piecach drewnem przyniesionym z lasu. Na śniadanie dostawaliśmy suchy chleb, czarną kawę, czasem śledzie. Stołówka była na miejscu. Wkrótce przeniesiliśmy się do budynku przy ulicy Narutowicza 12, gdzie przed wojną mieściło się Gimnazjum i Liceum im. Unii Lubelskiej. Częściowo zajęliśmy też pomieszczenia po sąsiedzku pod 14. Tam warunki były już znacznie lepsze, choć w salach nadal spało po kilkunastu studentów. W suterenie znajdowała się kuchnia i jadalnia, gdzie każdy z nas okresowo pełnił służbę. Na tyłach gmachu, na dużym dziedzińcu, odbywały się ćwiczenia wojskowe, musztry i apele. Słuchacze KMW rekrutowali się z różnych środowisk. Byli wśród nas zarówno świeżo powołani do wojska mieszkańcy odzyskanych terenów Polski, jak i uczestnicy działań wojennych na froncie, także z ugrupowań partyzanckich. Szeregowi, podoficerowie, oficerowie, słowem wielka różnorodność. Komendantem katedry był pułkownik dr med. Bazyli Dołgopiatow, oficer Armii Radzieckiej. Życzliwy dla wszystkich, nie ingerował w nasze osobiste sprawy, był więc przez nas lubiany i szanowa-

ny. Oficerem polityczno-wychowawczym był wówczas Mieczysław Alski. Mieliśmy też, jak w każdej jednostce wojskowej, podlegającego Urzędowi Bezpieczeństwa tzw. oficera „informacji”, którego nazwiska dziś już nie pamiętam. Wezwał mnie pewnego razu do siebie. Rozmowa wydawała się towarzyska. Pytał o sprawy rodzinne, przeszłość, front. Był miły. Gdy zapytałem, o co naprawdę mu chodzi, odpowiedział: „chciałbym abyście współpracowali ze mną”. „Na czym ma polegać ta współpraca” – zapytałem. „Będziemy się od czasu do czasu spotykać gdzieś na mieście, opowiecie mi o waszych kolegach, o ich zapatrywaniach, rozmowach”. Zaniemówiłem. Zacząłem delikatnie wykręcać się, argumentując to między innymi czasochłonną nauką i kłopotami z przyswajaniem rozległej wiedzy. Wreszcie definitywnie odmówiłem. Mój rozmówca, zdenerwowany, wyjął z szuflady rewolwer, uderzył pięścią w stół i krzyknął: „Wy musicie się zgodzić, bo jesteście naszym człowiekiem. Mam o was taką opinię i jeśli nie tu, to będziecie musieli się zgodzić gdzie indziej.”. Wyjął kartkę czystego papieru i kazał mi pisać oświadczenie, że nie wyjawię nikomu treści rozmowy, którą z nim odbyłem. Prawdopodobnie opinia, którą sobie wystawiłem odchodząc z KBW, przyczyniła się do propozycji wciągnięcia mnie do współpracy jako tajnego pracownika służb specjalnych. Przez dwa tygodnie żyłem w ciągłym strachu. Któregoś wreszcie dnia podczas rannego apelu dowiedzieliśmy się o przeniesieniu naszego „oficera informacji” decyzją władz naczelnych do Koszalina. Odżyłem. Mogłem spokojnie zająć się studiami. Pamiętam jeszcze z tego czasu napis widniejący na ścianie naszej sali: „Niech żyją NSZ” (Narodowe Siły Zbrojne) i wściekłość „oficera informacji”. Dzięki naszemu dowódcy, pułkownikowi Dołgopiatowi, udało się jakoś zatuszować całą sprawę. Na zajęcia medyczne uczęszczaliśmy, maszerując ulicami miasta w zwartej kolumnie, czwórkami, śpiewając. A było dokąd maszerować. Wykłady i ćwiczenia odbywały się w wielu odległych punktach miasta, między innymi w budynku Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica przy Alejach Racławickich, skąd szliśmy do tzw. „Jeszybotu” przy ul. Lubartowskiej, gdzie przed wojną mieściła się szkoła rabinacka. Część zajęć mieliśmy w śródmieściu: przy placu Litewskim, w Collegium Anatomicum przy ul. 22 lipca, w dawnym Gimnazjum im. Stefana Batorego. Tam uczyliśmy się anatomii prawidłowej, preparowaliśmy zwłoki, z których zdobyciem nie było wówczas problemu. Pochodzili najczęściej z domów pomocy społecznej, gdzie przebywali ludzie bezdomni lub bez rodzin. Pamiętam zwłoki mężczyzny z głęboką bruzdą na szyi, jak się okazało – skazanego na śmierć i powieszzonego, niemieckiego komendanta obozu na Majdanku.

Był początek stycznia 1946 roku. Wezwała mnie ówczesna sekretarka dziekanatu, pani Tarłowska. Chodziło o oryginalne świadectwo maturalne, które powinienem natychmiast dostarczyć, w przeciwnym wypadku zostanie skreślony z listu studentów. Nie wiem, gdzie zostały przekazane dokumenty tajnego nauczania ze Lwowa. Piszę więc do wszystkich kuratoriów w Polsce. Brak odpowiedzi. Sekretarka radzi mi wobec tego, bym teraz przystąpił do egzaminu maturalnego jako eksternista, bo właśnie Kuratorium Lubelskie ogłosiło zapisy. Co robić? Decyduję się, nie mam wyboru.

Na dwa tygodnie wyłączam się z zajęć medycznych i intensywnie przygotowuję się do egzaminu maturalnego z dziewięciu przedmiotów. Trudności miałem wielkie. Mijało tyle czasu. Gdzieś przez te wojenne lata uleciał przyswojony kiedyś materiał. Ostatecznie zdaję pomyślnie egzaminy i uzyskuję wymarzone świadectwo dojrzałości, uprawniające do studiów na wyższych uczelniach. Wielka radość! Po kilku dniach otrzymuję, ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, oryginalne świadectwo dojrzałości wydane przez Państwową Komisję Weryfikacyjną przy Kuratorium Oświaty, ze wszystkimi ocenami zdanych we Lwowie końcowych egzaminów. List przychodzi z Kuratorium Szkolnego w Rzeszowie. Mam więc już dwie matury, jedna o kierunku humanistycznym, druga matematyczno-fizycznym. Mogę kontynuować spokojnie studia. Warunki bytowe poprawiły się, także dzięki paczkom UNRRA. Przejazdy kolejowe były bezpłatne.

Jest wiosna 1946 roku. Pamiętne referendum z trzema pytaniami, dotyczącymi spraw politycznych o: Ziemię Odzyskaną, senat, reformę rolną i nacjonalizację przemysłu. Referendum „3 razy tak”, bo takie było zalecenie rządzącej ekipy. Przeciwnicy apelowali o „3 razy nie”. Nastroje i atmosfera wśród słuchaczy KMW były różne, choć większość z nas miała przekonania prawicowe, była patriotycznie wychowywana w domach rodzinnych i przedwojennych szkołach. Wiedzieli o tym nasi dowódcy, wiedzieli przedstawiciele władzy. Pamiętam maszerujące przed budynkiem katedry grupy agitatorów porządkowych, wznoszących okrzyki: „Precz z reakcją Katedry Medycyny Wojskowej, precz, precz!”. Uśmiechaliśmy się widząc to przez okna. Głosowanie odbywało się w koszarach wojskowych. Pomaszerowaliśmy zwartym szeregiem. Ustawiono nas zgodnie z alfabetem przed urną wyborczą. Komisję, jak ujawnił nam później kolega powołany do obliczania głosów, zaskoczyła znaczna, zwarta liczba kartek z odpowiedzią 3 razy „nie”. Oczywiście podejrzenia padły na nas – i słusznie. Z końcem wiosny 1946 roku Katedrę Medycyny Wojskowej przekształcono na tzw. Fakultet Medycyny Wojskowej, który ostatecznie rozwiązano w lipcu tego samego roku. Duży wpływ miały tu chyba wyniki naszego głosowania w referendum oraz patriotyczne nastroje wśród słuchaczy. Część kolegów przeniosła się do Łodzi, z nas 68 zostało wcielonych do grupy tworzącej tzw. Kadrę Oficerów Studentów przy Szpitalu Okręgowym Bobolanum. W tej grupie znalazłem się razem z moim przyjacielem z frontu, Mikołajem Bojszą. Dowódcą tej jednostki wojskowej był pułkownik Robert Stryer. Po zdaniu egzaminów zakończyliśmy szczęśliwie pierwszy rok studiów.

Tymczasem rodzice Zuzanny zostali ekspatriowani ze Lwowa i osiedli w Bytomiu, a ona sama ukończyła liceum i zdała maturę w Chorzowie. Przystąpiła do egzaminu wstępnego na Wydział Lekarski UMCS i została przyjęta w poczet studentów. Wielka to była dla nas obojga radość. Po tak długiej rozłące znowu razem. Podczas wakacji wybieramy się w Tatry, do Zakopanego, stamtąd w Pieniny, w wagonie, który, jak się okazało, ubezpieczał cały pociąg. Obwarowany wewnątrz workami z piaskiem, wiózł gotowych do walki żołnierzy. Przyjęto nas ze względu na mój oficerski mundur. W Krościenku szukamy noclegu, chodząc od domu do

domu. Mieszkańców dziwi mój oficerski mundur. Wreszcie udaje się wynająć dwa pokoje. Rano wyruszamy na wycieczkę do Czorsztyna – ja już w ubraniu cywilnym. Płyniemy tratwą pięknym przełomem Dunajca. Powrót jest wieczorem do Krościenka. Jestem sam w swoim pokoju. Nagle wchodzi dwaj mężczyźni z pistoletami w rękach. Partyzanci ze zgrupowania „Ogień”. Rewizja osobista, bagażu, portfela, książeczki oficerskiej, w której widniała adnotacja o nadaniu mi stopnia oficerskiego przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zaskoczeni tym pytają: „Co pan miał wspólnego z bezpieczeństwem?”. Opowiadam cały mój życiorys, przejścia wojenne, zahaczam o studia medyczne. Głos mi drży, myślę bowiem, że czeka mnie taki sam los jak oficerów KBW, których akta personalne otrzymywałem w sztabie w Warszawie. Jeden z mężczyzn, wskazując mój mundur wiszący na krześle z licznymi baretkami odznaczeń wojennych, mówi z ironią: „Widzę, że pan dzielnie walczył za Polskę Ludową.”. Staram się jakoś wytłumaczyć. W portfelu mam kilka religijnych obrazków. Ten podarowany mi przez mamę przed wyruszeniem na front to Matka Boska Ostrobramska z modlitwą Biskupa Polowego WP Gawliny na odwrocie, pisaną w Londynie w 1940 roku, w której prosi on Matkę Boską o przywrócenie Polakom ojczyzny. Widzę zdziwienie na twarzach mężczyzn. Napiętą atmosferę dodatkowo rozładowuje wchodząca do mojego pokoju Zuzanna. Tłumaczy im spokojnie naszą sytuację i przekonuje do naszych patriotycznych przekonań. Uwierzyli, schowali pistolety, a mój zarekwirowali. Przyznali, że mieli mnie zlikwidować. Radzili wyjechać jak najszybciej, bo mogę zginąć z rąk innych partyzantów. Ten obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej uratował mi życie. Trudno uwierzyć. Mam go przy sobie zawsze do dziś dnia.

Jesień 1946 roku. Rozpoczynam drugi rok studiów, Zuzanna – pierwszy. Mieszkam z kolegą przy ulicy Górnej, na drugim piętrze. Warunki są prymitywne, z jedyną toaletą znajdującą się na podwórzu. Dajemy sobie jakoś radę. Każdego miesiąca otrzymujemy pobory ze Szpitala Wojskowego. Drugi rok studiów obejmował wszystkie podstawowe przedmioty teoretyczne. Brakowało podręczników. Nocami przepisujemy całe strony *Anatomii* Bochenka. Na wszystkie wykłady i ćwiczenia uczęszczamy regularnie. Są nadzwyczaj interesujące. Sale wykładowe i ćwiczeniowe rozrzucone w różnych odległych punktach miasta. Wykłady odbywają się często w nieopalanym salach, wypełnionych jednak po brzegi stojącymi słuchaczami. Notujemy, opierając zeszyt na plecach kolegi z przodu. Częstym miejscem nauki jest park lub cmentarz przy ulicy Lipowej.

Rok 1947. Na 19 stycznia wyznaczono dzień wyborów do sejmu. Podniecenie wśród ludności. Propaganda, apele „za” i „przeciw”, demonstracje, aresztowania. Strajkująca młodzież domaga się uwolnienia aresztowanych kolegów. Pamiętam, że w dniu 15 stycznia na placu Litewskim i wokół niego zebrał się tłum złożony z młodzieży szkolnej i akademickiej oraz osób dorosłych. Wysłuchaliśmy transmitowanego przez megafony przemówienia Stanisława Mikołajczyka, apelującego do głosowania na PSL. Wznoszono okrzyki, często antypaństwowe. Grupy ubeków rozpędzały tłum, bijąc uczestników wiecu i wtłaczając ich do samochodów ciężarowych. Wywieziono ich następnie poza granice mia-

sta, skąd musieli wracać sami. Wielu aresztowano. Ówczesny rektor UMCS, prof. Henryk Raabe, zebrał studentów Wydziału Lekarskiego w sali wykładowej Collegium Anatomicum. Sala wypełniona była po brzegi. Rozrzucono ulotki nawołujące do głosowania na ugrupowanie Mikołajczyka, przywódcy Niezależnego Ruchu Ludowego. Przemówienia zakłócali ubecy zgromadzeni na klatce schodowej, którzy siłą chcieli wdrzeć się do sali. Drzwi jednak zostały skutecznie zatarasowane przez kilku studentów w mundurach wojskowych, wśród których byłem i ja. Zebranie zakończył rektor słowami: „Koledzy, głosujcie według własnego sumienia”. Otrzymał gromkie brawa. To był szczególny człowiek, o wysokiej kulturze i dużej odwadze. Cenił dawne obyczaje akademickie, między innymi eksterytorialność wyższej uczelni w stosunku do policji. Zaprotestował przeciwko wtargnięciu na uniwersytet pracowników UB i aresztowaniu studentów. Nigdy nie zapomnę jego życzliwego stosunku do nas. Profesor Raabe był posłem do Krajowej Rady Narodowej. Pełniąc funkcję rektora UMCS był równocześnie ambasadorem w Moskwie. To dzięki jego pomocy udało mi się sprowadzić do Lublina w 1950 roku moją matkę, która pozostała po wojnie we Lwowie.

Masowy udział w lubelskim strajku młodzieży szkolnej i akademickiej odbił się szerokim echem w całej Polsce. Czasy, o których piszę, przepełnione były atmosferą terroru i obawy przed represjami. Wierzyliśmy, że wyniki wyborów, podobnie jak wyniki referendum z 1946 roku nie zostaną sfalszowane. Tymczasem zakończyły się one „prawie stuprocentowym zwycięstwem” zwolenników władzy ludowej.

Tadeusz Ulrych

Tadek: życiorys (I)

Wszystko było trudniejsze niż się zapowiadało i nic nie przebiegało zgodnie z planami! Ale czy los Polaka z Kresów, urodzonego w roku 1920, mógłby być inny?

Rodzina, w której przyszedłem na świat, trzymała się razem. Naturalnie były zapewne jakieś problemy i różnice zdań, lecz będąc dzieckiem nigdy ich nie widziałem i nie odczuwałem. Byliśmy religijni i polskie tradycje nadawały koloryt i rytm naszemu życiu. Prawdomówność była zasadą dnia i rodzice zawsze dbali, byśmy u nich szukali rady we wszystkich naszych dziecięcych i młodzieńczych kłopotach. Ojciec zawsze podkreślał, że musimy trzymać się razem. Gdy mój starszy o dwa lata brat Staszek zdał maturę w roku 1936, Ojciec podczas Bożego Narodzenia wyjawiał swój sen, swoje marzenie: po mojej maturze kupimy duży dom we Lwowie, by cała rodzina mogła żyć razem i nigdy nie rozłączać się. Lecz nic nie przebiegało zgodnie z planami! Z chwilą wybuchu wojny przysnął sen Ojcowski – od 1939 roku już nigdy nie byliśmy razem!!! A ja wtedy właśnie nauczyłem się tego, by żyć dniem dzisiejszym i nie robić dalekosiężnych planów.

Moją małą ojczyzną stał się Bitków. Dzisiejszym Polakom nazwa ta nie mówi nic, lecz w Polsce międzywo-

Wkrótce, bo już w marcu tego roku, rozwiązano Kadre Oficerów Studentów przy Szpitalu Okręgowym. Skierowano mnie do Sztabu Głównego WP w Warszawie, celem ostatecznego załatwienia demobilizacji. Na moją prośbę dopuszczono mnie do Szefa Departamentu Personalnego WP, generała Zawadzkiego. Chciałem wyjaśnić przyczynę, dla której wyrzucono mnie z wojska, pozostawiając bez środków do życia. Usłyszałem w odpowiedzi: „Wrogów państwa nie mamy zamiaru karmić.” I jeszcze: „Jeżeli wy, inteligent, wierzycie, że władza może przejść z rąk do rąk poprzez kartki wyborcze, to medycynę skończycie, ale chyba na księżycu.”. Dalsza dyskusja nie miała sensu. Przeszedłem do cywila. No i zaczęły się nowe kłopoty. Był to chyba najcięższy rok studiów i jeszcze egzaminy końcowe. Zaczęłem udzielać korepetycji uczniom z klas maturalnych. Z Caritasu otrzymałem cywilne ubranie, z KUL-u bony obiadowe, sprzedałem część rzeczy i tak dotrwałem do sesji egzaminacyjnej. Egzamin z fizjologii człowieka u prof. Wiesława Hołobuta zdałem celująco, choć w tym czasie nie było takiej oceny. Profesor zapytał, czy chciałbym u niego pracować. Zaskoczony, wykrztusiłem: „Panie profesorze, bardzo serdecznie dziękuję, właśnie zostałem wyrzucony z wojska i nie mam z czego żyć.”. profesor był zadowolony, tym bardziej, że tak jak i on, pochodziłem ze Lwowa. I tak zaczęła się moja wieloletnia praca w Zakładzie Fizjologii, początkowo na etacie zastępcy asystenta. Z uwagi na brak kadr naukowych w tym czasie, asystentami niezrędko byli studenci. Podobnie, wielu kierowników zakładów i klinik, mających ukończone studia i stopień doktora, było „zastępcami profesora”. (c.d.n.)

jennej była dobrze znana. Sprawily to ropa naftowa i gaz ziemny, których bogate pokłady eksploatowano na znaczną skalę. Działy tu firmy polskie i zagraniczne, między innymi „Mobiloil”. Dwie główne kopalnie to towarzystwa polsko-francuskie; w jednym z nich – „Galicysko-Karpackim Naftowym Towarzystwie Akcyjnym” pracował mój Ojciec jako inżynier lądowo-wodny. W tym miasteczku wszystko „kręciło się” wokół ropy i dzięki niej. 300 szybów i dwie gazolinie (produkujące olej napędowy) przemieniły ten rejon w zagłębie naftowe. Może wydać się nieprawdopodobne, lecz w roku 1909 wydobywano w Galicji prawie 2 mln ton ropy, tj. 5,2% produkcji światowej, podczas gdy Iran w 1913 roku produkował zaledwie 0,2 mln ton!

Moja mała ojczyzna to 3000 mieszkańców, z których większość stanowili Polacy; zaraz za nimi byli Ukraińcy, później Rosjanie, niewielu Niemców i Austriaków, jeden Francuz i dwóch Żydów. Było tu wszystko, co jest potrzebne do życia dla takiej społeczności: kościół poświęcony w 1925 roku, 7-klasowa szkoła, dwie biblioteki, kino, kasyno urzędnicze i „Dom Robotników”, poczta i policja, lekarz i izba chorych, dwa sklepy, rzeźnicy, piekarnia, knajpy. Obrazu dopełnia urząd gminny, w którym stanowisko sołtysa piastował mój Ojciec, cieszący się zaufaniem i Huculów, i robotników. Inne instytucje znajdowały się w oddalonej o 14 km Nadwórnej, do której regularnie kursowały autobusy. Szpital, sąd, stacja

kolejowa łącząca z linią Stanisławów-Worochta: wszystko to znajdowało się w zasięgu ręki.

Ojciec Franciszek po szkole powszechnej poszedł do Gimnazjum św. Anny w Krakowie, następnie na Politechnikę we Lwowie, by jako świeżo upieczony inżynier w 1913 roku podjąć pracę w Bitkowie. Rok później poznał swą przyszłą żonę. Wanda Bilaszewska, wnuczka powstańca z 1863 roku, była córką Emila i Kazimierzy – kierownika szkoły i nauczycielki w Narajowie koło Brzeżan. Ślub wzięli w Kościele Mariackim w Krakowie w 1917 roku, w następnym urodził się Staszek, a w 1920 w Glinniku Mariampolskim – ja. Teraz oboje Rodzice spoczywają na cmentarzu Rakowickim w Krakowie; Ojciec zmarł w roku 1965, mając 79 lat, Mama – 20 lat później w wieku 93 lat. Los i historia nie oszczędzały tego pokolenia – w ich życiu było wszystko: dwie wojny światowe, odzyskanie niepodległości po 123 latach niewoli, Cud nad Wisłą, deportacje, rozłąka z najbliższymi...

A wszystko zapowiadało się tak dobrze! Moje dzieciństwo pod opieką Rodziców było prawdziwie beztrudne. Świat wokół przyprawiał o zawrót głowy, a ciekawość rozniecał Ojciec, zabierając mnie na „spacery” po kopalni – wyciągami do góry, koło magazynu na Trzecią Sekcję i koło kancelarii na Pierwszą i Drugą Sekcję, i horyzontalnie do Pasiecznej; wędrowaliśmy także na Kiczere, gdzie były dawne okopy rosyjskie lub na Bęben na Kamienie, niezwykle – polodowcowe. Były to lata szkoły powszechnej. Gdy podrosłem, wyjechałem do Stanisławowa do gimnazjum. I wciąż trwało szczęście. Na wakacje powracałem do domu, nad Bystrycę. Rzecka, góra, wycieczki rowerowe do Pasiecznej, zima na nartach; pierwsze zabawy dziecięce, pierwsze potańcówki w kasynie... Tak, to było idealne życie!

Lecz... wszystko było trudniejsze niż się zapowiadało! Od młodych lat miałem kłopot z oczyma i musiałem nosić okulary. Nie lubiłem tego!!! I zaczęło się. Jeszcze w domu w młodszych latach było jako tako, lecz w bursie i w gimnazjum przeżywałem naprawdę trudne chwile. Moje wyniki w nauce stawały się coraz gorsze. Profesor Rotter powiedział memu Ojcu, by zabrał mnie do domu i nie tracił pieniędzy na moją naukę, gdyż nic nie umiem. Odpowiedź była krótka i zdecydowana: właśnie dlatego że nie umiem, posłał mnie do gimnazjum. Dziadek poradził mojej Matce, by zawiozła mnie do sławnego okulisty we Lwowie, dra Machera. Jego diagnoza była niczym wyrok: ponieważ ślepnę, nie wolno mi pisać ani czytać; powinienem przez jeden rok zrezygnować ze szkoły i powrócić do domu! Ojciec zwerbował korepetytora. Student Kopeć czytał mi i uczył wszystkiego, co przewidywał program, a ja czytałem i pisałem tylko to, co było konieczne. Tak przez trzy lata! Nie brałem udziału w sporcie, byłem półślepy, stałem się pośmiewiskiem... Wszak – wszystko było trudniejsze niż się zapowiadało!!!

Po trzech latach wzrok nareszcie zaczyna się poprawiać. Coraz więcej czytam samodzielnie, osiągam coraz lepsze wyniki i pomału pnę się w górę. Przez ostatnie trzy lata gimnazjalne mieszkam na stacji u prof. Drabika. Co prawda mój rękopis jest beznadziejny, ale profesorowie zrozumieli, że przyczyną nie były lenistwo lub głupota, lecz zagrożenie ślepotą.

Maturę zdałem 8 maja 1938 roku i cała rodzina odechnęła z ulgą! Najszczęśliwszy był Ojciec – batalia

została wygrana!!! A prof. Rotter? Przypadkowo spotkany przez moją Matkę na dworcu w Stanisławowie 1.09.1939 roku, przeproszał za to, że tak źle wyraził się o mnie przed laty, bo przecież dziś jako podchorąży idę bronić Polskę przed najeźdźcą. Matka popłakała się w jego ramionach. Tak zakończył się ten etap mego życia.

Lecz nim nadszedł pamiętny wrzesień 1939 roku, ja, świeżo upieczony maturzysta, wróciłem ze Stanisławowa na wakacje. Bystrzyca, jak w poprzednich latach, kusila swym szumem obiecując nieskończoną wolność, lecz tym razem musiałem o niej prawie zapomnieć. Czas i uwagę pochłaniały przygotowania do egzaminu na Politechnikę Lwowską. Z Porohów przyjechał szkolny kolega, Marian Jutisz, i pod okiem Ojca pracowaliśmy nad zadaniami matematycznymi. Nie dawaliśmy wytchnienia naszemu umysłom, tym bardziej że w połowie lipca rozpoczął się miesięczny obóz pracy, który osłabił nieco nasz pęd do matematyki. Ale myślę, że praca przy budowie drogi Worochta-Żabie wyszła nam na zdrowie.

Lato 1938 roku to jeszcze jedno wydarzenie ogromnie dla mnie ważne. Umiera Dziadziu. Był dzień 31 lipca. Pogrzeb odbył się 3 sierpnia. Ponieważ był chrzczony w cerkwi grekokatolickiej w Horoholinie (z tego prostego powodu, że nie było kościoła rzymskokatolickiego), więc ksiądz Korczyk po odprawieniu modlitw w domu poprowadził kondukt do cerkwi i tam ksiądz Korol odprawił nabożeństwo. Tytu świeczek nigdy w życiu nie widziałem – jakby króla żegnali!!! Został pochowany w Wołnej Polsce, o którą walczył przez całe życie jako nauczyciel.

Nadszedł wrzesień – czas egzaminów. Zabrałem więc co trzeba, przede wszystkim głowę pełną twierdzeń i wzorów matematycznych i pojechałem do Lwowa zdawać na Politechnikę. Nagle, w ślad za mną przyjechał Ojciec z nieoczekiwaną propozycją. Radzi, bym podpisał „papierek” pod tytułem: „Ochotnik na Podchorążówkę”. Mówi: „Czas niepewny, szykuje się wojna i jeśli wybuchnie, to będziesz kimś w wojsku, a jeżeli nie – to po roku wrócisz na Politechnikę.”. Czy można było zarzucić coś temu rozumowaniu? Komisja lekarska orzekła, że nadaję się do służby wojskowej. Moje prawe oko z wynikiem plus dwa zupełnie wystarczyło, a lewe było nieważne.

W dniu moich 18 urodzin, 3 października 1938 roku przekroczyłem bramę stanisławowskich koszar przy ul. 3 Maja i włożyłem mundur na jeden rok. To był bardzo długi rok – wszak nic nie przebiegało zgodnie z planami! Do cywila poszedłem w sierpniu roku 1948 w Anglii!!! Jak widać – czekała na mnie cała historia!

Boże Narodzenie 1938 roku spędziłem w koszarach. Zarządzono ostre pogotowie, gdyż na Rusi Zakarpackiej wybuchły rozruchy ukraińskie i mieliśmy jechać do koszar 48 pułku piechoty strzelców kresowych na granicy w Jablonnej. Na szczęście alarm po kilku dniach odwołano i na Sylwestra tańczyłem w kasynie w Bitkowie. A później – jak w piosence – ostatniego „mazura”, już jako podchorąży, zatańczyłem w czerwcu 1939 roku w bitkowskim domu robotniczym!

Po tygodniach i miesiącach ćwiczeń i zajęć teoretycznych w maju 1939 roku ukończyłem Podchorążówkę w Stanisławowie, która wchodziła w skład 11 Dywizji, obejmującej 48 pułk ze Stanisławowa, 49 z Kołomyi i

53 ze Stryja. Ja zostałem przydzielony do 48 pułku piechoty strzelców kresowych i rozpoczął się obóz nad Bystrycą w Pniowie. Miałem wielkie szczęście – ćwiczenia w moich okolicach, tak blisko Bitkowa! W domu bywałem co niedzielę, lecz czas szybko mijał. Nadszedł 20 sierpnia i jak zwykle po tygodniu ćwiczeń pojechałem do domu. Tę niedzielę będę pamiętać do końca życia – po południu, jak nigdy przedtem i nie wiadomo dlaczego, obszedłem cały dom od pokoju do pokoju! Właściwie nie działo się nic szczególnego. Później rozpoczął się kolejny tydzień życia obozowego i tak aż do piątku, 25 sierpnia. Jeszcze w nocy mieliśmy ćwiczenia na Hydze, a po powrocie około północy kapral zaproponował mi, bym jak zwykle poszedł do domu, a on zaopiekowałby się moim karabinem. Propozycja była kusząca – po ćwiczeniach sobota jest wolna, więc...? Nie skorzystałem z oferty. Coś mnie tknęło! Wróciliśmy do obozu, a tu... ani śladu namiotów!!! Błyskawiczny posiłek: kawa i chleb, i marszem do Stanisławowa. Tak intuicja ocaliła mnie przed dezercją!!!

Rodzice przyjechali po południu, a wieczorem – reorganizacja. W niedzielę 27 sierpnia przyjechała Mama i poszliśmy na kawę do cukierni. Nagle na ulicy zaczął się jakiś nadzwyczajny ruch. Podeszedł do nas właściciel cukierni, by powiedzieć tylko jedno słowo: MOBILIZACJA! Ucałowałem Mamę i jak najszybciej do koszar! Przydzielono mnie do batalionu rezerwowego i zostałem jeszcze w Stanisławowie. Mama przyjechała 1 września. Następny raz spotkamy się na lotnisku w Londynie w 1959 roku! Po dwudziestu latach...

7 września wymaszerowaliśmy do Stryja. Po kilku dniach mjr Dudkiewicz przekazał nam, trzem podchorążym, sztandary 48 Pułku pod opiekę i... nasz oddział powraca do Stanisławowa. Zatrzymaliśmy się w Uhrynowie Dolnym, niedaleko mostu na Bystrzycy. Koledzy skorzystali z okazji – rodziny tak blisko... Ja zostałem przy sztandarach i wojsku. Wszędzie wokół słychać naloty, ale nas ominęły. W niedzielę 17 września poszedłem do miejscowej cerkwi i serdecznie pomodliłem się. A wieczorem – poszliśmy na dworzec kolejowy, załadowaliśmy się do podziurawionego pociągu i... odjechalismy w nieznaną. Rano przejeżdżaliśmy przez Nadwórna. Popatrzyłem w kierunku na mój Bitków i zauważyłem robotnika. Poprosiłem, by przez kierownika rozlewni ropy zawiadomił inżyniera Ulrycha, że młodszy syn pojechał w góry. Otrzymali tę wiadomość 19 i odetchnęli z ulgą. Wieczorem w Worochcie napisałem kartkę do domu, lecz ta nigdy nie doszła do adresatów. Telefony nie działały. A tymczasem przekroczyliśmy granicę. Za ostatnie 20 złotych kupiłem butelkę wina. Nie wiedziałem oczywiście, że przez długie, długie lata nie będę trzymać w ręce polskich pieniędzy. Jechaliśmy pomału. Miejscowi przynosili owoce, chleb, ser; baby płakały. Na większych stacjach dostawaliśmy gorący posiłek. W Debreczynie oddaliśmy broń i w końcu dotarliśmy do celu: Esztergom Tabor.

W niedalekim naddunajskim Esztergom, siedzibie prymasa Węgier, znajduje się Katedra, gdzie Sobieski modlił się po bitwie pod Parkanami, na drugim brzegu Dunaju. To tu rozegrał się ostatni akt odsieczy wiedeńskiej w październiku 1683 roku. Jan III Sobieski rozgromił tylną straż uciekającej armii tureckiej i... Europa odetchnęła z ulgą: wówczas została ocalona! Na pa-

miątkę tamtych wydarzeń w Katedrze w Esztergom utworzono Kaplicę Sobieskiego i w mieście postawiono pomnik króla-zwycięzcy.

Naszym przeznaczeniem jednak nie jest szlak polskiej chwały wojskowej, lecz dawny obóz jeńców rosyjskich z lat 1915-1917 i węgierskiej kawalerii. Dowódca obozu zaprowadził nas na duży cmentarz jeńców rosyjskich, którzy wymarli na tyfus. Krzyżąc oznajmił krótko: „Higiena i wszy!!!”. Po powrocie do obozu odkryliśmy naszego przeciwnika. Walka z wszami zajęła nam ponad miesiąc, ale w końcu odnieśliśmy zwycięstwo! Nie poprawiło ono jednak naszego samopoczucia – na ogół było „pod zdechłym azorkiem”. Wszyscy krytykowali rząd polski i wojsko; zaczęły rodzić się niesamowite plany i pomału zaczynamy dzielić się na trzy obozy:

- 1) wyjazd do Francji;
- 2) powrót do Kraju;
- 3) siedzieć na d... i czekać.

Żołnierze z broni specjalnych mieli pierwszeństwo i to oni najwcześniej zaczęli zniknąć. Placówki polskie pracowały nadal i wszystko było zorganizowane.

Większość „wracających do mamy” wpadła w ręce NKWD od razu na granicy i stała się gośćmi Stalina. Z niektórymi z nich spotkaliśmy się ponownie w Palestynie i wtedy nasłuchaliśmy się o ich przeżyciach.

Ja długo musiałem czekać na swoją kolej – no cóż: taka była dola piechura. Do rodziny do Bitkowa wysłałem kilka kartek, ale otrzymałem tylko jedną. Mój brat Staszek odnalazł mnie przez Czerwony Krzyż, ale też skończyło się na jednej kartce. Najważniejsze jednak, że wiadomości dotarły.

Nadszedł marzec, a z nim moja kolej... Pierwsza ucieczka skończyła się po kilku godzinach. Dostałem 7 dni kryminału. Jeden z wartowników był Słowakiem i gdy dowiedział się, że nie jestem złodziejem, lecz durakiem, który dał się złapać, pocieszał mnie śliwowicą i poradził: najlepiej uciekać w południe przez wartownię. To nie żart! Była wiosna i wielu żołnierzy pracowało w ogrodach węgierskich oficerów i sierżantów. Wystarczyło iść za kimś wychodzącym i... zniknąć.

Tymczasem zaczął się kwiecień. Znowu moja kolej. Lecz tym razem – przez wartownię i... nareszcie świeże powietrze. Popołudnie przesiedzieliśmy – ja i współtowarzysze – w szuwarach, a wieczorem do meliny. Przebraliśmy się „w cywila” i taksówką do Budapesztu na 4 Matias Ter. Byliśmy wolni, mogliśmy chodzić, gdzie tylko nam się zechciało, ale my wszyscy – uciekinierzy mieliśmy takie same ubrania, więc łatwo mogliśmy wpaść w oko.

Na szczęście obyło się bez wpadki i po kilku dniach dotarliśmy do Herzegsanto, gdzie na granicy jugosłowiańskiej znajdował się polski obóz. W nocy z 2/3 maja przekroczyliśmy granicę i zostaliśmy przywitani przez Serbów. Natychmiast wsiedliśmy do pociągu i na święto 3 Maja dotarliśmy do konsulatu polskiego w Belgradzie. Dopiero w stolicy Jugosławii poczuliśmy się swobodnie. Ale wciąż byliśmy w drodze. Kolejny etap to Ateny, do których dotarliśmy kolejną przez Sarajewo-Saloniki-Termopile. Tu znowu kilka dni swobody.

10 maja niesamowity ruch na głównym placu oznajmił nam, że Niemcy zaatakowały Francję. Niektórzy optymiści wpadli w rozpacz, bo przecież wojna skończy się bez nas, skoro alianci spiorą Hitlera w ciągu miesią-

ca (Emil, prawnik ze Lwowa, zawsze nam powtarzał, że głupota ludzka nie ma dna i miał rację). Znowu minęło kilka dni i tym razem załadowaliśmy się na okręt „Warszawa” i 15 maja wylądowaliśmy w Bejrucie. Powitały nas słowa: „Tu jest wojsko! Skończyła się wasza swoboda!”. Jednak – głupota nie ma dna!

Mając legitymację nie potrzebowałem weryfikacji, że jestem kapralem podchorążym i odjechałem pierwszym transportem do Homs w Syrii. Najpierw była kolejka zębata przez Liban do Balbeku (wspaniała krajobraz), a dalej kolej normalna.

Obóz znajdował się 2,5 km od miasta Homs u stóp Antylibanu na granicy pustyni syryjskiej. Tędy biegła główna arteria drogowa i kolejowa z Aleppo do Damaszku i Bejrutu.

Koszary murowane zajmował batalion Legii Cudzoziemskiej i szwadron Czerkiesów. Nam, Polakom przeznaczono nowobudowane baraki drewniane. Moim dowódcą pułku, następnie 3 Batalionu, był mjr Józef Sokół (służył w 1 pułku 1 brygady Legionów; po wojnie wrócił do Polski, mieszkał w Rudzie Śląskiej i tam jest pochowany). Ponieważ znaleźliśmy się od samego początku, więc byliśmy per „ty”, tzn. ja do niego zwracałem się „panie majorze”, a on do mnie „gówniarzu”.

Natychmiast po przybyciu do obozu odkryliśmy gorzką prawdę: Francuzi i Anglicy nie byli przygotowani do wojny. Dali nam mundury nienadające się na letnią porę na pustyni i starą broń: 3-strzałowy Bertier i karabin maszynowy nr 24 – oba sprzed I wojny światowej!!!

Jadwiga Niedzielska

Lwowskie wspomnienia szkolne

W sierpniu ubiegłego roku obiecałam redakcji „SF”, że jeśli z okazji 60 rocznicy Powstania Warszawskiego opublikuje moje wspomnienia o lwowiakach, którzy w tym Powstaniu wzięli udział, to w podziękowanie za to opowiem, jak to się stało, że jako 11-letnia dziewczynka nie ruszając się krokiem ze Lwowa też wzięłam udział w Powstaniu Warszawskim. Spełniam więc to przyrzeczenie i rzecz wyjaśniam krótko – przeżycia te zawdzięczam szkole, do której wtedy uczęszczałam już w radzieckim Lwowie.

Szkoła ta zastępuje na serdeczne wspomnienie w związku z rolą, jaką odegrała w krzewieniu polskości działając pod sowiecką okupacją w roku szkolnym 1944/45. Przed wojną było to szacowne, z wielkimi tradycjami XI Gimnazjum Męskie im. Braci Śniadeckich mieszczące się przy ul. Szymonowiczów. Za „drugich sowietów” została tam ulokowana „10 Sieriednia Szkoła Czerwonoarmijsko-koho Rejona”, która była już szkołą koedukacyjną i dziesięciolatką.

Rozpoczęłam naukę w tej szkole 1 września 1944 roku jako uczennica klasy IV. I właśnie w pierwszych dniach września, kiedy na świecie trwała jeszcze wojna, nasza wychowawczyni – wspaniała, odważna polska nauczycielka pani Emilia Pammerowa weszła do klasy ogromnie poruszona i oświadczyła, że ostatniej lekcji

Ochotnicy przyjeżdżali prawie codziennie z różnych stron świata: ośmiu z Mandżurii (potomkowie powstańców z 1863 r.), jeden z Sahalinu, kilku z Brazylii i Argentyny.

Czas mijał na ćwiczeniach. Klimat dokuczał nam niemiłosiernie. Jeszcze do tego dodać idiotyczny system plac i o mało nie doszło do buntu. Na całe szczęście 19 czerwca dotarła do nas wiadomość, że Francja jest gotowa do kapitulacji i z 27/28 wyjechaliśmy do Palestyny, wchłaniając we własne szeregi kilku legionistów zmierzających do naszego obozu. Zatrzymaliśmy się nad południowym brzegiem Tyberiackim z pięknym widokiem na górę, gdzie Pan Jezus nakarmił 5000 ludzi tuzinem ryb i bochenków chleba.

Anglicy witali nas z entuzjazmem – oni także nie mieli wojska do obrony całego Bliskiego Wschodu. Nowe życie w Latrum zaczęliśmy 1 lipca. Nasz obóz znajdował się na wzgórzu 232 El Atrum, niedaleko Emaus, gdzie Chrystus po zmartwychwstaniu ukazał się dwóm uczniom. Zamieszkaliśmy w namiotach, wypłacano nam angielski żołd, wykonywaliśmy ćwiczenia odpowiednie do klimatu, a nie według widzimisię idiotycznych polskich zawodowych, zwiedzaliśmy miejsca święte.

Wciąż przybywało więcej i więcej Polaków, m.in. czwórka warszawiaków, która na Boże Narodzenie i Sylwestra 1939 r. była w Warszawie, a w czerwcu już w naszym obozie.

Ja, przeszedłszy operację na zeza w szpitalu australijskim na Górze Oliwnej, utopiłem okulary w Morzu Martwym! Och, jaka wygoda!!!

(c.d.n.)

zakazów musiała być nawet dla 11-letniego dziecka ogromnie wstrząsająca, to jednak główną przyczyną wstrząsu i tego wewnętrznego łkania były słowa nauczycielki, że giną ludzie i leje się krew.* Kiedy więc zdążyłam dorosnąć, a w moich myślach i w sercu wciąż tkwiła pamięć o Powstaniu Warszawskim, zrozumiałam, że tymi gorącymi łzami i dziecięcą rozpaczą nad przelaną krwią wzięłam udział w tym wielkim wydarzeniu w dziejach mojej Ojczyzny.

A kiedy po Październiku 1956 zaczęły ukazywać się książki o Powstaniu Warszawskim, kupowałam je natychmiast i czytałam namiętnie, aby wiedzieć jak najwięcej o tamtych faktach i ludziach, o bohaterstwie tamtych dni, które zostały w moim sercu i w mojej pamięci. A wszystkie te wzruszenia zawdzięczam ukochanej szkole z ulicy Szymonowiczów we Lwowie.

Pozwolę sobie więc w tej opowieści ze szkolnych lat przekazać garść wspomnień i refleksji o tej niezwyklej, jak na owe czasy, placówce oświatowej, w której pobierałam naukę w roku szkolnym 1944/45. Był to tragiczny czas przełomu dla powracającej do życia Polski, a przede wszystkim dla Lwowa, nad którym już wisiała groźba oderwania od Macierzy.

W obliczu sowieckiej indoktrynacji i wielu nieprzewidzianych zagrożeń ta szkoła zachowała jeszcze w pełni ducha polskości, mimo że jej „głównym” dyrektorem był Rosjanin o nazwisku Bunielik, który snuł się po korytarzach w mundurze wojskowym lekko kulejąc, bo pewnie oddelegowano go do tej „diologicznej roboty” prosto z frontu. Większość rady pedagogicznej stanowił jednak nauczyciele polscy, tylko dyrektor administracyjny Bilik był Ukraińcem, a języka rosyjskiego uczyła Rosjanka z Leningradu – wojująca agitorka marksizmu-leninizmu i zdeterminowana rusyfikatorka pozostająca w ostrym konflikcie z polską młodzieżą. Dyrektorem pedagogicznym był za to uwielbiany przez młodzież nauczyciel geografii profesor Jasiewicz, którego pamiętam z różnych wystąpień w szkole, o innych zaś nauczycielach opowiedzieli mi starsi koledzy, którzy w tym samym czasie uczęszczali do „naszej kochanej budy”, a których tak jak mnie, los rzucił na Górnym Śląsku.

Resztę wiedzy o tym, co działo się „na Szymonowiczów” w roku szkolnym 1944/45 zaczerpnęłam z małej książeczki Marii Koniecznej-Sawickiej „Historia nie jedyna. Opowiadania lwowskie”. Maria Sawicka – aktywna działaczka TMLiKPW we Wrocławiu była w tamtych czasach uczennicą IX klasy naszej „10 Sieredniej”. Do jej wspomnień jeszcze powrócę, teraz muszę dokończyć przedstawianie reszty nauczycieli polskich, których udało mi się odszukać w pamięci ich wdzięcznych uczniów, tych, którzy w sowieckim Lwowie jeszcze nie całkiem przerobionym na „Lwow” czy „Lwiw” zdołali stworzyć przynajmniej na krótki czas autentycznie polską szkołę.

Był więc zastępca Bunielika dyrektor **Kaczorowski** i byli kochani przez młodzież wykładowcy najważniejszych przedmiotów jak: polonista prof. **Zwołński**, historyk **Bogusław Sienkiewicz**, matematyk **Adam Warzke**, fizyk prof. **Strojny**. Języka ukraińskiego uczył niezbyt lubiany przez społeczność uczniowską pan **Kuchta**, a moją jedyną nauczycielką, która w ówczesnej IV klasie uczyła wszystkich przedmiotów, była wspaniała, odważna i bardzo patriotyczna pani **Emilia Pamme-**

rowa. Do najważniejszych wspomnień o Niej jeszcze powrócę, a teraz pragnę przedstawić osobę jakże ważną w każdej szkole – naszego kochanego tercjana o historycznym nazwisku **Leszczyński**, który wraz z małżonką w godzinach przedpołudniowych dbał o szkołę, a wieczorami pełnił funkcję garderobianego w lwowskim Teatrze Wielkim. Był wspaniałym Polakiem, wielkim przyjacielem młodzieży, nieraz wybawiał z opresji niesfornych uczniów, zwłaszcza, gdy swoją buntowniczą postawą narażali się „czynnikom radzieckim”.

Zima przełomu 1944/45 była niezwykle ostra i śnieżna, szkole brakowało opału, a wiele okien w budynku przerażało powybijanymi szybami. Z problemem ogrzewania trzeba było radzić sobie na własną rękę. W mojej klasie stał duży żelazny piecyk, zaś opał w postaci szczypki czy węgla uczniowie musieli przynosić z domu. Ogień w piecyku też rozpalaliśmy same. Która z nas przyszła do klasy pierwsza „uruchamiała” piecyk i witała nadchodzące koleżanki miłym ciepłem grzejącego już piecyka, najczęściej tą pierwszą byłam ja, bo zawsze przynosiłam szczypki i mieszkłam blisko szkoły. Pamiętam, jak z tym paliwem brnęłam po kostki w śniegu głęboką nocą, bo wedle czasu wschodnioeuropejskiej lekcje rozpoczynały się naprawdę o 6 rano, a musiałam w tych ciemnościach przemierzyć rozległą i pustą przestrzeń kortów tenisowych, które znajdowały się między ul. Szymonowiczów a Mączyńskiego. Inne klasy radziły sobie z tym chłodem w różny sposób. Z opowiadań moich starszych koleżanek wiem, że na przykład niektórzy uczniowie przynosili na lekcje jakieś dziwne woreczki wypełnione tajemniczą substancją chemiczną, która po zwilżeniu wydzielala z siebie ciepło i można było nimi ogrzewać ręce. Była to pewnie zdobycz wojenna, jakieś ogrzewacze przydzielane żołnierzom na froncie. Zaś wspaniałe dziewczyny z IX klasy założyły na przykład teatrzyk amatorski, urządziły w sali gimnastycznej lub na deskach domu kultury przedstawienia płatne, a zarobione pieniądze przeznaczały na szklenie okien i zakup węgla.

Repertuar tego ich teatrzyku był wyłącznie polski – grano fragmenty „Dziadów” Mickiewicza, „Panią Twardowską”, a także wybrane dialogi Szczepka i Tońka z „Wesołej Lwowskiej Fali”. Dyrekcja szkoły była za tę inicjatywę chwalona i mimo że jeden z programów nosił znamienity tytuł „Listy z łagrów”, naczelstwo jakoś nie zgłaszało zastrzeżeń. Pewnie rzecz całą przeoczono.

Te zainteresowania teatralne starszych dziewcząt rozbudziły w uczniach zapotrzebowanie na prawdziwą sztukę, zaczęły się wyprawy na przedstawienia do prawdziwego teatru. Na szczęście wówczas jeszcze funkcjonował w tym okupowanym Lwowie Teatr Polski, który miał siedzibę na ul. Jagiellońskiej w pobliżu placu Smolki. Można tam było obejrzeć takie arcydzieła jak „Wesele” Wyspiańskiego, czy Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka”. Grali zaś w tym teatrze wielcy mistrzowie: Artur Młodnicki, Zofia Petri, Bronisław Dąbrowski czy Tadeusz Woźniak. Tych wspaniałych aktorów miałam szczęście obejrzeć na szkolnym spektaklu „Przepióreczki”, ale z całego przedstawienia zapamiętałam tylko często powtarzane nazwisko Przełęcki i okrzyk „Porębiany, Porębiany!”.

Stopniowo jednak radzieckie władze szkolne zaczęły przykręcać rozluźnione „zawory swobody”, rozpoczęła

się agitacja skłaniająca uczniów do wstępowania w szeregi Komsomolu lub do pionierów. Moją klasę odwiedzała dość często młoda Ukrainka, tzw. „pionierwożata” (drużynowa), aby namawiać nas do wstępowania do pionierów. Wizyty te nie były jednak dla niej owocne, bo my umówiliśmy się, że wszystkie będziemy dawać jednobrzmiącą odpowiedź: „ja ujeżdżaju w Polsce”. Za trzecim podejściem pionierwożata wściekla się usłyszawszy te same odpowiedzi, tupnęła nogą i wykrzyknawszy: „a tam toże radian's'kaja derżawa!” wyszła z klasy tupnawszy jeszcze raz i trzasnęwszy drzwiami.

Młodzież buntowała się jawnie, zdarzały się różne incydenty, bo jak wiadomo, młodzież nie uznaje kompromisów. A więc uciekało się na wagary (gdy chodziło tylko o jedną godzinę, to nawet do piwnicy szkolnej) – głównie, gdy w planie była lekcja języka rosyjskiego ze znieawidzoną leningradczanką. Innym razem znów wydelegowani do kina „Stylowy” na międzyszkolną akademię z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej chłopcy z IX klasy, którzy jako chór rewelersów mieli tam wykonywać pieśni masowe, odśpiewali znieacka „Pośród wichru i zamieci” – pieśń z czasów obrony Lwowa kończącą się słowami: „nie oddamy swojskiej chaty, bo Lwów był i będzie nasz”. Ci chłopcy to Jerzy Helski, Mieczysław Kusiak, Andrzej Wajda (prawdopodobnie krewny radiowego Szczepka) oraz Schindler. Po tym niesłychanie odważnym wyczynie groziło im już prawdziwe niebezpieczeństwo. Ostrzeżono ich i kazano uciekać. Helski i Kusiak uciekli natychmiast przez zieloną granicę do Polski. Przebrani w mundury kolejarskie i holowani przez prawdziwych kolejarzy szczęśliwie przedostali się na drugą stronę. Wajda i Schindler nie zdążyli, więc przesiedzieli 9 miesięcy na Łackiego. Potem na szczęście wyszli, bo byli nieletni, no i zostali już wpisani do kart ewakuacyjnych swoich rodziców. Obaj wylądowali w Bytomiu.

Z tym śpiewaniem zresztą zdarzały się przeróżne incydenty. Takie na przykład wydarzenie na pochodzie 1-majowym opisane przez Marię Konieczną w książce „Historia nie jedyna”, autorka była wówczas uczennicą IX klasy.

Pochód szkolny szedł ulicą Zybkiewicza, ale gdzieś w okolicy Zielonej powstał niewyobrażalny korek. Wielkie zbiorowisko młodych ludzi i tak już wrogo nastawionych do tego pochodu utkwilo w tym zatorze na przeszło 3 godziny, nic więc dziwnego, że z nudów zaczęto szukać jakiejś rozrywki. Były więc najpierw piosenki harcerskie i biesiadne i może na tym byłoby się skończyło, gdyby nie ostentacyjne oburzenie, prawie wściekłość, okazywana przez uczniów narodowości ukraińskiej, bo wtedy na złość im popłynęła piosenka marynarska „Morze, nasze morze”, tyle że słowo „morze” zastąpiono słowem „miasto”, no i zabrzmiała pieśń: „Miasto, nasze miasto! Wiernie Ciebie będziem strzec.”. Wywołało to popłoch wśród nauczycieli, którzy zaczęli uciszać śpiewających uczniów, a to z kolei spowodowało nasilenie nastrojów buntowniczych, więc nagle rozległ się śpiew:

„Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją
I śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją.”.

Błyskawicznie zgromadził się tłum, ludzie zaczęli bić brawo i wtedy dyrektor Jasiewicz kazał młodzieży się rozejść. Konsekwencji nie było, bo za parę dni uroczy-

ście fetowano zwycięstwo nad faszyzmem i zakończenie wojny, więc incydent poszedł w zapomnienie.

I jeszcze jedna historia związana ze śpiewaniem, na szczęście już nie tak groźna. Otóż po zakończeniu zajęć szkolnych w czerwcu 1945, chłopcy ze starszych klas zostali skoszarowani gdzieś w okolicach Podzamcza i tam jeszcze przez jakieś 2 tygodnie byli dokształceni w sztuce wojennej w ramach tzw. „wojennej podgotówki”. Był piękny początek lata, zajęcia odbywały się w terenie, więc podczas przemarszów ruski komandir wydawał rozkaz: „zapiewaj!”. Ale nasi chłopcy zamiast śpiewać np. „Idiot wojna narodnaja, swiaszczennaja wojna” albo „Ech, put’, darozka frontowaja, nie straszna nam bambioszka liubaja” śpiewali sobie „Bo w piechocie fajno jest” albo „Wojenko, wojenko! Cóżes ty za pani!”. Komandir się wściekał, ale zazwyczaj kończyło się to jedynie groźnym okrzykiem: „mołczy, swoloc, mołczy!”. Tę historię opowiedział mi mój kolega szkolny Bogusław Helski, młodszy brat Jerzego Helskiego – tego, co zmykał przez granicę w przebraniu kolejarza. Bogusław Helski był wówczas uczniem VIII klasy, potem zasłużył się wielce jako aktywny działacz harcerski w Komendzie Bytomskiego Hufca ZHP, obecnie mieszka w Katowicach.

Koniec roku szkolnego 1944/45 obchodziliśmy w naszej kochanej budzie bardzo uroczystie, bo niezwykle aktywna i zaangażowana młodzież przy wsparciu swoich polskich nauczycieli zorganizowała niezwykle uroczystość zamykającą ten pamiętny rok szkolny, dla wielu już ostatni we Lwowie. Wszystkie punkty programu miały wyraźny wydźwięk patriotyczny. Zaczęło się od recytacji „Koncertu Jankiela” z „Pana Tadeusza”. Ten występ był zainscenizowany w taki sposób, że gdy oparta o fortepian recytatorka wypowiedziała słowa:

„I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,

Marsz triumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła«,

to siedząca przy fortepianie pianistka zagrała uderzając z całych sił w klawisze ów „Marsz Triumfalny”. Potem niezwykle wrażliwa i jak na swój wiek nieprzeciętnie zdolna uczennica z mojej IV klasy Ewunia Dilling recytowała przejmująco „Pieśń Filaretów” Mickiewicza, a po niej cała nasza klasa odśpiewała na scenie bardzo uroczystie pieśń na cześć polskiego morza zaczynając się od słów: „Wolności słońce pieści lazur”, a w tekście były podniosłe słowa o polskiej fladze uśmiechającej się do złotych fal i o tym, że „póki kropla jest w Bałtyku, polskim morzem będziesz ty”.

Po tej pieśni znów była recytacja fragmentu „Pana Tadeusza”, tym razem: „Poloneza czas zacząć”. Ten punkt programu otwierał jakby część rozrywkową akademii, bo w czasie tej recytacji sznur dorodnych dziewcząt z X klasy barwnie ubranych tańczył tego poloneza na nutę „Pożegnania Ojczyzny” Kleofasa Ogińskiego. Potem wystąpił zrekonstruowany (po wpadce na akademii ku czci Rewolucji Październikowej) chór rewelersów – czterech przystojnych chłopaków z X klasy zaśpiewało wiązankę polskich pieśni żołnierskich, a wśród nich: „O mój rozmarny”, „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”, „Przybyli ulani pod okienko”, „Jak to na wojence ładnie”, no i tą najpiękniejszą, która najgłębiej wpadła w moje serce: „Hej dziewczyno, hej niebogo! jakieś wojsko jedzie drogą”. Potem teatrzyk szkolny dał na zakończenie jakąś krótką komedijkę z życia dorastających panienek.

Dzisiaj nawet trudno sobie wyobrazić uroczystość tak naładowaną polskością i patriotyzmem w szkole zarządzanej przez radzieckie naczalstwo. Po 45 latach w roku 1990 będąc na wycieczce we Lwowie spotkałam wśród jej uczestników panią z Wrocławia, która też pamiętała tę uroczystość i szczególnie tych czterech przystojnych rewelersów. Od niej dowiedziałam się, że po tej uroczystej akademii profesor Jasiewicz stracił stanowisko dyrektora pedagogicznego. Dobrze, że tylko tyle.

Po części oficjalnej rozeszliśmy się do swoich klas, gdzie odbyło się rozdanie świadectw.

I muszę tutaj wrócić do postaci szczególnie zasługującej na moje wspomnienie – najwspanialszej polskiej nauczycielki pani Emilii Pammerowej. Anna lwowska podają, że ród Pammerów dobrze zasłużył się miastu, a pani Emilia Pammerowa może być tego najwspanialszym przykładem. Ucząc nas historii Rosji nie omieszkła przy nadarzającej się okazji nawiązać do dziejów Polski. Zapoznając nas z geografiami Związku Radzieckiego potrafiła zręcznie przeskoczyć kijem po mapie ku Wiśle i powiedzieć: „Widzicie tę literę „S”? Pamiętacie, to Wisła, nasza polska rzeka.”

Więc kiedy przyszedł moment wręczania świadectw, pani wychowawczyni znowu ogromnie zaskoczyła nas tym, co powiedziała, zanim przekazała pierwszej uczennicy jej świadectwo. A zwróciła się do nas tymi słowami: „Zanim zacznę rozdawać świadectwa i dyplomy pochwalne, pragnę zwrócić waszą uwagę na mój podpis znajdujący się u dołu każdego świadectwa po stronie ukraińskojęzycznej, podpis ten brzmi: Pammerowa Emilia Ja (chodzi tu o rosyjską literę „ja” – „я”), a poszło o to, że pan dyrektor Bunielik kazał mi po imieniu i nazwisku wpisywać literę „I” (czyli otczestwo – po ojcu), ale ja mu powiedziałam, że mój ojciec ma na imię Jan. Iwanem nigdy nie był i nie będzie. Mogę więc ostatecznie być Emilią Janową, zaś Iwanową nie!”. I rzeczywiście po nazwisku i imieniu mojej pani zobaczyłam na

świadectwie i na dyplomie tę triumfalną literę „ja” („я”). Ta wypowiedź doświadczonej nauczycielki skierowana do grupy smarkatych 10, 11-latek była wprost szokująca, a wyrażała wiarę głęboką, że one pojmą to jak należy. I wcale na tym nie koniec, bo wręczając dziesiątce najlepszych uczennic w klasie dyplomy za dobre wyniki w nauce, tzw. „pochwalne gramoty” ozdobione po bokach dwoma elipsami, w których tkwiły portreciki wodzów – w jednej Stalina, w drugiej Lenina, nasza pani powiedziała tak: „Schowajcie dobrze ten dokument, bo może kiedyś po latach zechcecie powiesić go nad swoim tapczanem, aby sobie przypomnieć, pod jakim jarzmem przyszło wam żyć”. Pamiętam te słowa jakby były wypowiedziane wczoraj i nie zapomnę ich nigdy. Mam jeszcze tę swoją „pochwalną gramotę”, choć nie mam ochoty wieszać jej nad łóżkiem, a o jarzmie, pod jakim żyłam jako wygnana z rodzinnego miasta, też nigdy nie zapomnę.

Myślę, że dla mnie i dla wszystkich moich kolegów z tej twardej, ale lwowskiej, szkolnej ławy ten pamiętny rok szkolny 1944/45 był większą lekcją patriotyzmu niż wszystkie późniejsze nauki w PRL-owskich szkołach i uczelniach.

* Ta historia z odśpiewaniem hymnu polskiego wydaje się trochę zagadkowa. Przez długi czas myślałam, że tego pamiętnego wrześniowego dnia odśpiewały go wszystkie klasy. Tymczasem nikt z moich starszych kolegów faktu tego nie pamięta. Czyżby znaczyło to, że nasza dzielna pani Pammerowa podjęła ryzyko tego śpiewu na własną odpowiedzialność, a rzekome pozwolenie rosyjskiego dyrektora było wymyśloną asekuracją przed ewentualnym donosem? Przecież powszechnie było wiadomo, że niektórzy uczniowie pochodzenia ukraińskiego zajmowali się szpiegowaniem i donoszeniem do naczalstwa.



Mariusz Oberc

Tragiczna Wielkanoc roku 1944

Zaledwie 14 km na południowy-wschód od Lwowa leży wieś Wołków, a tuż przy niej Zagórze i nieco dalej Kuhajów. Mieszkańcy tych wsi, ale nie tylko, spotykali się na niedzielnych i świątecznych mszach w wołkowskim kościele parafialnym pw. Marii Magdaleny.

Dolina niewielkiej rzeczki Żubrzy bogata była w urodzajną ziemię, lecz niezaludnioną. Za aprobatą króla Kazimierza Wielkiego, z południowych powiatów Wielkopolski w roku 1369 osiedlili się na niej dwie kolonie: Krotoszyn i Wołków. Ich nazwy koloniści przenieśli z poprzednich miejsc zamieszkania. Przenieśli również wrodzoną gospodarność, dzięki czemu na tym terenie rozwinęły znacząco rzemiosło. Powstały w ten sposób drobny przemysł młynarski, tkacki i stolarski przekształcił tę ziemię z rolniczej na rolniczo-przemysłową. Taki stan trwał aż do roku 1939.

Według przekazów historycznych Wołków doczekał się trzech świątyń: pierwsza powstała jeszcze w XVI wieku pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, jednakże została spalona przez Turków pod koniec wieku XVII. Drugą ufundował ówczesny właściciel tych ziem Stanisław Kurdwanowski i wspólnie ze swoją siostrą wybudował ją na miejscu poprzedniej w 1677 roku. Tym razem za patrona kościoła przyjęto świętego imiennika fundatora. Fara z drewna modrzewiowego, kryta gontem ze smukłą sygnaturką, stojąc wyniosłe na wzgórzu zwanym Gaikiem przetrwała do lat dwudziestych XX wieku razem z czworoboczną dzwonnica-czatownią. Upływ czasu, liczne wojny i długotrwały brak remontu powodowały powolne niszczenie kościoła. Stąd w 1924 roku wojewódzka komisja, pod przewodnictwem konserwatora Józefa Piotrowskiego, poleciła go rozebrać. Natychmiast po demontażu przystąpiono do realizacji nowej świątyni według projektu Bronisława Wiktora. Wielkim orędownikiem postawienia kolejnej fary, a zarazem przewodniczącym jej budowy, był proboszcz parafii Józefat Gieszczyński. Kościół, już murowany, budowano pięć lat i kosekracji dokonano 29 października 1929 roku w obecności starosty Czesława Eckhardta, pośła ziemi lwowskiej Potworowskiego i księdza prałata Kazimierza Dziurzyńskiego występującego w imieniu arcybiskupa Twardowskiego. Tym razem powrócono do pierwotnej patronki fary św. Marii Magdaleny.

Ze wszystkich trzech kościołów za najpiękniejszy uważany jest ostatni i do dzisiaj, pomimo postępującej ruiny, zachwyca swoją architekturą (patrz zdjęcie). Dodatkowo w 2001 roku stwierdzono, że obraz „Niewierny Tomasz” z kaplicy zimowej pochodzi z pracowni Caravaggia, a nawet on sam może być jego autorem. Obraz подарował parafii Jan hr. Dzieduszycki z Milatycz. Obecnie płótno znajduje się w kościele parafialnym w Maszkowie (woj. lubuskie), gdzie zamieszkali dawni mieszkańcy Zagórze.

W Kuhajowie za wzgórzem Mogiłki znajduje się jedyna tam świątynia, zabytkowa drewniana cerkiew pod wezwaniem Objawienia Pańskiego. Do 1909 r. służyła obu narodom, kiedy ukraiński proboszcz zakazał Polakom korzystania z niej. W efekcie cztery lata później



Kościół w Wołkowie – stan w roku 2004

wybudowano kaplicę rzymskokatolicką, a do komitetu jej budowy należał m.in. Jan Kalaciński ze znanej rodziny ciesielsko-stolarskiej. Kalacińscy cieszyli się szacunkiem ze strony Polaków jak i Ukraińców z racji tego, że oferowali swoje usługi przy remoncie obu świątyń. Dowodem tego jest chociażby inskrypcja na odrzwiach cerkwi informująca wiernych o udziale Michała Kalacińskiego jako głównego majstra przy jej renowacji w 1719 r.

W czasie drugiej wojny światowej w wołkowskim kościele posług duszpasterskich udzielało dwóch księży: proboszcz Józefat Gieszczyński i wikary Henryk Szymusik. Pierwszy urodził się 27 listopada 1878 r. w Starym Grodzie pod Krotoszynem, święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1906 we Lwowie, a proboszczem Wołkowa został dziesięć lat później. Drugi urodził się 8 września 1917 r. w Zworze, święcenia przyjął w roku 1940 we Lwowie i przydzielono go do pomocy proboszczowi Gieszczyńskiemu.

Urząd obydwu księży obejmował trudny okres okupacji wojennej lat czterdziestych XX wieku. Proboszcz Gieszczyński nie dotrwał w swej posłudze do końca wojny. Z racji swego wieku podupadał na zdrowiu, a, jak później napisał, wobec narastających mordów ukraińskich musiał opuścić Wołków. W 1943 r. wyjechał do Gródka Jagiellońskiego, następnie w obliczu zbliżającego się frontu ewakuował się do Brzeźca. Na czas najokrutniejszych mordów na ludności polskiej probostwo przejął dotychczasowy wikariusz Szymusik. Razem z urzędem przejął społeczność Wołkowa, Zagórze, Kuhajowa, Milatycz i Tołszczowa.

Mieszkańcy tych wsi żyli ze sobą w zgodzie. Wiele małżeństw było mieszanych. Według spisu ludności z roku 1890 w samym Wołkowie żyło 469 wyznawców religii rzymskokatolickiej, 197 grekokatolików i 41 pozostałych. Do lat 1937/38 nie zwracano uwagi na narodowość, szanowano się nawzajem i współżyło w otoczeniu

pięknej przyrody. Początki nacjonalizmów zaczęto odczuwać już w atmosferze zbliżającej się wojny, a jej wybuch podzielił Polaków i Rusinów. Konflikt obu narodów osiągnął apogeum w 1944 r. na tle pierwszych postanowień koalicji antyhitlerowskiej o przesunięciu wschodnich granic Polski. Uaktywniły się setki UPA celem systematycznego zastraszania terrorem polskich mieszkańców. Do najbardziej krwawych zaliczono mordy na Wołyniu, ale nie mniej okrutne występowały również w innych częściach ziemi lwowskiej. Tak było i w Wołkowie.

Wielkanoc roku 1944 przypadła na początek, kiedy front szybko zbliżał się do Lwowa. Jeszcze na tydzień przed świętami posterunek opuścili policjanci zabierając ze sobą cały arsenał. „Parafianom Polakom zaczęło szeptać, że muszą wybierać się za San” – wspominał ksiądz Szymusik. Pierwsze pociski artyleryjskie zaczęły trafiać w wioski otaczające Wołków. Spadły także na kościół, a ich ślady na murze zachowały się do dzisiaj. Zgoda mocarstw zachodnich na oddanie polskich kresów Rosjanom i zbliżający się front zachęciły Ukraińców do akcji zbrojnych przeciwko Polakom. Mordy odbywały się głównie w nocy, co zmusiło katolików do nocowania w kościele, gdzie będąc w gromadzie i otoczeni grubymi murami byli w miarę bezpieczni. W dzień chowali zabitych, bez względu na narodowość, a pogrzeby należały do niebezpiecznych obrzędów dla rodzin zmarłych, jak i księdza Szymusika. Bandom UPA pomagali ukraińscy sąsiedzi, przez co Polacy musieli często ukrywać się w szuwarach, ziemiankach lub strychach. Działania Ukraińców zmusiły do odwetu ze strony Armii Krajowej, która w marcu napadła na unicką wieś Czerepiń.

W wielkanocnej rezurekcji brali udział ksiądz Henryk Szymusik i liczne grono wiernych. Mimo narastającego niebezpieczeństwa wołkowski kościół był cały zapelniony. Jeszcze świeża była wiadomość o wymordowaniu przez UPA, w pobliskim Grabniku, zasłużonej rodziny Kalacińskich, o zagładzie Garnowskich, Greckich, Huzarów i innych. Celebryjący po słowach „Chrystus zmarłych wstał” zaintonował pieśń „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Wierni, płacząc, podjęli ją, a uroczystość powoli zmieniła się w zbiorowe modlitwy o przetrwanie. Tymczasem banderowcy, aby zdobyć broń i amunicję, napadli na niemiecki oddział w Milatyczach, ale po odsieczce żołnierzy z Wołkowa musieli się wycofać. Ukraińcy pozostawili zabitych, a wśród nich członków wołkowskiego posterunku i przygotowany do poświęcenia wielkanocny koszyk rodziny Kalacińskich. Natomiast w Grabniku oddział UPA, po wymordowaniu rodu Kalacińskich, Tadeusza Greckiego i zamknięciu reszty Polaków w zabudowaniach dworskich, stoczył przegraną bitwę z Niemcami. W kilka dni po Wielkanocy pochowano ofiary mordu w Grabniku. Nabożeństwo żałobne odprawił ksiądz Szymusik, który następnie sam je pochował w Kuhajowie, łamiąc przyjęty zwyczaj pogrzebów z chorągwiami i stosownymi pieśniami kościelnymi w wykonaniu żałobników. Tym odważnym czynem proboszcz uzyskał jeszcze większy szacunek u wiernych.

Po przejściu frontu na zachód nastąpił dwuletni okres zmuszania Polaków mordami, gwałtami i paleńiem wiosek do opuszczania stron rodzinnych. Zapomniano już o przedwojennej, zgodnej symbiozie obu

narodów. Exodus polskiej ludności z wołkowskiej parafii nastąpił na Wielkanoc roku 1946. Cała społeczność, razem z księdzem Szymusikiem i wyposażeniem kościoła, przeniosła się na ziemię gorzowską w województwie lubuskim, gdzie wierni za swoją nową farę wybrali kościół w Kołczynie. Do parafii Wołków-Kołczyn należała moja babcia cioteczna Anna Brylak, która z bliskimi musiała opuścić rodzinne Zagórze.

Za sprawą innej mojej babci ciotecznej – Marii, która poślubiła Ukrainca i pozostała na Wieniawie pod Miłoszowicami, mogliśmy odwiedzać ją i jej rodzinę już od lat 60-tych XX wieku. Coroczne wizyty rozpoczęły się dopiero po 1990 r. i w miarę możliwości odwiedzamy starą parafię wołkowską. Kiedy stary kościół parafialny w Wołkowie, mimo powolnej ruiny, trzyma się dobrze, to „polska część” cmentarza pozbawiona jest, poza kilkoma mogiłami, całkowicie krzyży i pomników. Zagórze poprzepłatane jest nowym i starym budownictwem. W zagrodzie rodzinnej mojej babci do przelomu wieków stał jeszcze przegniły szkielet szopy i rozsypująca się chatka mieszkalna. Dzisiaj nowy właściciel, po ich rozebraniu, wybudował nowy dom. Jadąc malowniczą doliną potoku Żubrza w Kuhajowie mijają się XVII-wieczną drewnianą cerkiew, a w Podciemnem, Rakowcu, Nowosiółce i Krasowie murowane, zamknięte kościoły. W tych wsiach świątynie unickie i katolickie stoją obok siebie, co wytwarza w niedzielne poranki szczególny widok, kiedy podczas mszy małe cerkwie nie mieszczą wiernych, natomiast obszerne kościoły zieją pustką. Nowym charakterystycznym elementem podlowskiego krajobrazu są ceglane wille, których powstaje w każdej wsi bardzo dużo.

W kwietniu 1996 r. ksiądz Henryk Szymusik obchodził 50-lecie powierzenia urzędu w wołkowskiej parafii.



Ksiądz Henryk Szymusik na 60-lecie kapłaństwa odprawił Mszę św. w Krakowie 10 marca 2000 r.

Na tę uroczystość do Kołczyna wybrał się mój ojciec Lesław, który często odwiedzał tam swoją ciotkę Annę. Dzięki temu poznał osobiście sędziwego jubilata i od tamtej pory utrzymuje z nim przeważnie kontakt listowny. Obecnie ksiądz Szymusik przebywa w krakowskim Domu Księży Chorych i w każdym swoim liście z nostalgiją wspomina swój dawny urząd, tragiczne dni Wielkanocy roku 1944 oraz smutny dzień 12 kwietnia 1946 r., kiedy dwoma pociągami cała parafia wołkowska wyjechała na zachód ze stacji Lwów-Sichów.

Mało jest takich kapłanów jak ksiądz Henryk Szymusik. Jedną z jego dawnych parafianek, Janina Borzdyńska mówiła o nim: „Dzięki Bogu za tę łaskę. Jak wiele

dobrego potrafi zrobić jeden człowiek, który żyje Bogiem i Ewangelią”. Cieszę się, że moja rodzina poznała takiego duchownego. Każdy jego list jest dla nas szczególną pociechą duchową i wyjątkowym wydarzeniem.

Pomimo dużej utraty zdrowia i sędziwego wieku, duchowny utrzymuje ścisły kontakt z salezjaninem Piotrem Smolką, który przyczynił się do odbudowy kościoła w Przemyslanach, rodzinnych stronach Szymusika. Siostra księdza Teresa namalowała obrazy dla tej świątyni przedstawiające jej patronów: Matki Bożej oraz Piotra i Pawła. W marcu 2000 r. ksiądz Szymusik obchodził 60-lecie święceń kapłańskich (patrz zdjęcie). □

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

Lwów: pamięć, żałoba, pożegnanie

Wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II we Lwowie, podczas pielgrzymki papieskiej na Ukrainę w 2001 r., była historycznym wydarzeniem i głębokim religijnym przeżyciem – dla Polaków pozostałych w grodzie „Semper Fidelis”, a także ukraińskich wiernych obu obrządków. Przypomnieli sobie o tym w dramatycznych dniach choroby, a potem śmierci Jana Pawła II, dzielili się swoimi wspomnieniami z dziennikarzami.

Prof. Myrosław Popowycz, wybitny ukraiński filozof, uczestniczył cztery lata temu w spotkaniu z papieżem we Lwowie na Sichowie, na które przybyło kilkaset tysięcy wiernych. – *Raptem zaczął padać ulewny zimny deszcz. Mokliśmy i marzliśmy bez parasolek i kurtek – wspomina. I wtedy Jan Paweł II zaczął żartować: „To dobrze, że pada deszcz, bo dzieci będą teraz rosły” i zaśpiewał taką pogodną piosenkę „Nie lij descu, nie lij...”. Nie znam jej, bo to polska piosenka... Dla nas, ludzi z Ukrainy, przyzwyczajonych do bizantyjskich zwyczajów Cerkwi prawosławnej to było ogromnym zaskoczeniem. Przecież żaden z naszych dostojnych hierarchów nie pozwoliłby sobie nigdy na taką frywolność. I ten stary już wtedy, schorowany człowiek swoją wesołością sprawił, że nam wszystkim zrobiło się ciepło. Przeszliśmy zwracać uwagę na deszcz, zimno. Nie tylko my, którzy byliśmy tak blisko – cały ten tłum. I ten tłum był wtedy przy Nim napelniony Duchem Bożym.*

Siostry z lwowskiej katedry unickiej św. Jura mówią, że Ojciec Święty we Lwowie rozlał morze entuzjazmu. Zostawił niezatarte ślady – wspomina Barbara Baczyńska, przewodniczka wycieczek po Lwowie.

Myrosław Marynowicz, prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie tak wspomina i ocenia wizytę Jana Pawła II w 2001 roku: *Dla grekokatolików była otwarciem na świat. Ojciec Święty przemówił do nas w języku ukraińskim. Podniósł godność tego narodu, zasiał ziarno odnowy duchowej i społecznej, które zakiełkowały podczas pomarańczowej rewolucji. Lwów był wzruszony cierpieniem Ojca Świętego i jest wstrząśnięty jego odejściem. Może nie przeżywa tego aż tak*

mocno jak wy, w Polsce, ale też płacze. Dla Lwowa i zachodniej Ukrainy, dla ukraińskich rzymskich katolików i dla Cerkwi grekokatolickiej śmierć Papieża to niepowetowana strata. Podczas Jego wizyty we Lwowie czuliśmy braterstwo łączące Polaków i Ukraińców. Opoką tego braterstwa stał się sam Papież. Myślę, że ten wpływ Jana Pawła II będzie się tylko powiększać.

Mamy nadzieję...

Z wielkim żalem żegnali się z Papieżem mieszkańcy Ukrainy Zachodniej. We lwowskich świątyniach obrządku zachodniego i wschodniego zebrało się kilkadziesiąt tysięcy wiernych. W mieście wywieszono ukraińskie i papieskie flagi z kirem, a w oknach mieszkań stały portrety Jana Pawła II. Lwowskie stacje radiowe uczyły minutą ciszy pamięć Papieża. Na większości taksówek, tramwajów i autobusów powiewały czarne wstążki. Uroczystości żałobne w Watykanie transmitowały trzy ogólnokrajowe kanały telewizji ukraińskiej. Na Ukrainie ogłoszono dzień żałoby narodowej.

7 kwietnia wieczorem kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Lwowa: Polaków, Ukraińców, katolików, grekokatolików, obrządku ormiańskiego, a także wyznawcy prawosławia uczestniczyło w żałobnym nabożeństwie ekumenicznym. W procesji lwowskimi śladami Papieża, która rozpoczęła się z grekokatolickiej katedry św. Jura, mieszkańcy Lwowa ze świecami i podobiznami Ojca Świętego, modląc się i śpiewając po polsku i ukraińsku udali się do Archikatedry Lwowskiej. Tu odprawiona została Msza św. żałobna za śp. Ojca Świętego Jana Pawła II pod przewodnictwem ks. bp. Mariana Buczka. Mszę św. celebrowało trzydziestu kapłanów. Słowo do wiernych wprost z Watykanu skierował J.E. ks. Marian kardynał Jaworski Metropolita Lwowa, który od 53 lat był blisko związany z Karolem Wojtyłą. *„Bóg dał mi łaskę, że w tych ostatnich godzinach Jego życia mogłem być przy Jego łóżku, koncelebrować Mszę św. i namaścić olejem sakramentu chorych”* – napisał arcybiskup do lwowskich wiernych w liście. Dodajmy, że na życzenie Ojca Świętego Metropolita Lwowski nałożył złotą koronkę Matce Boskiej Królowej Polski na obrazie znajdującym się w kaplicy papieskiej w Watykanie.

Na początku Mszy św., w której uczestniczyli przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, władze obwodu i miasta, księża grekokatolicki i proboszcz Katedry Ormiańskiej, odczytano list kondolencyjny prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki do kar-

dynała M. Jaworskiego. Okolicznościowe przemówienia wygłosili także: Gubernator Ziemi Lwowskiej Petro Olijnik, przewodniczący Lwowskiej Rady Obwodowej Ihor Derżko, mer Lwowa Lubomir Buniak i Konsul Generalny RP radca-minister Wiesław Osuchowski.

Po mszy wszyscy w niej uczestniczący udali się pod tablicę upamiętniającą nawiedzenie Ojca Świętego Bazyliki Metropolitalnej. Zapalono znicze, odśpiewano modlitwę „Anioł Pański” i odmówiono „Wieczne odpoczywanie”.

Mieszkańcy Lwowa przez wiele dni składali kwiaty i palili znicze przy pomniku Ojca Świętego – w dzielnicy Sichów, gdzie 16 czerwca 2001 r. spotkał się z tysiącami wiernych. Główna aleja w tej dzielnicy ma otrzymać imię Jana Pawła II.

Lwów pożegnał godnie Wielkiego Papieża Polaka. On uczynił najwięcej dla zbliżenia i pojednania narodów polskiego i ukraińskiego.

Kolejne oświadczenia...

... na temat Cmentarza Obrońców Lwowa i zapewnienia, że dla dobra stosunków polsko-ukraińskich powinien być otwarty, złożył prezydent Ukrainy W. Juszczenko prezydentowi RP podczas swojej pierwszej wizyty w Polsce jako głowa państwa (jednocześnie w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” przytoczył wszystkie dotychczasowe zastrzeżenia podnoszone przez niektórych nacjonalistycznych polityków i radnych lwowskich). Podobne zapewnienie Juszczenko złożył marszałkowi Sejmu Włodzimierzowi Cimoszewiczowi w czasie jego pobytu w Kijowie. Dokładnej daty nie podał, jedynie że w terminie do końca czerwca br.

Mer Lwowa Lubomir Buniak powiedział „Rzeczpospolitej”: – *Jeżeli zapadły jakieś oficjalne ustalenia w tej sprawie, będę sprzyjał rozwiązaniu konfliktu wokół Cmentarza Orląt. Trzeba popierać rozsądne i wartościowe pomysły.*

Szef ukraińskiej dyplomacji Borys Tarasiuk poinformował polskiego ministra spraw zagranicznych Adama Daniela Rotfelda, że „podczas wizyty we Lwowie prezydent Juszczenko zwrócił się do władz Lwowa z prośbą, by powrócić do tej sprawy w duchu polsko-ukraińskiego pojednania i przyjaźni”. Czy pod wpływem tej prośby zebrał się 6 kwietnia we Lwowie – jak podało Radio Luks – „okrągły stół” w sprawie Cmentarza Orląt? Uczestnicy spotkania, radni lwowscy, ponoć doszli do wniosku, że obecnie jest sprzyjający czas, aby w końcu otworzyć Cmentarz Obrońców Lwowa, tym bardziej, że ten problem nabrał nie tylko regionalnego, ale międzynarodowego rozgłosu. Uczestnicy „wszystkich okrągłych stołów” (?) napiszą apel do prezydenta Juszczenki. Zwyciężył rozsądek, czy zmiana taktyki i dalsza gra na zwłokę?

Zamiast komentarza, przytoczę wypowiedź publicysty lwowskiej gazety „Postup” Antona Borkowskyego:

„*Próba zakończenia sporu o Cmentarz Orląt będzie testem dojrzałości dla Wiktora Juszczenki i lwowskich radnych. Konflikt trwa od lat i jest trudny do rozwiązania, bo niektórzy politycy o skrajnych nacjonalistycznych poglądach próbują dzięki niemu zwiększyć swoje poparcie.*”

Jego zdaniem sprawą polskiego cmentarza powinna zająć się specjalnie powołana komisja w Radzie Naj-

wyższej. Wpływ na szybkie zakończenie sporu miałyby też uchwała w parlamencie. – „*Najważniejsze, to pokazać mieszkańcom Lwowa i przeciwnikom przedsięwzięcia, że sprawa Cmentarza Orląt ma znaczenie nie lokalne, ale międzypaństwowe, a więc priorytetowe*” – dodał Borkowskyj.

„Orlęta” czekają. My także, ale coraz bardziej niecierpliwie...

Pokonani, ale nie zwyciężeni

W 65. rocznicę zbrodni katyńskiej cała Polska oddała hołd pamięci pomordowanym na rozkaz Stalina polskim oficerom – jeńcom wojennym. Odbyły się żałobne Msze święte, uroczyste apele poległych, złożono kwiaty pod pomnikami i tablicami upamiętniającymi ten ludobójczy mord na bezbronnych jeńcach. Bardzo podniosły i wzruszający był apel poległych przy dramatycznym w wyrazie, a zarazem pięknym w formie pomniku Ofiar Katynia we Wrocławiu. Stała przy nim Warta Honorowa WP, poczty sztandarowe organizacji kombatanckich, bliscy pomordowanych, członkowie Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej, harcerze, wojskowi, wrocławskie i dolnośląskie władze, mieszkańcy.

Modlono się w holdzie tysiącom polskich oficerów oraz jeńców z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. – Po 65 latach od barbarzyńskiego mordu stajemy dziś do apelu, pochylając głowę przed tymi, którzy polegli za honor i ojczyznę – powiedział płk Szymon Fedorenko z Wojsk Lądowych. – Chwała bohaterom! – odpowiedzieli żołnierze. Na koniec apelu oddali trzykrotną salwę honorową.

Sejm RP w specjalnej uchwale złożył hołd niewinnym ofiarom zbrodni katyńskiej. Wyraził ubolewanie z powodu umorzenia śledztwa wobec sprawców zbrodni przez prokuraturę generalną Federacji Rosyjskiej. Oczekuje, że strona rosyjska wyda wszystkie dokumenty zgromadzone w trakcie prowadzonych śledztw. Sejm RP wyraził poparcie dla decyzji Instytutu Pamięi Narodowej o wszczęciu polskiego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej. Zwrócił się także z apelem do wspólnoty międzynarodowej o godne uczczenie pamięci ofiar Katynia.

Rosyjskie stowarzyszenie „Memorial” poparło uchwałę i apel polskiego Sejmu.

Wrocławscy medycy pamiętają...

... dwukrotną wizytę papieża Jana Pawła II w ich mieście, a także o tragedii w 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie, gdzie hitlerowcy rozstrzelali 25 lwowskich profesorów i członków ich rodzin. Największe straty poniósł wówczas Wydział Lekarski Uniwersytetu Jana Kazimierza. Z okazji 60-lecia Polskiego Ośrodka Akademickiego we Wrocławiu, środowisko medyczne postanowiło upamiętnić te historyczne, choć tak różne w czasie i treści wydarzenia.

12 kwietnia br. w audytorium nowej Akademii Medycznej odsłonięto tablicę pamiątkową z płaskorzeźbą Ojca Świętego, a sala otrzymała imię Jana Pawła II. Przed budynkiem AM wrocławscy hierarchowie kościelni posadzili dwa drzewa – Jan i Paweł.

Podniosła uroczystość odbyła się również w holu Akademii. Do specjalnej ury wyłożono ziemię ze Wzgórz Wuleckich, miejsca kaźni profesorów lwowskich, przywiezioną ze Lwowa przez prezydenta Wrocl-

wia Rafała Dutkiewicza i marszałka dolnośląskiego Pawła Wróblewskiego. Poprzedziła ją modlitwa ekumeniczna, jako że wśród pomordowanych byli przedstawiciele różnych wyznań, w której uczestniczyli J.E. ks. Marian Gołębiowski Metropolita Wrocławski i J.E. ks. Henryk Gulbinowicz oraz kapłani innych wyznań. Licznie zebranych przedstawicieli wrocławskiego świata medycznego, władz miasta, stowarzyszeń lekarskich, kombatanckich i lwowiaków skupionych w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, rektor AM prof. Leszek Paradowski zapoznał z dramatem, jaki się rozegrał w noc lipcową 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. W 1945 r. ocaleni z pogromów wojny naukowcy lwowscy stanowili podstawową kadre utworzonego wówczas Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. To z ich inicjatywy i prof. dr. hab. Henryka Mierzeckiego we Wrocławiu stanął pomnik Pomordowanych Profesorów Lwowskich. Dziś oddajemy im hołd jeszcze raz.



Odsłonięcia urny na marmurowym postumencie i tablicy z napisem: „*Symboliczne prochy ze Wzgórz Wuleckich z miejsca kaźni profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza pomordowanych przez nazistów. Lwów 1941.*” dokonali, obecni na tej uroczystości, potomkowie zamordowanych: Ewa Barska i prof. Antoni Cieszyński. Pochyliły się sztandary licznych organizacji. Minutą ciszy uczczono pamięć Profesorów Lwowskich.

W tym dniu w auli Jana Pawła II nadano tytuł doktora honoris causa AM prof. dr. Franciszkowi Mègraud z Bordeaux.

Rok Ukrainy w Polsce

Premierowym przedstawieniem opery St. Moniuszki „Straszny Dwór” w Kijowie zakończył się Rok Polski na Ukrainie. Trwałymi śladami Roku Polski było otwarcie po renowacji dworku J. Słowackiego w Krzemieńcu i urządzonego w nim muzeum naszego wielkiego poety oraz wystawy, pomnik Adama Mickiewicza w Odessie i pomnik Juliusza Słowackiego w Kijowie.

„Orlęta” ważniejsze

Wśród poważnych kandydatów zgłoszonych na nowego prezesa Instytutu Pamięi Narodowej był Andrzej Przewoźnik, sekretarz Rady Pamięi Ochrony Walk i

Męczeństwa. Piszemy, że był, bo ten – wiarygodny i kompetentny w naszym odczuciu kandydat – już się wycofał z konkursu.

– Muszę dokończyć sprawę, którymi obecnie się zajmuję, m.in. kwestią Cmentarza Obrońców Lwowa – tłumaczył swą decyzję. Niewykluczone jednak, że wystartuję za pięć lat – dodał.

Racja, panie Andrzeju – „Orlęta” są ważniejsze – już tyle lat czekają na ponowne otwarcie ich cmentarza! Dziękujemy w ich imieniu i lwowiaków skupionych w TMLiKPW. Tą decyzją przysporzył Pan sobie jeszcze większy szacunek i uznanie. A za pięć lat poprzemy gremialnie Pana kandydaturę na szefa IPNI!

Prof. S. Nicieja – rektorem

Profesor Uniwersytetu Opolskiego, autor znanych lwowianom i kresowianom książek: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie”, „Łyczaków dzielnica za Styksem” i wielu publikacji o tematyce kresowej Stanisław S. Nicieja został wybrany, znaczną większością głosów, rektorem tego uniwersytetu.

W imieniu członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., którzy bardzo wysoko cenią jego twórczość i działalność w popularyzowaniu wiedzy o Kresach oraz wkład naukowy i kulturalny kresowian do ogólnokrajowego skarbcza – składamy serdeczne gratulacje z okazji zaszczytnego wyboru.

Nowy gubernator lwowski

17 lutego br. prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko przybył do Lwowa, aby oficjalnie przedstawić nowego gubernatora Ziemi Lwowskiej. Został nim Petro Olijnyk, który kierował tu sztabem wyborczym Juszczenki. Prezydent chciał także podziękować lwowianom za ich aktywne uczestnictwo i pełne poparcie „pomarańczowej rewolucji”. Spotkał się ze studentami na Uniwersytecie im. J. Franki oraz z urzędnikami Administracji Obwodowej. Apelowo do nich, żeby byli bardziej otwarci na potrzeby ludzi, a nową politykę tworzyły nowe osoby. Rozmawiał też, podobno, z radą miasta na temat otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa.

Nowy wojewoda otrzymał błogosławieństwo obu kardynałów lwowskich – katolickiego Mariana Jaworskiego i greckokatolickiego Ludomyła Huzara. Zapowiedział, że walka z korupcją jest najważniejszym zadaniem nowo wybranych władz woj. lwowskiego. Zdecydował też o zmniejszeniu liczby swoich zastępców z dziewięciu do pięciu oraz dokonał zmian w kierownictwie milicji wojewódzkiej i administracji.

Nie chcą pojednania z weteranami UPA

– Umieliśmy się porozumieć z Polakami (?), a nawet z Japonią. Nie potrafimy tylko porozumieć się między sobą – przekonywał prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko uczestników spotkania Rady Organizacji Weteranów w Kijowie. Juszczenko wezwał weteranów Armii Czerwonej i Ukraińskiej Armii Powstańczej, którzy 60 lat temu byli wrogami, by 9 maja, kiedy na Ukrainie obchodzi się rocznicę zakończenia II wojny światowej, siedli wspólnie za stołami ustawionymi na Chreszczatnyku, centralnej ulicy w stolicy Ukrainy. To się chyba nie uda, bo – jak doniosła Polska Agencja Prasowa – dawni żołnierze Armii Czerwonej zamiast biesiadować

z weteranami UPA, chcą urządzić na Chreszczatnyku paradę zwycięzców.

Nie tylko my kresowianie, są także Ukraińcy, którzy nie chcą pojednania z „rizunami” z Ukraińskiej Armii Powstańczej. Pamiętają ich „bohaterskie” czyny.

Będzie Dom Polski?

To był główny temat spotkania 4 kwietnia br. Ambadora RP na Ukrainie Marka Ziółkowskiego i Konsula Generalnego RP we Lwowie Wiesława Osuchowskiego z Zarządem Głównym TKPZL i liderami organizacji w nim zrzeszonych oraz dyrekcją szkół nr 10 i 24. Omawiano kilka lokalizacji tej placówki i wszystko wskazuje, że wieloletnie marzenia lwowskich rodaków ziszczą się.

Goście dali temu wyraz na spotkaniu z dziennikarzami ukraińskimi, a lokalne media ukraińskie poinformowały społeczność lwowską, że we Lwowie niebawem będzie Dom Polski.

Może wreszcie się uda... Trzymamy kciuki!

Gnieźnieński Jubileusz

Już 10 lat działa TMLiKPW w Gnieźnie. Inicjatorem utworzenia w tym mieście koła TML był dr Józef Czech, a pierwszym prezesem płk Michał Koziarski. Pobieżny bilans dziesięcioletniej działalności Towarzystwa – które liczy 60 członków – to ponad 40 transportów z darami dla Rodaków na Ukrainie – pierwszy pojechał już w 1994 r., ostatni w grudniu ub. r. ze świąteczną pomocą dla parafian w Strzelczyskach i dla 12 rodzin we Lwowie, ośmiokrotnie podejmowano młodych rodaków zza wschodniej granicy na wakacjach w Gnieźnie. Dzięki pomocy ludzi dobrej woli udało się wykonać kilka operacji chorych dzieci pochodzenia polskiego z Ukrainy. Te działania koordynuje wiceprezes Maria Wichniwicz. W tym roku także zaproszono dzieci na wakacje do Gniezna. Zwiedzają Polskę, wzmocnią swą więź z Macierzą.

Gnieźnieński oddział TMLiKPW zafunduje podopiecznym Strzelczyskom Krzyż Katyński dla uczczenia 65. rocznicy mordu polskich oficerów, pomoże miejscowej szkole w utworzeniu drużyny harcerskiej. Z inicjatywy Mariana Kazimierczaka odbędzie się, po raz drugi, akcja zbierania przyborów szkolnych dla polskich dzieci na Ukrainie.

– Pomoc Rodakom w Strzelczyskach, leczenie ich dzieci w Polsce, wspieranie tamtejszej parafii udaje się nam dzięki darczyńcom, którym z okazji Jubileuszu serdecznie dziękuję – powiedział prezes oddziału TMLiKPW w Gnieźnie mgr Janusz A. Sekulski. Pomagają nam gnieźnieńskie media, dzięki którym nasze apele trafiają do właściwych ludzi.

Formą podziękowania za pomoc i współpracę były odznaki, dyplomy i pamiątkowe medale wręczone na jubileuszowym spotkaniu. Zarząd Główny TMLiKPW przyznał Złote Odznaki Towarzystwa Henrykowi Kwiatkowskiemu, Włodzimierzowi Szkudlarkowi, Andrzejowi Kostrzewskiemu, Kazimierzowi Łacińskiemu, Zbigniewowi Marciniakowi, Juliuszowi Dylorowi, Romualdzie Wieruszewskiej i Stanisławie Mogielickiej. – Pomagamy, bo odczuwamy potrzebę niesienia pomocy ludziom potrzebującym – stwierdzili uhonorowani.

Z okazji 10-lecia gnieźnieńskiego TMLiKPW w miejscowej Bibliotece Publicznej urządzono wystawę pamiątek związanych ze Lwowem, z Kresami i działalnością

Towarzystwa – albumy, książki, piękne zdjęcia z Cmentarza Łyczakowskiego, medale, wzruszający list od rodaków-emerytów pozostałych za wschodnią granicą oraz wycinki prasowe o inicjatywach TMLiKPW, m.in. organizowanie wakacji w Polsce dzieciom z Kresów, różne akcje pomocy rodakom tam mieszkającym itp.

Gratuluję gnieźnieńskim Jubilatom tego, co już zrobili. Możecie być przykładem dla innych. Czyńcie tak dalej!

Pomnik i wiersz

W Alei Zasłużonych na cmentarzu komunalnym w Olsztynie stanął pomnik ku czci Polaków zamordowanych na Wołyniu i Podolu przez OUN-UPA. Ufundowany został ze składek wołyńiaków i podolan osiadłych po wojnie na ziemi warmińsko-mazurskiej, przy współudziale prezydenta Olsztyna.

Z okazji uroczystego odsłonięcia Pomnika Pamięci prezes Oddziału TMLiKPW w Olsztynie prof. Zofia Różańska, kresowianka, napisała refleksyjny wiersz, który za Jej zgodą zamieszczamy.



Na odsłonięcie Pomnika

*Kopiec z kamieni,
a na nim wysmukły żelazny krzyż.
Mogiła.
Mogila-symbol,
bo nikt tu nie leży,
choć leżą tysiące
kobiet i mężczyzn,
dzieci i starców.
Dla nikogo nie było litości.
Niech kamienie tej mogiły
będą znakiem naszej trwałej pamięci
o tych co spoczywają hen na wschodzie,
w ziemi przesiąkniętej niewinną krwią,
bez pochówku,
bez krzyża,
bez światełka w Zaduszki.
Niech wzniesione ramiona krzyża
przygarną ich wszystkich
do naszych serc.*

Zofia Różańska

Radio Polonia na Ukrainie

Od 1 stycznia br., w miastach Ukrainy gdzie są największe skupiska Polaków, codziennie są nadawane audycje w języku polskim i ukraińskim, które przygotowuje zespół Radia Polonia – program dla Zagranicy Polskiego Radia. Jest emitowany na falach UKF na Ukrainie oraz w pasmach lokalnych we Lwowie, Żytomierzu, Winnicy i Chmielnickim. Oprócz tego stacja nadaje półgodzinny program po ukraińsku w innych miastach, m.in. w Kijowie.

Radio Polonia nadaje informacje polityczne i gospodarcze dotyczące Polski, wiele miejsca w programach zajmuje problematyka stosunków polsko-ukraińskich, m.in. gospodarczych, projektów inwestycyjnych w Polsce i na Ukrainie.

Według informacji RP, liczba słuchaczy tej stacji na Ukrainie sięga obecnie 5 milionów osób.

„Ukraina” dla Polaków

W marcu we Lwowie odbyła się prezentacja pierwszego numeru czasopisma „Ukraina” w języku polskim, przeznaczonego dla odbiorcy w Polsce, jak też na Ukrainie. Ma się ukazywać co miesiąc, ale kolejny numer pojawi się za dwa-trzy miesiące, cena – 7 zł. Pismo trafi niebawem do kiosków „Ruch” w Polsce, a później do EMPiK-ów. Autorami artykułów są, i będą, dziennikarze, politolodzy ukraińscy i polscy. Redaktorem naczelnym „Ukrainy” jest były dziennikarz lwowskiej gazety „Postup” Orest Drul.

„Piękny Lwów”

– to pierwsza taka prezentacja w powojennej Polsce. W kwietniu za zamku Książ w Wałbrzychu otwarto wystawę malarstwa, grafiki, zdjęć i rzemiosła artystycznego opowiadającą o urodzie miasta „Semper Fidelis”, z którym związane były dziesiątki pokoleń Polaków. Prezentowanych jest 118 prac, będących skarbnicą miasta Lwowa – najstarsza pochodzi z 1618 r., najmłodsza z 1991. Przywiezione zostały do Książa ze zbiorów Muzeum Historii Lwowa, Biblioteki im. Stefanika (dawnego Ossolineum we Lwowie) oraz Lwowskiej Galerii Sztuki.

Po raz pierwszy pokazana zostanie także niezwykła malarska „Panorama miasta Lwowa”, wykonana przez Zygmunta Rozwadowskiego i Stanisława Janowskiego na początku XX wieku. Ekspozycja odwiedzi najważniejsze polskie miasta, ale kto ma już dziś okazję, niech ją zobaczy. Warto!

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Alicja Zbyryt

Jest takie miasto, co zwie się Lwów, znów wolno o nim dziś pamiętać...

... śpiewały dziewczęta na tej niecodziennej, wyjątkowej uroczystości. 12 listopada ubiegłego roku mieszkańcy Brzegu i liczni goście zgromadzili się w kościele św. Mikołaja na uroczystości nadania Publicznemu Gimnazjum nr 3 imienia Orłąt Lwowskich. Przy ołtarzu, jako

Więści ze Lwowa

● Z trzydniową wizytą przebywał we Lwowie nowy Zarząd Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Goście z Warszawy spotkali się z przedstawicielami środowisk polskich we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej, z Zarządem Głównym Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz z zespołem redakcyjnym „Gazety Lwowskiej”. Do spotkania powrócimy.

● Polskie Towarzystwo Radiowe „Radio Lwów” zorganizowało obchody 75-lecia powstania rozgłośni radiowej we Lwowie. Z przedwojennego zespołu żyje tylko Włada Majewska, ale są jeszcze tacy, którzy pamiętają – jak Janina Zamojska – że gdy nadawano „Wesołą Lwowską Falę” to wyludniały się ulice w całej Polsce. Opowiadała o tym na jubileuszowym spotkaniu. Obecnie „Radio Lwów” nadaje programy na falach „Radia Niezależniści”, raz w tygodniu, ale zespół redakcyjny wierzy, że spełnią się marzenia o własnych falach, na których będzie mógł nadawać częściej.

● 1 marca br. w Domu Uczonych odbył się Koncert Chopinowski, inaugurujący działalność Towarzystwa im. Fryderyka Chopina we Lwowie.

● Tadeusz Różycki – reżyser teatralny, dziennikarz, fotoreporter, mieszkający stale w Paryżu, przyjechał w br. do Lwowa i wyreżyserował – wg własnego scenariusza – Misterium Męki Pańskiej. Przedstawienia odbywały się w kościele św. Antoniego na Łyczakowie. Aktorami byli wierni z różnych parafii lwowskich i różnych wyznań – katolicy, grekokatolicy, prawosławni, a Jezusa grał sam reżyser. Doskonale wcielił się w tę rolę i publiczność odbierała to realistycznie zagrane przedstawienie jako coś, co się dzieje naprawdę. Był więc płacz, łzy i wielka radość, że Pan zmartwychwstał.

● Uwaga turyści wybierający się do Lwowa. Narodowy Bank Ukrainy uprzedza, że zostały wykryte w obiegu fałszywe banknoty o nominale 20 hrywien i 500 euro. Ostatnio na Ziemi Lwowskiej wykrywano raczej fałszywe dolary.

● Najstarszy mieszkaniec Ukrainy Hryhorij Nestir, liczący 114 lat, mieszka pod Lwowem w Starym Jaryczowie i żyje aktywnie. Mówi, że doczekał tak sędziwego wieku dzięki zdrowemu trybowi życia, wesołemu usposobieniu i... braku żony.

KRONIKARZ KRESOWY

szkół i ten jeden poczet – na razie bez sztandaru. W nawie głównej i bocznych zgromadzili się mieszkańcy miasta o prawie pełnym przekroju wiekowym: od gimnazjalistów poprzez młodzież szkół średnich, średnie pokolenie do najstarszych. W pierwszych ławach zasiadli zaproszeni goście: przedstawiciele władz miasta, powiatu, województwa, kurator oświaty, przedstawiciele wojska, policji, kombatancki AK-owscy, sybiracy, przedstawiciele Zarządu Głównego TMLiKPW, nauczyciele brzeskich szkół, a przede wszystkim uczniowie Publicznego Gimnazjum nr 3, ich nauczyciele i rodzice. Gościem specjalnym tej uroczystości był porucznik AK – Eugeniusz Cydzik ze Lwowa, honorowy prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi tzn. nad cmentarzem Obrońców Lwowa.

Po krótkim powitaniu zebranych przez dyrektora PG nr 3 mgr. Jerzego Wrębiaka, krótki rys historyczny patrona szkoły – Orłąt Lwowskich przedstawiła Alicja Zbyryt – prezes brzeskiego oddziału TMLiKPW.

Historia młodych bohaterów obrony Lwowa spłótła się z historią PAMIĘCI o ich czynie. Chociaż nie wolno było, pamiętali lwowianie, którzy po ostatniej wojnie musieli opuścić swoje miasto, a także ci Polacy, którzy tam pozostali, jak np. Eugeniusz Cydzik. Polska historia Lwowa na stałe wplotła się w nasze dzieje, mimo że Lwów należy obecnie do Ukrainy. Są tego widome znaki.

1. Grób Nieznanego Żołnierza w kolumnadzie pałacu Saskiego w Warszawie od 2 listopada 1925 roku kryje trumnę nieznanego Obrońcy Lwowa, ekshumowanego z cmentarza Orłąt Lwowskich.

2. Lwów, jako jedyne miasto w Polsce, za swoją obronę otrzymało w 1920 roku Krzyż Virtuti Militari z rąk naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego.

3. Najmłodszy w Polsce kawaler Krzyża Virtuti Militari to 13-letni Antoni Petrykiewicz, obrońca Lwowa, który poległ z bronią w ręku na Persenkówce i został pochowany w katakumbach cmentarza Orłąt Lwowskich. Do tego odznaczenia został przedstawiony pośmiertnie przez swojego dowódcę rtm. Romana Abrahama.

4. Cmentarz Orłąt Lwowskich, po zagładzie pod gąsienicami sowieckich czołgów w 1971 roku, 18 lat później został zrekonstruowany przez pracowników polskiej firmy „Energopol”, przy wydatnej pomocy polskich mieszkańców Lwowa, którzy i dzisiaj sprawują nad nim pieczę.

5. Coraz więcej polskich szkół przyjmuje za patrona Lwowskie Orłęta. W obliczu niekończących się sporów między Polakami i ukraińskimi władzami Lwowa wokół ostatecznego kształtu tej nekropolii wojskowej każda szkoła, która przyjmuje za patrona Lwowskie Orłęta, staje się ich żywym pomnikiem. PG nr 3 w Brzegu będzie już 18 pomnikiem.

Potem było uroczyste poświęcenie sztandaru przez kardynała Gulbinowicza w obecności chrzestnych rodziców sztandaru: burmistrza Brzegu Wojciecha Huczyńskiego i Alicji Zbyryt z brzeskiego TMLiKPW, ucałowanie i wręczenie go dyrektorowi szkoły, który także go ucałował, zaprezentował zebranym i wręczył szkolnemu pocztowi sztandarowemu.



J.E. ks. Henryk kardynał Gulbinowicz poświęcił piękny sztandar Publicznego Gimnazjum nr 3 im. Orłąt Lwowskich, ufundowany przez burmistrza Brzegu Wojciecha Huczyńskiego.

Na awersie sztandaru na czerwonym tle puszni się Białe Orłęta z herbem Brzegu (Trzy Kotwice) na piersi. U dołu widnieje napis: Publiczne Gimnazjum nr 3 w Brzegu im. Orłąt Lwowskich. Rewers sztandaru przedstawia na niebieskim tle lwowski Krzyż Virtuti Militari, nad którym wyhaftowano: z lewej strony zarysy panoramy Brzegu, z prawej zarysy panoramy Lwowa, zaś u góry napis Semper Fidelis. Sztandar ufundował burmistrz miasta Brzegu Wojciech Huczyński.

Po poświęceniu sztandaru Eugeniusz Cydzik przekazał dyrektorowi szkoły urnę z ziemią pobraną z grobu najmłodszego Obrońcy Lwowa 10-letniego Jana Kukawskiego i z grobu oznaczonego NN. A potem potoczyła się liturgia Słowa i Eucharystii. Szczególnie poruszające kazanie wygłosił ks. prałat Bolesław Robaczek – kapelan brzeskich członków TMLiKPW. Udowodnił, że Polacy w większości zamieszkujący Lwów mieli prawo i obowiązek stanąć w obronie jego polskości i uczynili to dzięki patriotyzmowi swoich najmłodszych obywateli, którzy jak orłęta piersią osłonili swoje miasto. Orzeł to ptak wolny, szybkuje wysoko, bo taka jest jego natura. Jeśli chowa się w kurniku z kurami nabiera kurzych przyzwyczajęń, kurzej odwagi. Ale jeśli poczuje wolną przestrzeń, unosi skrzydła do lotu i wzbija się w przestworza, gdzie jego miejsce. Dlatego młodych Obrońców Lwowa nazwano Lwowskimi Orłętami.

Uroczystą Mszę św. uświetniła obecność kompanii honorowej i orkiestry I Brzeskiej Brygady Saperów, upiększały swoim śpiewem dziewczęta z zespołu „Inwencja” i Piotr Kasztelan z Klubu Garnizonowego.

Po Mszy św. goście przeszli do sali widowiskowej Brzeskiego Centrum Kultury, gdzie były liczne podziękowania, życzenia i przemówienia dyrektora szkoły mgr. Jerzego Wrębiaka, prof. Stanisława Niciei – senatora i specjalisty od historii Lwowa, Jacka Protasiewicza – deputowanego do Parlamentu Europejskiego, kuratora oświaty Franciszka Minora, dyr. Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego Janusza Wójcika, burmistrza Brzegu Wojciecha Huczyńskiego, Eugeniusza Cydzika, prezesa ZG TMLiKPW Andrzeja Kaminskiego, licznych dyrektorów i delegacji brzeskich szkół. Następnie wyko-



Odsłonięcia tablicy upamiętniającej nadanie Publicznemu Gimnazjum nr 3 imienia Orłąt Lwowskich dokonał honorowy prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, specjalnie przybyły na tę uroczystość z ziemią z Cmentarza Obrońców Lwowa Eugeniusz Cydzik

nawcy z Klubu Garnizonowego i PG nr 3 im. Orłąt Lwowskich pod kierownictwem Jany Koronkiewicz dali koncert piosenki i humoru dawnego Lwowa.

Po koncercie goście i młodzież wraz z kompanią honorową, orkiestrą i pocztami sztandarowymi pomaszerowali ulicami miasta do budynku szkoły, gdzie Eugeniusz Cydzik wspólnie z dyrektorem szkoły odsłonił tablicę z nazwą i patronem szkoły. Następnie gości

Kresowe rymy

Po raz XV rozbrzmiewały w sali Klubu Garnizonowego 6 grudnia br. na Konkursie Recytatorskim Poezji Lwowskiej i Kresowej im. Mariana Hemara. Konkurs od wielu lat cieszy się wielkim powodzeniem wśród dzieci i młodzieży szkolnej, a wiersze patrona konkursu, Mariana Hemara, są wykonywane najczęściej. W tym roku Marian Hemar był na cenzurowanym, gdyż niektórzy członkowie jury odczytali przesyłane jego wiersze, czemu trudno się dziwić – były deklamowane 18 razy!

Tegoroczny konkurs zgromadził 55 wykonawców zgłoszonych z 22 szkół z Brzegu, powiatu brzeskiego i Namysłowa. Fundatorami nagród byli: burmistrz Brzegu i Starostwo Powiatu Brzeskiego.

Konkurs jak zwykle odbywał się w czterech kategoriach wiekowych:

- I kategoria – klasy od I do III PSP,
- II kategoria – klasy od IV do VI PSP,
- III kategoria – uczniowie szkół gimnazjalnych,
- IV kategoria – uczniowie szkół ponadgimnazjalnych.

Występy oceniało trzyosobowe jury. Przyznało ono nagrody główne, wyróżnienia specjalne i wyróżnienia.

W kategorii I: I miejsce – Sebastian Pryma z Zespołu Szkół nr 1, z Oddz. Sport. w Brzegu, II miej-

scie – Aleksandra Kryńska z PSP nr 8 w Brzegu, III miejsce – Paula Gielata z PSP w Lubszy, IV miejsce ex aequo Nela Lejczak z PSP nr 3 w Namysłowie i Dominika Sakwa z PSP nr 3 w Grodkowie. Wyróżnienia specjalne – Aleksandra Starzyńska z PSP w Kopicach i Karol Rzeczycki z PSP nr 3 w Brzegu. Pozostali uczestnicy tej kategorii – wyróżnienia.

W kategorii II: I miejsce – Patrycja Dziasek z PSP nr 3 w Grodkowie, II miejsce – Natalia Zych z PSP w Kopicach, III miejsce ex aequo – Ireneusz Trepka z PSP w Lewinie Brzeskim i Aleksandra Drzymała z PSP w Kopicach. Wyróżnienia specjalne: Michał Wasielewski z PSP nr 8 w Brzegu, Małgorzata Gabruk z PSP w Lubszy, Malwina Kleszno i Anna Antoniewicz –

zaproszono do wnętrza szkoły na poczęstunek i zwieźdzenie wystawy o tematyce lwowskiej. Ekspozycje do niej dostarczyli: Zbigniew Grata – honorowy prezes brzeskiego oddziału TMLiKPW, Zdzisław Piwko – prezes wrocławskiego oddziału TMLiKPW, Lesław Flis – nasz wieloletni przyjaciel. Były to stare fotografie Lwowa, książki, albumy, prasa, szkolne świadectwa, indeks UJK, reklamówki, wizytówki itp. dokumenty z dawnego, polskiego Lwowa. Wystawa została skomponowana z wielkim znanstwem przez nauczycieli historii mgr. Marka Suflitę i B. Gonciarską. Zresztą przy organizacji tak wielkiego przedsięwzięcia pracowali wszyscy nauczyciele tej szkoły, a także rodzice uczniów, z Komitetu Rodzicielskiego. Szkoła była pięknie udekorowana suchymi bukietami i wieńcami dożynkowymi.

Poczęstunek w szkole to osobny temat. Był tak bogaty i różnorodny, że każdy gość mógł znaleźć coś smacznego dla siebie. Wśród tej obfitości smakołyków uwagę zwracały kresowe potrawy przyrządzone przez członkinie Towarzystwa Przyjaciół Krzyżowic rodem z Wołynia. Wszyscy chcieli poprobać pierogów, gołąbków, łochazy, barszczyku i innych kresowych specjałów. I ja tam byłam, szampan i kandybał piłam, a co słyszałam i widziałam to tu opisałam.

Z Zarządu Głównego naszego Towarzystwa na tę uroczystość przybyli: Andrzej Kaminski, Jerzy Czyżyci, Zbigniew Umański z małżonką. Dziękujemy za Waszą obecność. □

Laureaci kategorii II – klasy 4-6.



Laureaci kategorii II – klasy 4-6.

obie z PSP nr 3 w Grodkowie, zaś pozostali uczestnicy tej kategorii – wyróżnienia.

W kategorii III: I miejsca nie przyznano, II miejsce – Iwona Ociepa z PG nr 1 w Grodkowie, III miejsce ex aequo – Justyna Kosowska z PG nr 3 w Brzegu, Marcin Bulkowski z PG nr 2 przy Zespole Szkół nr 1 z Oddz. Sport. w Brzegu i Kaja Koronkiewicz z PG nr 1 w Brzegu. Wyróżnienie: Agnieszka Sowa z PG nr 3 w Brzegu.

W kategorii IV: I miejsca nie przyznano, II miejsce ex aequo – Patrycja Gajewska z II LO w Brzegu i Sandra Warzycha z I LO

w Brzegu, III miejsce – Grzegorz Harasimiuk z ZSE w Brzegu, wyróżnienie specjalne – Michał Adamczyk z I LO w Brzegu.

Spośród opiekunów nagrody otrzymali: Zofia Rzepkowska z PSP w Kopicach i nagrodę specjalną – Janusz Rzepkowski z Kopic za wiersze dla wykonawców pisane w lwowskim bałaku. Ta ostatnia nagroda w świetle przesytu poezją Hemara ma specjalne znaczenie. Jeszcze, panie Januszu, prosimy jeszcze! □

Piotr Franków

Gorzowskie obchody 65. rocznicy deportacji Polaków z Kresów Wschodnich w głąb ZSRR

10 lutego br. minęła 65. rocznica pierwszej masowej deportacji Polaków z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, które znalazły się wówczas pod okupacją sowiecką. Z tej okazji Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zorganizował 11 lutego br. w klubie „Pogodna Jesień” wieczornicę poświęconą pamięci Polaków, którzy podczas okupacji sowieckiej byli poddani eksterminacji i wywózkom na Sybir, do Kazachstanu, za koło podbiegunowe w europejskiej części ZSRR i na Daleki Wschód w okolicy Magadanu.

Wieczornicę rozpoczął swoim wystąpieniem Piotr Franków – prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, który przybliżył zebranych okoliczności tamtych wydarzeń. Po nim podzieliły się swoimi wzruszającymi wspomnieniami Sybiraczki-członkinie Towarzystwa: Anna Makowska-Cieleń, Romana Wawrzkiwicz i Weronika Stonoga, które przedstawiły los zesłańca Sybiru widzianego oczyma kilkuletniego dziecka. Opisały ciężką sytuację życiową zesłańców będącą przyczyną dużej śmiertelności: głód, choroby, ciężką katorżniczą pracę w ekstremalnych warunkach klimatycznych.

Anna Makowska-Cieleń wraz z rodziną została wywieziona z wołyńskiego Jagiellonowa, Romana Wawrzkiwicz z mamą – ze Lwowa, a Weronika Stonoga wraz z liczną rodziną – z okolic Drohobycza. Podczas tegorocznych obchodów rocznicowych w Gorzowie tym trzem naszym koleżankom Sybiraczkom wręczono



Kresowianki i Sybiraczki z prezesem TMLiKPW: Anna Makowska-Cieleń, Romana Wawrzkiwicz, Prezes Piotr Franków i Weronika Stonoga z d. Koralewicz

Krzyże Zesłańców Sybiru, nadane przez Prezydenta RP dla uhonorowania ich katorżniczych przeżyć.

Wieczornica była także okazją do wspomnień dla wielu innych członków TMLiKPW, którzy opowiadali o swoich przeżyciach z Kresów Wschodnich w czasach, gdy znajdowały się one pod okupacją sowiecką i niemiecką.

Spotkanie zakończyło się odśpiewaniem hymnu Sybiraków. □

Jan Arski

Oplątek i wybory w piłskim Oddziale

Tegoroczne Spotkanie Oplątkowe Kresowian zrzeszonych w piłskim Oddziale Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, które tradycyjnie przygotowywane było wspólnie z Piłskim Domem Kultury, Zarząd Oddziału postanowił połączyć z Nadzwyczajnym Walnym Zebraniem Członków. Jego zwołanie niespełna rok po Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym uznano za konieczne z uwagi na ustąpienie – z powodu pogarszającego się stanu zdrowia – prezesa Józefa Dobrowolskiego oraz rezygnację jednego z członków i zastępców członków Zarządu.

Na pierwszą, uroczystą część spotkania – dzielenie się oplątkiem – przybyli prawie wszyscy zaproszeni goście: ksiądz dziekan Dekanatu Piłskiego, proboszcz Parafii p.w. NMP Wspomożenia Wiernych w Pile Stanisław Oracz, przewodniczący Komisji Emigracji i Polaków za Granicą Senatu RP senator Tadeusz Rzemkowski, przewodniczący Rady Miasta Piły Mieczysław Augustyn, prezydent Piły Zbigniew Kosmatka i dyrektor Piłskiego Domu Kultury – placówki, z którą Oddział od kilku lat współpracuje – Sławomir Kaźmierczak. Dla mieszkańców Piły i regionu relacjonowali je

przedstawiciele lokalnych redakcji telewizji kablowej i prasy.

Po rozpoczętym przez księdza dziekana St. Oracza łamaniu się oplątkiem i złożeniu sobie nawzajem życzeń noworocznych, p.o. prezesa Oddziału, Jan Arski, oddał głos zaproszonym gościom. Wszyscy oni wyrazili satysfakcję z istnienia w Pile od niespełna pięciu lat Oddziału TMLiKPW i z roli, jaką przybysze z Kresów odegrali w głównym ośrodku miejskim regionu nadnotecznego i w innych miejscowościach po osiedleniu się tutaj w okresie powojennym, a senator Tadeusz Rzemkowski obiecał spotkać się z Zarządem Oddziału, aby omówić formy bliższej współpracy.

W części artystycznej spotkania wystąpił kilkuosobowy zespół wokalny Piłskiego Domu Kultury, który zaśpiewał m.in. kilka kolęd, a członek TMLiKPW, przewodniczący Sądu Koleżeńskiego Oddziału, poeta Ryszard Kilar czytał swoje poświęcone Kresom wiersze.

Na zakończenie spotkania oplątkowego podziękowano sponsorom tej uroczystości, którzy ufundowali ciasta, kawę, herbatę i zimne napoje: zakładom piekarniczo – cukierniczym „Fryc” i „Ziamo” z Piły, „Bochenek” i „Rogalik” z Trzcianki oraz Agencji Promocyjno-Handlowej „Mini-Max” z Piły.

Stanisław Czerkas

Rola wybitnych Polek w Europie Zachodniej

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” – oddział w Opolu – prezes Krystyna Rostocka, przy współudziale Uniwersytetu Opolskiego, zorganizowała konferencję naukową na temat „Rola wybitnych Polek w rozwoju nauki, oświaty i kultury w polskich ośrodkach emigracyjnych na zachodzie Europy”. Konferencja odbyła się 20 listopada ubiegłego roku w Sali Herbowej Urzędu Miejskiego w Opolu. Wygłoszono szereg referatów poświęconych roli kobiet w życiu religijnym, kulturalnym, oświatowym emigracji polskiej na Zachodzie. Na szczególną uwagę zasługują referaty: „Profesor Karolina Lancorońska – ambasador kultury, życia religijnego i ducho-

Po przerwie rozpoczęło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków Oddziału dla przeprowadzenia wyborów uzupełniających do Zarządu. Odczytano list skierowany do uczestników zebrania przez nieobecnego na nim dotychczasowego prezesa Józefa Dobrowolskiego, w którym uzasadnił on powody swego ustąpienia z pełnionej od chwili powołania Oddziału TMLiKPW funkcji. P.o. prezesa Jan Arski podkreślił znaczne zasługi byłego prezesa dla spopularyzowania i rozwoju Towarzystwa w Pile i jej okolicach.

W wyniku wyborów członkowie Oddziału w Pile funkcję prezesa Zarządu Oddziału powierzyli Janowi Arskiemu. Członkiem Zarządu wybrany został Aleksander Pytel z Piły, a zastępcami członków Jerzy Ernest z Trzcianki, Janina Staniszevska z Piły i Kazimiera Augustyniak z Jastrowia.

Zarząd, który ukonstytuował się ponownie na posiedzeniu w dniu 28 stycznia, funkcję wiceprezesa Zarządu powierzył Witoldowi Wintonowiczowi z Trzcianki i uchwalił apel do Rady Miasta Piły o nawiązanie partnerskiej współpracy z Tarnopolem na Ukrainie. Z terenu byłego polskiego województwa tarnopolskiego pochodzi wielu członków TMLiKPW zrzeszonych w piłskim Oddziale. □

Zbigniew Abram

60-lecie Obertyniaków w Sobocisku

W pierwszych dniach sierpnia 1945 roku do wsi Sobocisko w obecnym powiecie olawskim przybyło około trzydziestu pięciu polskich rodzin. Polacy ci pochodzili z Obertyna. Było to małe historyczne miasteczko, leżące w pow. horodeńskim w województwie stanisławowskim. Obertyn wpisał się w karty historii dzięki zwycięskiej bitwie. Bitwę tą szczegółowo opisał pan Marek Plewczyński i wydał swoją książkę pt. „OBERTYN 1531 rok”.

Przybyli do Sobociska ludzie z Obertyna – mieli za sobą ciężkie i dramatyczne przeżycia. Przez ponad trzy miesiące (od kwietnia do połowy lipca 1944 r.) żyli bezpośrednio na linii frontowej. Żyli w ciągłym strachu o życie swoje i rodziny. Poruszali się tylko nocą, karmili

i poili bydło, przygotowywali pożywienie dzieciom i sobie. Żyli w wykopanych rowach z dala od domów. Niebezpieczeństwo było tak duże, że wojsko nocami wylapywało całe rodziny i przymusowo usuwało na bezpieczną odległość – do wsi Zadubrowce.

Tu natychmiast wylapywano wszystkich mężczyzn i wcielano do wojska. Kobiety zostały same z dziećmi, wśród obcych ludzi, bez środków do życia i jakiegokolwiek opieki. Tutejsi tylko z litości pomogli utrzymać się przy życiu i przetrwać.

Przełamanie frontu (lipiec 1944 r.) na tym odcinku pozwoliło Obertyniakom na powrót do domów. Na miejscu okazało się, że większość powracających straciła dosłownie wszystko. Zastali spalone całe ulice, drogi,

poła, ścieżki zaminowane. To co nawet częściowo ocalało było splądrowane i nie nadawało się do czegośkolwiek bez poważnych remontów. Mogli to zrobić tylko mężczyźni, których nie było (byli już w lasach Chelma Lubeskiego czekając na rozkaz forsowania Wisły – zapoznając się z treścią Manifestu PKWN...).

Pragnieniem jedynym wszystkich było jedno: przeżyć! Przeżyli i dziś po 60 latach trudno sobie tę gehennę i strach, jaki przeżywały te samotne kobiety-żołnierki (najczęściej z gromadką dzieci) wyobrazić. Dodać tu koniecznie należy jeszcze, że w mieście pojawił się tyfus. Listy od mężów-żołnierzy zaczęły przychodzić gdzieś z końca świata (w mniemaniu tych kobiet). Władze miejscowego urzędu zaczęły sporządzać listy ludności polskiej, która powinna wyjechać do Polski... Trudne to było do pojęcia i budziło strach, nasuwało pytania: Do jakiej Polski?, A komu zostawimy pole?, A co powie mąż jak wróci?

Z nieszczęścia tych wymęczonych Polaków cieszyło się istniejące (aczkolwiek bezwzględnie niszczone przez NKWD) podziemie UPA. Jak tylko mogli zastraszali różnymi sposobami i to przyspieszało podejmowanie decyzji o opuszczaniu rodzinnych stron. W takiej atmosferze, po tak dramatycznych przeżyciach, kompletnie załamani, bez żadnej nadziei, wiary, zastraszeni i sponiewierani życiem – zaczynają godzić się z losem i postanawiają wyjechać. Strach przed nieznanym jednak ich nie opuszczał nawet na tym „koczowisku” obok torów w Brochowie, bo tu ich wylądowano i pozostawiono samych sobie na cztery tygodnie. Byli tu ludzie w takiej samej sytuacji, przywiezieni wcześniej i z innych stron. Ludzie z sąsiednich „koczowisk” ostrzegali, ażeby bardzo się pilnować, bo nocami wojskowi podkradają się, kradną i gwałcą.

Niespodziewanie na tym „koczowisku” zjawiają się dwaj zdemobilizowani żołnierze z wojska polskiego. Byli to p.p. Karol Haczkowski i Karol Skowron – Obertyniacy. Tu znaleźli swoje rodziny i stali się zbawcami i nadzieją wszystkich. Nie sposób już dziś ustalić jak tu

trafili. Syn p. K. Haczkowskiego nie wie, nie pamięta szczegółów. Jest natomiast faktem, że oni dwaj w jakiś sposób znaleźli wieś Sobocisko, oddaloną od Brochowa o 18 km. Tu właśnie osiedlili się wszyscy. Wieś była duża, mało zniszczona – z wyjątkiem szkoły i kościoła. Były duże gospodarstwa, blisko stacja kolejowa, doskonałe pola i bardzo porządne drogi – między wsiami asfaltowe, obsadzone czereśniami (ich smak do dziś pamiętam, mimo tego, że dziś nawet śladu po nich nie ma) przez wieś – droga wybrukowana kostką granitową.

Po latach okazało się, że Sobocisko (podobnie jak Obertyn) jest wsią o bogatej historii. Pisał o tym młody (moim zdaniem) bardzo utalentowany historyk p. mgr Zbigniew Jakubowicz z Oławy. Cykl jego artykułów opublikowała „Gazeta Oławska” w 2003 roku. Co za ciekawy zbieg okoliczności – z historycznego miasteczka trafili do historycznej wsi.

We wsi Sobocisko poza Obertyniakami osiedliło się parę rodzin z okolic Lwowa, Piotrkowa Trybunalskiego i z rzeszowskiego. Pozostało kilkoro Niemców (w tym ksiądz) i Polaków przywiezionych w ramach przymusowych robót, zatrudnionych w niemieckich gospodarstwach w czasie wojny.

Dziś, po sześćdziesięciu latach, wieś Sobocisko zamieszkuje już tylko Polacy. Rodziny wymieszały się zupełnie. Młodzi, urodzeni już w Sobocisku, o Obertynie niewiele wiedzą albo w ogóle o nim nie słyszeli. Rodowitych Obertyniaków żyje parę osób (już starców). Przy różnych (ale już sporadycznych) spotkaniach wspominają, że łzami w oczach, obertyńskie czasy. Mimo tego, że tu w Sobocisku pochowali swoich rodziców, wychowali swoje dzieci, wnuki, prawnuki, to Obertyna zapomnieć nie umieją przez całe minione już sześćdziesiąt lat.

P.S. Oddział Miłośników Kołomyi „Pokucie” we Wrocławiu organizuje dla Obertyniaków 24.06.2005 r. wycieczkę do Obertyna. Dla większości z nas żyjących będzie to pożegnalna wycieczka z Obertynem. □

Zbigniew Umański

IV Legnickie Dni Kultury Kresowej

Siedem dni trwały tegoroczne Dni Kultury Kresowej w starym grodzie piastowskim, dawniej zwanym Lignicą, który jest, poza Wrocławiem, największym na Dolnym Śląsku skupiskiem byłych mieszkańców ziemi lwowskiej, stanisławowskiej, wileńskiej, Podola i Wołynia ekspatriowanych z Kresów, którzy tu się osiedlili po wojnie. Odbły się w dniach 10-17 kwietnia br. pod patronatem posła na Sejm RP Ziemi Legnickiej, inicjatora tych „Dni”, dr. Tadeusza Samborskiego oraz prezydenta Legnicy Tadeusza Krzakowskiego i były dla nich wielkim wydarzeniem, a uroczysta inauguracja i zakończenie – nawet świętem. Bogaty program „Dni”: wystawy, wieczory poezji kresowej i muzyki z udziałem poetów oraz zespołów artystycznych ze Lwowa i Wilna, spotkania z autorami książek o tematyce kresowej, z prezesem legnickiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kre-

sów Płd.-Wsch. Wojciechem Szydłowskim i inne przypominały kresowiakom, i ich potomkom, o ich kresowych korzeniach, a mieszkańcom Legnicy oraz innych miejscowości umożliwiły poznanie kresowej kultury i folkloru, a także gehennę, jaką Polacy przeżyli na Kresach w czasie wojny.

IV Legnickie Dni Kultury Kresowej rozpoczęły się tradycyjnie w niedzielę uroczystą Mszą św. w kościele o.o. Franciszkanów pw. Jana Chrzciciela, który już w 1945 r. stał się świątynią kresowian i jest nią do dzisiaj. Potem uczestniczący w inauguracji „Dni” udali się do Akademii Rycerskiej na otwarcie i wernisaż wystawy fotograficznej „Bogu, Ojczyźnie, Bliźniemu”, nad którą honorowy patronat objął J.E. ks. biskup Tadeusz Rybak. Przedstawia ona losy Polaków, w tym kresowian, którzy po klęsce wrześniowej w 1939 r. znaleźli

się na Węgrzech. Powstała z inicjatywy Stowarzyszenia Katolików Polskich na Węgrzech i Polskiej Parafii w Budapeszcie z okazji 65. rocznicy wybuchu II wojny światowej i 65. rocznicy exodusu Polaków na Węgry, ze zbiorów pełnomocnika węgierskiego rządu ds. uchodźców Józsefa Antala. Tę niezwykłą, interesującą wystawę udostępnił organizatorom legnickich „Dni” Węgierski Instytut Kultury w Warszawie. Warto ją zobaczyć.

Zaplanowany wcześniej na popołudnie w tym dniu Festyn Kresowy w ogrodzie o.o. Franciszkanów – z występami zespołów artystycznych i kuchnią kresową – został odwołany z powodu żałoby po śmierci papieża Jana Pawła II. Odbył się natomiast wieczór poezji i muzyki w pałacu w Warmatowicach Sienkiewiczowskich, który ongiś jego posiadacz, zauroczony powieściami Henryka Sienkiewicza, zapisał mu w spadku, ale ten się zrzekł.

W następnych dniach kolejno odbyło się: otwarcie „Saloniku Kresowego” z prywatną kolekcją kresową posła T. Samborskiego (którą przekazał w użyczenie Starostwu Legnickiemu); wernisaż wystawy „Skąd nasze korzenie, skąd nasz ród...” – 290 historycznych i współczesnych widokówek ze zbioru prywatnego Romany Szczepkowskiej, prezes Klubu TMLiKPW Złoczowian; nastrojowy wieczór literacko-muzyczny w kawiarni „Modjesta” w Legnickim Teatrze Dramatycznym. Swoje wzruszające, pełne patriotyzmu wiersze czytali wybitna poetka lwowska Krystyna Angielska oraz wileńscy poeci Aleksander Śnieżko i Aleksander Sokolowski. Oprawę muzyczną wieczoru tworzył zespół „Wilniuki”, a Dominik Kuźniewicz, popularny „Wincuk”, znany z Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie bawił zebranych na wieczorze zabawną gawędą wileńską. Publiczność dziękowała kresowym artystom gorącymi brawami.

Równie gorąco przyjęto lwowską poetkę oraz wileńskich poetów, muzyków i gawędziarza Wincuka w Złotori, gdzie podsumowano III edycję konkursu „Wiedzy o Kresach” oraz na spotkaniu w legnickiej Szkole Podstawowej nr 16, gdzie młodzież także recytowała wiersze kresowych poetów.

Artyści oraz zespoły artystyczne „Wesoły Lwów” i „Wilniuki” z Wilna wystąpili również w szkołach i ośrodkach kultury w wielu miejscowościach Ziemi Legnickiej. Wszędzie byli serdecznie podejmowani, dziękowano im za przybliżenie folkloru i kultury kresowej.

Promocja książki pt. „Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939-2004”, zorganizowana w ramach tegorocznych Dni Kultury Kresowej w Legnickiej Bibliotece Publicznej z udziałem współautorów: prof. dr. hab. Bogumiła Grotta z Uniwersytetu Jagiellońskiego i dr. Lucyny Kulińskiej, adiunkt w AGH, wywołała wielkie zainteresowanie, szczególnie wśród kresowian z Wołynia, Podola i Małopolski płd.-wsch. Wielu z nich cudem ocalało z rzezi Polaków przez UPA, straciło najbliższych. Pamięć o tych barbarzyńskich mordach, jak się okazało, jest wciąż w nich żywa. Przyszli o tym opowiedzieć, znaleźć odpowiedź: dlaczego doszło do tego ludobójstwa?

– Bo według ideologów ukraińskich nacjonalistów – Doncewa, Mielnika, Bandery przyszła Wolna Ukraina miała być tylko dla Ukraińców, dla Lachów nie było w niej miejsca. Wykonawcą tej idei była tzw. Ukraińska Powstańcza Armia – dowiedzieli się legnicy kresowianie od współautorów książki o stosunkach polsko-ukra-



Goście honorowi IV Legnickich Dni Kultury Kresowej: ze Lwowa – wiceprzewodniczący Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej B. Sudomlak i członkowie Zarządu Głównego TMLiKPW z Wrocławia na tle wież kościoła legnickich kresowian pw. św. Jana Chrzciciela

ińskich. UPA z całą bezwzględnością i okrucieństwem przeprowadzała „czystkę etniczną”, mordując ponad 120 tys. Polaków, głównie kobiety, dzieci i starców, spaliła i zrównała z ziemią dziesiątki wsi polskich. Uczestniczący w spotkaniu prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Szczepan Siekierka, potwierdził tezy współautorów książki i podane w niej fakty, informując, że w 79 numerach czasopisma Towarzystwa „Na Rubieży” oraz w książkach o ludobójstwie na Wołyniu, na Ziemi Tamopolskiej i Ziemi Stanisławowskiej przytoczone w nich dane są oficjalnie potwierdzone. Dodał, że z rąk UPA zginęło także ok. 30 tys. Ukraińców, którzy odmówili udziału w mordowaniu sąsiadów-Polaków, zabicia współmałżonki, jeżeli była Łaską, lub ukrywali tropionych jak zwierzynek Polaków. Kresowianie uczcili pamięć o nich, wmurowując tablicę im poświęconą w Pomnik Ofiar Zbrodni Nacjonalistów Ukraińskich, który stanął we Wrocławiu.

Tu smutna refleksja legnickich kresowian. Władze niepodległej Ukrainy pod rządami Kuczmy nie powiedziały społeczeństwu prawdy o „czystce etnicznej Polaków” na Kresach w czasie II wojny światowej. Oficjalna propaganda, nacjonalistyczni historycy i publicyści gloryfikowali UPA i jej przywódców. Wznoszono pomniki „bohaterom” UPA, nazywano ich imieniem place i ulice w miastach, a we wsiach zachodniej Ukrainy sypano Kopce Pamięci i Chwały UPA. Nawet podczas obchodów 60. rocznicy kaźni na Wołyniu – zorganizowanych na Ukrainie w intencji pojednania polsko-ukraińskiego – w oficjalnych przemówieniach nad grobami pomordowanych i w publikacjach, to co się tam wydarzyło nazwano „tragicznymi wydarzeniami w konflikcie polsko-ukraińskim, za które obie strony ponoszą równą odpowiedzial-



Prezes Zarządu Głównego TMLiKPW Andrzej Kaminski przekazuje serdeczne pozdrowienia od członków Towarzystwa legnickim kresowianom na Koncercie Galowym oraz gratulacje za udane IV Legnickie Dni Kultury jego inicjatorowi i organizatorowi posłowi Ziemi Legnickiej dr. Tadeuszowi Samborskiemu.

ność". Słowo „ludobójstwo”, a zwłaszcza oczekiwana przez Polaków prośba o przebaczenie – nie padły. Na takim fundamencie zakłamania nie można zbudować prawdziwego pojednania między naszymi narodami. – Czy teraz, po zwycięstwie „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie, gorąco popartej przez polskie społeczeństwo, nowe władze i demokratycznie wybrany prezydent Juszczenko, deklarujący się jako przyjaciel Polaków, zdobędą się na powiedzenie narodowi ukraińskiemu pełnej, tragicznej prawdy o stosunkach polsko-ukraińskich w latach 1943-1947? – pytali kresowianie. Wszak wśród politycznych sojuszników i współpracowników prezydenta wielu nie ukrywa swojego nacjonalistycznego pochodzenia i poglądów...

– Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary ludobójstwa – powiedział poseł T. Samborski, podsumowując żywą, ale poważną dyskusję, z głosami żalu do władz ukraińskich, a także polskich, zatroskania o przyszłość prawdziwego pojednania polsko-ukraińskiego, które prędzej czy później, musi nastąpić dla dobra obu narodów. To było ważne i potrzebne, jak się okazało, spotkanie dyskusyjne, co jest zasługą organizatorów, współautorów promowanej, świetnej książki o stosunkach polsko-ukraińskich, no i uczestniczących w nim kresowian. Dodam, że wchodzących do Legnickiej Biblioteki Publicznej na spotkanie witała w holu ekspozycja, przedstawiająca na planszach rys historyczny Kresów Płd.-Wsch. Rzeczypospolitej, aresztowanie i rozstrzelanie Profesorów Lwowskich, SS „Galizien” i ludobójstwo na Kresach. Była faktograficznym uzupełnieniem dyskusji.

W niedzielę, 17 kwietnia, w legnickim kościele kresowian pw. Jana Chrzciciela, odbyła się Msza św. koncelebrowana w ich intencji. Piękną homilię wygłosił o. Roman Pałaszynski, kresowianie złożyli kwiaty pod tablicą w nawie kościelnej upamiętniającą Polaków pomordowanych na Wołyniu i Kresach Płd.-Wsch. przez nacjonalistów ukraińskich OUN-UPA.

IV Legnickie Dni Kultury Kresowej zakończyły się Galowym (Wielkim, tak!) Koncertem w Akademii Rycer-

skiej. Zanim się rozpoczął zebranych na koncercie legniczan powitali, a jednocześnie i pożegnali, protektorzy „Dni” – poseł T. Samborski i prezydent Legnicy T. Krzakowski. Serdeczne pozdrowienia legniczanom od lwowskich rodaków przekazał wiceprezes Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie Bolesław Sudomlak, a od b. lwowiaków i kresowian mieszkających obecnie w Polsce – prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. Andrzej Kaminski.

Uroczystym momentem oficjalnej części koncertu było wręczenie Medalii Honorowych Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” – „W uznaniu zasług w wieloletniej działalności na rzecz wspomaganie odrodzenia i pielęgnowania tradycji, języka i kultury ojczystej Polaków na wschodzie” – Kazimierzowi Gawronowi, wójtowi gminy Bolesławiec – współorganizatorowi festiwalu kresowych „Wielkie Bałakanie” oraz niżej podpisanemu, które przyjąłem jako wyraz uznania także dla czasopiśmie TMLiKPW „Semper Fidelis”, na łamach którego od lat piszę o Kresach, o rodakach tam pozostałych i ich sprawach, o działalności towarzystw i stowarzyszeń kresowych, tam i tutaj, prezentując ich dorobek, problemy itp. Oczywiście, dumny jestem z wyróżnienia, ale dzielę je z redakcją „Semper Fidelis”, której jestem członkiem kolegium.

A potem nastąpił kilkugodzinny koncert solistów i zespołów artystycznych. Pięknie śpiewała arie ze znanych oper uroczą solistka operowa z Warszawy Agata Marcewicz-Szymańska, grał kwartet saksofonowy „Diamant” z Nowogrodźca, uczniowie SP nr 16 i 18 z przejęciem recytowali wzruszające, pełne ciepła, patriotyzmu wiersze lwowskiej poetki Krystyny Angielskiej obecnej na sali – zebrani urządzili jej owację na stojąco, wręczyli piękne róże, była bardzo wzruszona i szczęśliwa.

Kolorową paradę zespołów śpiewających w ludowych strojach otworzyły „Macierzanki” z Wojcieszowa, po nich „Sami swoi” z Pielgrzymki, „Zachęta” z Zimnej Wody, „Kalinki” z Rokitek, „Chór dnia jednego” z Prochowicz. Wspaniale śpiewał i tańczył Zespół Pieśni i Tańca „Legnica” w średniowiecznych strojach – niejedno miasto chciałoby mieć taki zespół! Koncert Galowy zakoń-



Pożegnalne spotkanie organizatorów, wykonawców i gości honorowych IV Legnickich Dni Kultury Kresowej w pałacu państwa Rabkowskich w Warmatowicach Sienkiewiczowskich. Na zdjęciu: wśród gości z lewej – lwowska poetka Krystyna Angielska w rozmowie z gośćmi „Dni” z Wrocławia.

czył występ znanych i popularnych „Węglińskich bajbusów” oraz „Wesoły Lwów”, oczywiście ze Lwowa, znany legniczanom z występów na poprzednich „Dniach”.

Widzowie, artyści, członkowie zespołów artystycznych i organizatorzy pożegnali razem IV Legnickie Dni Kultury Kresowej 2005 kresową pieśnią-hymnem „Hej Sokoły”.

Po Koncercie Galowym uczestniczący w legnickich „Dniach”: poetka lwowska K. Angielska, artystka operowa A. Marcewicz-Szymańska, członkowie zespołu „Wesoły Lwów” oraz honorowi goście ze Lwowa, Wrocławia i inn. oraz organizatorzy zostali zaproszeni i podjęci

Maria Janowska

Wspomnienia z dzieciennych lat (I)

Nazywam się Maria Janowska, córka Władysława i Julii z d. Lenard. Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, dwunaste w moich życiu.

Tak piękny jest ten dzień, wszyscy siadają przy wspólnym stole, dzielą się opłatkiem. Mnie jest jednak bardzo smutno, gdyż odczuwam wielki smutek ogarniający naszą rodzinę. Mamusia źle się czuje od chwili aresztowania Tatusia przez Rosjan. Gdzie go wywieźli? Do tej pory wmawiali nam w urzędzie, że go wypuszczą, więc ta nadzieja podtrzymywała nas na duchu. Dziś dowiedzieliśmy się, że Go już dawno wywieźli do obozu, załamaliśmy się całkowicie.

Boże, dlaczego te straszne wojny i tyle nieszczęść? Pamiętam jak było nam ciężko i niewygodnie, mieszkaliśmy w Tarnopolu w takim małym i wilgotnym domku, Tatuś zgodził się na przeniesienie do Hłubczoka, by poprawić warunki życia.

Wieś była odległa 12 km od miasta – górzysta, dużo drzew, sadów, przez środek wijąca się rzeczka. W krajobrazie tym zaznaczała się stacja kolejowa, piękny kościółek i duży dom kultury. Przez 20 minut pociągami codziennie pokonywałam drogę do Tarnopola, gdzie chodziłam z bratem do szkoły. Moja szkoła nosiła nazwę „Św. Jadwigi”, a brata „Konarskiego”. Były to szkoły prywatne, panował tam wielki rygor, nauczyciele byli wspaniali, a mój katecheta pozostał moim wzorem w postępowaniu z ludźmi.

Przez okres dwóch lat, kiedy mieszkaliśmy we wsi, rodzice pobudowali jednopiętrową kamienicę, z której byliśmy bardzo dumni. Oprócz zamku hrabiowskiego był to drugi okazałszy budynek. Tak mi tego wszystkiego szkoda. Siedemnastego września wybuchła wojna z Rosją, a raczej to oni wtargnęli na nasze ziemie, tak jak Niemcy pierwszego września 1939 r.

Wielka zmiana zaszła w mentalności Ukraińców, zaczęli napadać na Polaków, grabili i zabijali.

Rosjanie natomiast zaczęli aresztować wszystkich nauczycieli i policjantów. Zabrali także mojego Tatusia. Wróciliśmy do Tarnopola do babci, zamieszkaliśmy w kuchni, a lokatorka w pokoju. Była tam straszna ciasnota, ale cóż było robić? Gdy jest wojna!

Zaistniało tyle problemów, których nie można było rozwiązać. Szkoła została zamknięta, więc cała nasza czwórka całymi dniami siedziała w domu i patrzyła przez okno na zimowy pejzaż.

w pałacu państwa Rabkowskich w Warmatowicach Sienkiewiczowskich, gdzie przy kawie dzielono się wrażeniami z IV Legnickich Dni Kultury Kresowej.

To były kolejne, udane „Dni” zakończone wspaniałym koncertem! Jest to zasługą organizatorów: TMLiKPW, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, stowarzyszeniom: kulturalnemu „Krajobrazy” i Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, Starostwu Powiatu Legnickiego, Kasie Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego oraz współorganizatorom: Wyższej Szkole Menedżerskiej, Parafii św. Jana Chrzciciela, Szkołom Podstawowym nr 16 i 18 oraz państwu Jadwidze i Jarosławowi Rabkowskim.

Gratulujemy! □

Oby jak najszybciej nadeszła wiosna, może będzie lepiej żyć i samopoczucie będzie lepsze.

Służąca nasza Hania, każdego dnia wracała z zakupami i miała coraz gorsze nowiny. Baliśmy się wychodzić z domu, gdyż za nim cichała śmierć i gwałt.

Wysiedlenie

Nadszedł 13 lutego 1940 roku, całą noc nie spaliśmy, bo ciocia rodziła. Nad ranem usnęłam, nagle obudziło nas walenie do drzwi. W pierwszej chwili myśleliśmy, że to lekarz przyjechał do cioci, ale nie – usłyszeliśmy „otwierac” po rosyjsku, potem nastąpiła rozmowa z wujem i otwieranie drzwi do nas. Weszło pięciu żołnierzy z karabinami, na nich wetknięte bagnety. Zawołali, że przyszedł zrobić rewizję, gdyż Tatuś był policjantem, musiał więc mieć w domu broń. Przewrócili wszystko do góry nogami.

Mamusia była zdenerwowana, ale nie dała po sobie poznać. Zgarnęła nas, całą czwórkę dzieci, zaczęliśmy się modlić. Nic nie znaleźli, kazali nam się pakować przed wyjazdem. Służąca Hania rozplakała się, załamała ręce i prosiła, by mogła z nami pojechać, gdyż u nas przeżyła już ponad 10 lat i traktowaliśmy ją jako domownika. Oni stwierdzili, że nie ma jej na liście, więc nie może jechać z nami. Mamusia też kategorycznie zabroniła, prosiła, by tak jak dotąd rządziła domem, a gdy napiszemy, gdzie będziemy, to przyjedzie do nas lub przysśle potrzebne rzeczy. Hania ubrała nas i zaczęła pakować rzeczy. W tym zamieszaniu i przez tę rewizję nie wiadomo było, co zabrać ze sobą. Młody żołnierz zauważył jej zamyślenie i niezdecydowanie, podszedł do Hani i coś jej powiedział, ona w jednej chwili się zmieniła i zaczęła pakować rzeczy, pościel i jedzenie. Pomimo jej starań, by zapakować jak najwięcej, cały bagaż był ubogi w porównaniu z innymi wyjeżdżającymi: składał się z pościeli zawiniętej w dwa koce i dwóch waliz z rzeczami i niewielkim prowiantem. O szóstej rano samochód zatrzymał się z nami przy wagonie towarowym. Na oknach były druty i kraty. Wepchnięto nas jak bydło. W wagonie było już dużo osób i wciąż jeszcze ich dowożono.

Wagon na pewno był bydlęcy, bo bardzo w nim śmierdziało. Wewnątrz wagonu były jedynie trzy półki, po jednej i drugiej stronie, dużo ludzi leżało na ziemi, nie można było się ruszać.

Kiedy wyjechaliśmy nie mogę sobie przypomnieć, ale pamiętam pierwszy gorący posiłek za granicą – był to kapuśniak bez jednego oczka czy omasty, było to coś bardzo niedobrego, jedni jedli, by gorącą strawą ogrzać żołądek, a drudzy ze śmiechem wylewali te pomysły na tory kolejowe.

Nikt z nas nie przypuszczał, że ten kapuśniak będzie wspaniałym jadem przez sześć i pół roku naszego pobytu na Sybirze i za niego nieraz trzeba będzie oddać jakąś cenną rzecz.

Warunki higieniczne żadne, załatwialiśmy się do wiadra, co nas bardzo krępowało. Wszyscy byli smutni i często było słycać płacz. Wraz z nami jechała Pani Kowalska, matka wielu synów. Była to pogodna kobieta i jak mogła pocieszała nas wszystkich, wciąż mówiła żarciki humorystyczne i wtedy zapominało się o wszystkim. Dwa miesiące jechaliśmy przez piękne okolice, lasy, góry, wiszący na Woldze most, który ciągnął się bardzo daleko, ale nigdzie nie było widać domów i ludzi, dopiero gdy się dojechało do jakiegoś dużego miasta, tu dopiero było widać przejawy życia.

Pod koniec kwietnia dojechaliśmy do Pawłodaru, wojewódzkiego miasta: tu wyczytano listę osób, niektórych ludzi zostawiono, a resztę zapakowano na statek i popłynęliśmy dalej 250 km do rejonu – Majska. Był to pierwszy dzień maja, gdy dobiliśmy do brzegu, wyrzuciono nas na piaszczysty brzeg i znów rozdzielono, jedni zostali, a resztę przewieziono autem do wioski.

My musieliśmy jechać dalej, do Karabady, 24 km od Majska. Boże, jakie wrażenie odczuliśmy od chwili wylądowania w Majsku? Ubóstwo i nędza ludzi otaczały nas wokół. Przywieźli nas na okres sadzenia warzyw. Pracowaliśmy w grupie 5 rodzin, sadziliśmy kawony, melony i warzywa. Ziemia była tam urodzajna, a zwłaszcza gdy wody Irtyszu opadły i na łądzie zostawało dużo mułu. Pracowałam, więc cały dzień prowadziłam wielbłąda za uźdę siedząc między dwoma garbami, gdy wieczorem zsiadałam z niego nie mogłam utrzymać się na nogach. Reszta osób wkładała w dołki nasiona i też czekała na koniec pracy i odpoczynek. Wieczorem wracaliśmy do domku, w którym ledwie się mieściliśmy. Dobrze że była wiosna i można było spać na dworze.

W Majsku, Karabadzie i Izwiosce, dokąd po dwóch tygodniach nas przewieziono, zetknęliśmy się ze stepem, płaskim terenem bez drzew. Domki tam były bez dachu, niskie i kwadratowe, gdyż przez całe lato na nich się spało. Zbudowane one były z gliny, słomy i łąjna bydłęcego, co powodowało, że glina nie kruszyła się, a zimą było tym samym ciepło. Łajno bydłęce służyło także do palenia, bo nie było tam ani węgla, ani drzewa. Z daleka widać było wetknięte w domek papierki, co budziło moją ciekawość.

Zacząłam z rodzeństwem podpatrywać Kazaków i ich życie. Doszłam do wniosku, że jest to naród koczowniczy, który za stadem bydła przenosi się z miejsca na miejsce i dopiero późną jesienią wracają oni do domów. Mieszkania Kazaków były bardzo do siebie podobne – wewnątrz ich stanowiły koc lub dywanik na ziemi, na którym zimą spali, w kącie ustawiony był kuferek, zwany czamadaniem, pośrodku niski stół składany okrągły, przy którym pito dwa razy dziennie czaj, czyli herbatę z samowara i jedzono placki. Krzesel nie było, bo Kazacy mają zwyczaj siadania przy stole na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Kuchenka była mała, w niej palenisko oblepione gliną, a zamiast blachy kociołek wsunięty do środka. Posiłek gotowali

raz dziennie. Latem korzystali z drugiej kuchni na dworze.

Ciekawe było również to, że podcięte włosy, paznokcie zbierali skrzętnie w papierek i wtykali do łąjna w ścianę domu. Tak upływały im codzienne dni. W dzień świąteczny kobiety ubrane były w długie białe sukienki i welony z grubszego materiału, siadały wówczas na próg domu i jedna drugiej przeglądały głowy i zabijały wszy. Każdą wesz brały one w zęby, by przegryźć i wyssać krew, a skorupki chowano w papierek i zatykano w ścianę domu. Pytałam ich, dlaczego tak czynią? To jest ohydne, mówiły, że w domu ma być schowane wszystko jak w banku, by po śmierci nie szukać. Po dwóch tygodniach, gdy skończyliśmy siać i sadzić, wywieziono nas dalej 50 km do Izwioski.

Zamieszkaliśmy w długim baraku pół metra wkopanym w ziemię, by było cieplej w zimie. Okno było na równi z ziemią, tedy wychodziliśmy i przychodziliśmy do izby mieszkalnej, gdyż w długiej sieni stało ponad pięćset wołów, które całą noc wydawały różne dźwięki, stąpały i mruzczały. W baraku były trzy izby, w których spali pastuszkowie, opuścili jednak to pomieszczenie, byśmy mieli gdzie zamieszkać. W każdej izbie mieszkały trzy rodziny i miały do dyspozycji jedynie pryczę. Na niej trzeba było się pomieścić. W tej wiosce pracowaliśmy przy noszeniu na nosilkach kamieni wapiennych do pieca, z których wypalano wapno. Jeśli jest jakaś cięższa robota dla dwunastoletniego dziecka – nie uwierz. Od początku naszego pobytu na Sybirze wymyślono dla nas takie prace, które by nas fizycznie, duchowo i moralnie pognębiły. Uważano nas za burżujów, a więc trzeba było nas zniszczyć.

W Izwiosce było 5 domków, mało było ludzi, więc zarówno Ruscy jak i Kazacy uważali nas za niewolników. Stąd zapłata była minimalna, a my musieliśmy sprzedać wszystko co przywieźliśmy, by przetrwać. W listopadzie Mamusia sprzedała ostatnią rzecz, z którą nie chciała się rozstać. Była to złota obrączka, za którą dostała 1 litr byczej krwi.

W połowie tego miesiąca byliśmy bardzo spuchnięci z głodu. Nie wstawaliśmy już z pryczy. Jedyna nasza nadzieja pozostawała w Bogu. Z innymi rodzinami było różnie. Byli i tacy, którzy wyjeżdżając z domu zabrali dużo zapasów żywnościowych na drogę. Jedna z kobiet, gdy przyjechała na Sybir zaraz napisała do brata, który zamieszkał w Rosji po powstaniu listopadowym. Wkrótce on przyjechał do niej, przywiózł żywność i zabrał najmłodszego syna.

My już czekaliśmy na śmierć, nie mieliśmy nic do sprzedania i co jeść, a nikt tam z nikim nie dzielił się żywnością. Na swoje zapasy patrzył z przerażeniem przed nadchodzącą długą bardzo mroźną i śnieżną zimą. Gdy ktoś coś jadł to odwracał głowę w drugą stronę, by nie widzieć drugiego człowieka łaknącego pożywienia.

Jednego razu jechało auto do Majska po sprawunki. Mamusia wyprosiła kierowcę, by nas zabrał ze sobą, on nie chciał, bo bał się bardzo odpowiedzialności, ale gdy zobaczył nas tak bardzo spuchniętych z głodu litość ogarnęła i jego. Do Majska przyjechaliśmy w nocy, tam rzucił nas do jakiejś sieni i uciekł, by nie odpowiadać przed władzą.

Rano znaleźli nas ludzie i zgłosili do rajspalkomu, przyjechali urzędnicy, zabrali mnie i brata do domu dziecka, a pozostałymi zajęli się ludzie. Bardzo ciężkie było rozstanie nasze z rodziną. Tęsknota wyciskała

mnie i bratu lży każdego dnia, nie mogliśmy się doczekać wakacji, gdyż w domu dziecka chodziliśmy do szkoły i obiecano nam wtedy powrót. Mamusia starała się o nasz powrót i w czerwcu 1941 r. wróciliśmy do Majska. Gdy wróciliśmy do domu, wtedy dopiero poznałam miasto powiatowe. Składało się ono z dwóch części. Jedna połowa – to były małe domki kazackie, a w drugiej części znajdował się kolchoz. Domy te były małe o spadzistych dachach, wchodziło się do nich najpierw do sieni, potem do pokoju i kuchni z dużym piecem. Na nim można było spać, a w środku piekło się chleb i gotowało obiady. W pokoju i w kuchni były ławy i stół. Na ławach można było spać, ale były i prycze. Ściany zdobiły obrazki, bałałajka lub gitara. Pomieszczenia te zamieszkiwali głównie zesłańcy – uczestnicy rewolucji październikowej. Zesłańcy ci byli dobrymi ludźmi, bardzo nam współczuli i mówili, by nie rozpaczać, i że na rozpacz działa najlepiej śpiew i humor. Pomagali nam i uczyli żyć w tej nędzy.

My wszyscy pracowaliśmy w kolchozie, brat został zaangażowany jako pastuch i wysłany w step razem z Kazakami, by pilnować bydła. Byliśmy już ludźmi wolnonajemnymi dzięki generałowi Sikorskiemu. Zaczęto nam płacić za pracę. Były to niskie wynagrodzenia, ale we troje mogliśmy już przeżyć, bo było lato i zbierało się różną zieleninę. Moje małe siostrzyczki nosiły ludziom wodę i też dostawały zapłatę w postaci łyżki strawy. W tym czasie mieszkaliśmy w wielkiej ciasnocie, gdyż wszystkie wolne obory przerobiono na mieszkania dla Polaków. W naszej gliniance mieszkały cztery rodziny, dwu- i trzyosobowe. Nasza rodzina była najliczniejsza, więc oprócz pryczy pozwolono nam spać na podłodze.

Pamiętam ile było łez, gdy podczas snu ktoś musiał wstać i nadeptywał na leżącego. Ranek też często zaczynał się od płaczu, gdyż 23-letnia hrabianka Irena sprzeczała się z mamą, bo trudno im było żyć w takich warunkach. Przywiozła ona ze sobą kilkanaście kapeluszy, rękawiczki, pantofle na wysokich obcasach, a okazało się to wszystko niepotrzebne – trzeba było przecie pójść do orania lub zwózki zboża i nie było się w co ubrać. Mama upominała Irenę, by dbała o twarz i ręce, by ich nie opalała, a Irena z furią krzyczała, że chętnie by nie poszła do pracy, ale musi swym bliskim dać jeść i nie może dbać o siebie. Mówiła „na mnie nikt bowiem nie patrzy oprócz wołów”. Wiązaliśmy więc wszyscy nogi szmatami, by ściernisko nas nie raniło, szliśmy do zajęć. Bardzo mi było żal Ireny. Nie była ona przyzwyczajona do pracy fizycznej, a musiała pracować by żyć. Wieczorem wracała zmęczona, skarżyła się po francusku jak mały ptak. Wyciągaliśmy wówczas nasze obolałe, spuchnięte, poranione i zaropiałe nogi, by po umyciu położyć na nie zieloną babkę (nie znam jej nazwy) i jak najszybciej zasnąć. Nie było bowiem tam lampy ani luczyna, a rankiem trzeba było znów wstać do pracy.

We wrześniu, gdy zbierałyśmy melony, usłyszeliśmy krzyk przy przystani „Janowska, mąż przyjechał”, myśleliśmy, że to żart, gdy po raz drugi wołanie to się powtórzyło – coś się z nami jak gdyby stało. Nikt z nas nie mógł ruszyć się z miejsca, dopiero gdy po raz trzeci rozległ się krzyk, Mamusia poderwała się, a my z nią. Z daleka zobaczyliśmy dwóch siwych, starych dziadków idących o laskach w naszą stronę.

Gdy zabrano Tatusia miał 43 lata, był więc w sile wieku. Oczom naszym ukazał się jednak staruszek bez zębów z brodą ledwo się poruszający. Było to bolesne

powitanie, gdyż wielki ból i radość rozdzierały nasze serca. Tatuś przedstawił nam pana Tabakę, który razem z nim miał iść do wojska w Iranie. I znów ból, że musi być rozstanie. Tymczasem obydwaj nawet nie mogli nic jeść, trzeba było ich karmić jak niemowlaków. Na żarach ucieraliśmy zboże zbierane na ścierniskach, dostawaliśmy pół litra mleka z kolchozu i tym ich karmiliśmy. Przez dwa tygodnie pobytu z nami nic nie powiedzieli gdzie byli, ani co przeżyli. Tatuś rozpaczał, że my mamy tak ciężkie życie przez niego i chciał jak najszybciej przedostać się za granicę, by nam ulżyć w tej niedoli.

Wkrótce opuścili nas, a my znowu zostaliśmy z wielkim bólem w sercu. W listopadzie przeprowadziliśmy się do innego lokum w kolchozie. Mieszkały tam trzy rodziny, pani Wierzbicka z córką Janiną i dwoma synami, pani Olejniczka oraz profesor z żoną, córką i dwiema małymi wnuczkami. Profesor władał kilkoma językami, spał na piecu i tam najczęściej przebywał, rozmawiał godzinami sam ze sobą różnymi językami. Rano chodził na zwidy dowiadując się czy czasami coś w kolchozie nie zdechło i gdzie to zakopano. Później dzielił się z nami tą wiadomością i razem chodziliśmy wykopywać padlinę. Długo ją gotowaliśmy, by nie zaszkoziła i ona służyła nam jak najwspanialsze jadlo.

Pod koniec listopada było bardzo mroźno i śnieżno. Nasze drzwi z izby wychodziły bezpośrednio na step, w zimie, gdy zawiąło drzwi, to kilka dni nie można było się wydostać na zewnątrz. W taki dzień przyszedł do nas przewodniczący kolchozu i powiedział, że Tatuś nasz leży w Simpalatińsku w szpitalu. Na drugi dzień Mamusia poszła do niego przez Irtysz i przyprowadziła go. Miał odmrożone nogi i chory żołądek. Powiedział, że granica jest już zamknięta i trzeba iść nad Okę, więc musi szybko wyleczyć nogi. Pan Tabaka został na granicy chcąc w jakiś sposób przedostać się do Iranu. W zdrowiu Tatusia nie było poprawy. Dostrzegaliśmy to, że co dzień gorzej się czuje. Martwił się wszystkim, a najbardziej żał mu było Mamusi, że musi tak ciężko pracować, a i jej ubywa sił. Jedzenia było mało, więc to co dzieliłiśmy w dzień między siebie, zostawiał sobie na noc. W nocy, gdy ktoś z dzieci płakało z głodu, oddawał mu swoją porcję. Na początku grudnia Mamusia poprosiła Tatę, by zaśpiewał kolędę, bo głos miał ładny. „Chętnie” – odpowiedział. „Niedługo będą święta.” Faktycznie. Boże Narodzenie miało już być wkrótce, co nas napawało nadzieją, a Jego radością, że być może będzie mógł nam potem pomagać i wszyscy wrócimy do kraju. W nocy Tatuś stracił przytomność i zaczął majaczyć. Do końca Jego dni bywało różnie – raz lepiej, raz gorzej. W chwilach, gdy odyskiwał przytomność błogosławił prawą ręką nas, a gdy był coraz słabszy, wyciągał i lewą dłoń.

Zmarł w wigilię Bożego Narodzenia o 9 rano. Każdego umarłego chowano tam owiniętego w prześcieradło lub worek. Martwiliśmy się więc, jak pochować drogie nam zwłoki. A tu przyszedł jakiś robotnik z kolchozu wziąć miarę na trumnę. Osoba tak bliska nam wszystkim została pochowana 25 grudnia w pierwszy dzień świąt – na stepie niedaleko kurhanów kazackich. Po pogrzebie dostaliśmy pud mąki (16 kg) i 400 rubli. To pomogło nam przeżyć zimę na Sybirze.

Nadeszła wiosna 1942 r., znowu zaczęła się praca w kolchozie, najmłodsze rodzeństwo nosiło ludziom wodę, bawiło dzieci, zamiatało podłogi i tym zarabiała na posiłek. Piękna pora roku była jednak okresem bar-

dzo głodnym dla człowieka i zwierząt – tak zwany przednówek. Woły, gdy orały, potrafiły położyć się na polu i żadne nawoływania, bicie i zaklęcia nie pomogły, człowiek też był głodny, ledwie ciągnął nogami i wciąż nie mógł dłużej iść. Rosjanie pocieszali nas, że oni jeszcze gorzej żyli i głodowali, gdyż jedli trupy, aby przeżyć.

Do września w kolchozie było dużo roboty, oranie, sianie, sadzenie i zbieranie. Urodzaj tam był wielki, kiście zboża pochylały się nisko. Kawonów, melonów, warzyw było mało, chociaż piękne, urodzajne ziemie jakby prosiły by siał i zbierać, nie wiem dlaczego tego nie robiono? Kapusta miała tak duże głowy, że kisiliśmy w beczkach dla bydła. Wciąż trwała wojna, więc dziewczęta i chłopcy brano do wojska, a także do prac w fabrykach i kopalniach. We wrześniu ja dostałam wezwanie do kopalni. Musiałam pożegnać najbliższych i wraz z innymi poborowymi jechać do Kołomy.

Wzięłam węzełek, kalosze, bluzkę z długim rękawem i wiaderko zrobione z puski konserwowej. W nim było 7 podpałków, czyli placków. Pojechałam w świat. Po kilku dniach dojechalismy do Nowosybirsk, tam siedzieliśmy na stacji przez kilka dni. Wszystkie szlaki kolejowe były przepelnione wojskiem na front – imigracja z Ukrainy, Moskwy, Leningradu. Na drugi dzień, gdy poszłam do ubikacji, skradziono mi kalosze i bluzkę.

Alfons Soczyński Krzemieńec

(Przedruk z: „Akcent Polski” nr 1/2005)

Zaczyna się ściemniać, kiedy drogą prowadzącą w kierunku Kijowa, z Lwowa wyruszamy do Krzemieńca. Tam czeka na nas nocleg w hotelu, upragniony zwłaszcza przez to, że mamy za sobą noc spędzoną w autokarze i całodzienną ekskursję. Już nie uda nam się zrealizować planu zwiedzenia po drodze Oleska, jednej z najstarszych osad na tym terenie, z XIX-wiecznym zamkiem, w którym 17 sierpnia 1629 r. urodził się Jan III Sobieski, a gdzie aktualnie mieści się filia Lwowskiej Galerii Sztuki. Nie zobaczymy kościoła Świętej Trójcy z XVI w., ani kościoła św. Józefa i klasztoru oo. kapucynów. Wszystkie te obiekty, jak i samo miasto, mają bardzo bogatą, niejednokrotnie dramatyczną przeszłość. W ciemnościach przejeździemy przez Podkamień. Cudowny obraz Matki Boskiej Podkamieńskiej uratowany od pożogi (w tym okresie bandy UPA i SS Galizien zabiły około pięciuset Polaków, którzy schronili się w klasztorze dominikanów), znajduje się obecnie we wrocławskim kościele św. Wojciecha.

Wpadam w kilkunastominutowe drzemki, przerywane podobnej długości chwilami czuwania. W ciemnościach co jakiś czas mijamy nieoświetlone wozy konne, pieszych, niczym jakichś błędnych wędrowców. Po drodze Radziwiłłów, gdy przejeżdżamy obok rozświetlonej błyskami światła, huczącej sali dyskoteki, wokół której jak ómy snują się nastolatki, przypomina mi się bombardowanie, przeżyte w czterdziestym czwartym roku. Po północy oglądamy imponujące masywy świątyń Ławry Począjowskiej, bogato oświetlone. Pół godziny później, w Krzemieńcu, przytulne i estetyczne dwuosobowe pokoje stają się upragnionym azylem – dla większości

Zostałam bosa mając jedynie letnią bluzkę. Noce wtedy były chłodne. Rozplakałam się, a moim cichym marzeniem było, aby jak najszybciej spotkać się z rodziną. Zaczęłam interesować się, który pociąg jedzie do Pawłodaru. Czekałam tak przez trzy dni na sprzyjającą okazję, by móc się dostać do pociągu...

Jednego razu usłyszałam polską mowę, więc podbiegłam do okna wagonu i powiedziałam, że wiozę mnie do Kołomy, a tu mnie okradziono, więc chcę wracać do swoich bliskich. Było tam kilku starszych panów, którzy powiedzieli, że zaraz mi pomogą wejść do wagonu. W każdym wagonie było dwóch konduktorów, każdy pilnował jednych drzwi, by nikt bez biletu nie dostał się do środka. Jeden z panów podszedł do konduktora, o coś zapytał i na moment odszedł z nim na bok. Ja weszłam i położyłam się na ławce, okryto mnie płaszczami, a na brzegu posiadali panowie i rozmawiali, ja nie słuchałam, tylko myślałam jak wysiądę z pociągu i co dalej będzie, gdyż po raz pierwszy zrobiłam coś przeciw prawu. Jechałam daleko, panowie czuwali i gdy był minutowy postój pociągu na jednej małej stacji, powiedzieli bym wyskoczyła, a wtedy nie narażę się na areszt. Zrozumiałam, że panowie znają tę trasę, tak więc zrobiłam i dalej poszłam pieszo. Straszna to była droga 500 km. (c.d.n.)

z nas, do godziny dziewiątej rano. Ja jednak już o siódmej wychodzę z hotelu leżącego blisko trasy wylotowej z miasta. Nieprzyjemne wrażenie na mijanym mostku. Na dnie górskiego strumyka setki wyrzuconych plastikowych butelek. Gdy przyjdzie ulewa, strumień je porwie, poniesie i rozrzuci, gdzie popadnie ... niedaleko drogowskaz – Łuck – 88, Dubno – 35 km.

W Dubnie spędziłem ponad rok, po ucieczce ze spalonej ojcowizny. – Czy uda mi się dzisiaj odnaleźć ślady po miejscowości Kamienna Góra, położonej w Górach Krzemienieckich, w której się urodziłem, a którą musiałem opuścić ponad sześćdziesiąt lat temu? Mam na to tylko jeden dzień. Muszę też znaleźć życzliwego przewodnika, ze środkiem transportu. – Czy aby nie odzywa się we mnie tani sentymentalizm? Na świecie były, są i będą miliony podobnych wygnañców i uciekinierów. A czy los nie okazał się mimo wszystko łaskawszy dla mnie, niż dla dziesiątków żebrzących dzieci i zabiedzonych bezpańskich psów, które na każdym kroku spotykamy w tym buńczucznym kraju? Przede mną zagadka Krzemieńca, miasta, o którym pierwsze polskie wzmianki pochodzą z roku 1063. Bolesław Śmiały był tu wtedy goszczony przez bojara Denyskę. Odwiedził Krzemieńec również Władysław Łokietek, Władysław IV i Stanisław August Poniatowski. Miasto ciągnie się malowniczo wzdłuż kilkunastokilometrowego jaru otoczonego górami. Idąc ulicą Dubieńską w kierunku centrum, mijam po prawej Skalę Dziewicze, które przebijają się spoza chmur. Powietrze jest jak chłodny balsam. Niewysoka, dwu-trzypiętrowa zabudowa wzdłuż centralnej ulicy, nieskażona wieżowcami przypomina przedwojenną widokówkę z Krzemieńca, którą zapamiętałem z albumu mojej cioci Klimci. Na zieleniących się stokach jednego ze wzgórz widnieją niczym bakalie w kolorowym torcie, białe parterowe domki.

Dochodząc do centrum mam po lewej wysoko nad sobą Górę Zamkową, zwaną również Górą Królowej



Widok ogólny Krzemieńca w 1939 r.

Bony. Widać na szczycie ruiny zamku, resztki murów obronnych, jednej z wież i bramy wjazdowej. Była to przez wieki twierdza nie do zdobycia. Władysław Jagiełło więził tu księcia Bolesława Świdrygiełłę za spiskowanie z Krzyżakami. Złota orda Mengil-Gireja w 1497 roku, bez skutku usiłowała ją zdobyć. Zamek został jednak zdobyty przez Kozaków pod wodzą Maksyma Krzywonosy i zburzony w roku 1648.

Niemal naprzeciwko Góry Zamkowej, po drugiej stronie ulicy, stoi rzymskokatolicki kościół pw. św. Stanisława Kostki, cel naszej porannej wycieczki. Kościół został zdemolowany przez oddziały sowieckie w roku 1939, a po wojnie, z braku kapłana, był nieczynny przez dziesięć lat i groziła mu likwidacja. Jednak wierni regularnie przychodzili na wspólne modlitwy i nie pozwolili go zamknąć. Uratowali tę świątynię z pomnikiem Juliusza Słowackiego wmurowanym w jedną ze ścian i teraz jest ona ostoją dla nielicznej, około dwuosobowej społeczności polskiej. Wchodzimy, aby wziąć udział w odbywającym się nabożeństwie. Około setki zgromadzonych w kościele – to uczestnicy kilku polskich wycieczek ze Szczecina, naszej, z Grodna na Białorusi oraz miejscowi katolicy, najczęściej Polacy. W odprawianym nabożeństwie dostrzegam liczne elementy widowiskowe, kadzidła, melodyjne śpiewy, zbliżające jego oprawę do barwnej, nastrojowej obrzędowości prawosławia.

Młody około czterdziestoletni ksiądz okazuje się być bardzo dobrym kaznodzieją, trafiającym do serc ludzi. Zachęcony przez pana Bolesława i Wacka Ratyńskiego zdobywam się na odwagę, aby po mszy nawiązać z duchownym kontakt. Nie jest to łatwe, gdyż przede mną usiłuje to uczynić kilka innych osób. Wreszcie nadchodzi moja kolej. Najpierw zamawiam mszę za duszę mego dziadka Ado, którego w czerwcu 1943 r. zamordowały bandy UPA – będzie odprawiona już w najbliższą środę. Zawiadomię o tym wszystkich zainteresowanych z mojej rodziny, zwłaszcza mamę i ciocię Klimcię, które już, ze względu na wiek, nie były w stanie tu przyjechać. Przedstawiłem następnie księdzu moją drugą sprawę. Poprosiłem, by wskazał mi zaufanego człowieka, który własnym transportem pojechałby ze mną do miejscowości Kuty, leżącej w granicach przedwojennego powiatu Krzemieniec, gdzie była nasza parafia. Stamtąd chciałbym prowadzić dalsze poszukiwania, jadąc w kierunku ukraińskiej wsi Majdan. Może któryś z mieszkań-

ców będzie w stanie wskazać, gdzie znajduje się miejsce moich narodzin? Oczywiście, pokryję wszystkie koszty. Ksiądz Tadeusz Mieleśko wręcza mi swoją wizytówkę i przyrzeka znaleźć odpowiednią osobę spośród swoich parafian. Proponuje, abym czekał na przysłanego człowieka w hotelu o godzinie piętnastej. Przekazuję księdzu na pamiątkę swoje trzy tomiki wierszy, w tym okolicznościowe „Wołyńskie niezabudki”. Nie idę z grupą zwiedzać Góry Zamkowej, ani nie pojadę do Począjowa. Ale mam jeszcze trzy godziny czasu do upragnionego wyjazdu. Wybieram się więc sam do Muzeum Słowackiego.

Tuż po wyjściu z kościoła przykleiła się do mnie dwunastoletnia dziewczynka. Gdy wsiadłem do auta, dopiero wtedy zawołała – „Daj mi dolara!”. Ale drzwi się zatrzasnęły i nie zdążyłem spełnić jej prośby. Mam więc od czasu do czasu przed oczami jej rozczarowaną twarz. Jak się później dowiedziałem, jej rodzice pojechali w okolice Odessy do sezonowej pracy przy obróbce buraków, zostawiając ją pod opieką babci.

Na razie idziemy w kierunku muzeum z Marysią. Zatrzymuję się przy sklepie spożywczym mówiąc, że chciałbym jej coś kupić, na co ma ochotę. Przy stoisku ze słodyczkami Marysia wskazuje sprzedawczyni na paczkę przypominającą chipsy. Nazywa je sucharami. Płacę kilka hrywien za dwa opakowania, które wybrała i idziemy dalej, odbijając lekko w górę od głównej ulicy Tarasa Szewczenki. Po drodze dziewczynka zajada chipsy, opowiadając coś w języku ukraińskim, z czego niewiele rozumiem poza tym, że babcia pozwoliła jej chodzić po mieście do wieczora. – A nie boisz się obcych ludzi? – pytam. Na twarzy dziecka pojawił się jakby lekko kpiący uśmiech i natychmiastowa odpowiedź: – Nie! Więc nie martwiąc się już więcej o nią, śpieszę do dworku przy ulicy Słowackiego 16. Jestem początkowo jedynym zwiedzającym. Jednak pełniący dyżur państwo Oksana i Jurij otwierają drzwi i zapraszają. Pani Oksana oprowadza mnie po kolejnych pokojach obrazujących różne etapy życia Słowackiego i udziela wyjaśnień. Nagromadzono tu sporo oryginalnych mebli i innych przedmiotów dokumentujących czas, w którym



Portret Juliusza Słowackiego

mieszkał tu poeta z matką. W muzeum znajduje się też obraz „Mglisty poranek” (wydał mi się bardzo bliski i dziwny), podobno autorstwa Słowackiego. Każdego roku wrzesień jest w Krzemieńcu miesiącem obchodów pamięci poety. Zostawiam pani Oksanie swoje tomiki poezji i pytam, czy można zwrócić się do kierownictwa muzeum z propozycją utworzenia Klubu Polskiej Książki. Otrzymuję odpowiedź twierdzącą. Przynajmniej, że poproszę, aby wysłano pod ich adres odpowiednie dokumenty.

Po wyjściu z Muzeum Słowackiego, mając wrażenie, że podążam tymi samymi śladami co poeta, udaję się na dziedziniec położonego niedaleko Liceum Krzemienieckiego, do którego uczęszczał poeta, a które powstało w roku 1805 jako Gimnazjum Wołyńskie. Wykładał tu m.in. ojciec poety Euzebiusz Słowacki. Na koniec zwiedzania Krzemieńca zdążę jeszcze złożyć hołd przed grobem matki poety, Salomei, z niewielkim empirowym pomnikiem z urną na szczycie, przy rodzinnym grobowcu rodziny Januszewskich, na cmentarzu Tunickim.

Teraz śpieszę już do hotelu, aby, o ile znalazł się przewodnik, stamtąd udać się na poszukiwanie Kamien-

nej Góry. Gdy wysiadam z marszrutki, widzę z odległości około stu metrów wysiadającego z auta i wchodzącego w bramę księdza Tadeusza Mieleśzkę. – *Ja sam będę pana przewodnikiem, gdyż nie zastałem nikogo, kogo mógłbym panu polecić* – usłyszałem. Z jednej strony mnie to bardzo satysfakcjonuje, gdyż nie wyobrażam sobie godniejszego przewodnika, z drugiej mam wyrzuty sumienia, że dla indywidualnej sprawy absorbuję zapracowanego księdza, któremu w trudnych realiach przychodzi pełnić tu obowiązki duszpasterskie.

Jest piątnasta 8 sierpnia 2004 r. Ruszamy najpierw do Szumska. Tymczasem inni członkowie naszej grupy oprócz muzeum zwiedzili także zamek na górze oraz Poczajów. Służyła im pomocą i wspinałymi opowieściami wielce zasłużona dla polskości w tych stronach 93-letnia pani o niespożytych siłach, Irena Sendzka. – *Gdy zobaczyłem naszą przewodniczkę, pomyślałem, że będziemy chyba musieli ją w krótkim czasie za sobą nosić. Po kilku godzinach zwiedzania, to raczej niejednego z nas, o wiele młodszych, trzeba byłoby nosić.* – wspominał potem ze śmiechem Wacek Ratyński. □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Ernest Banach, syn ziemi podolskiej



2 września 2004 r. wrocławski Oddział Czortków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich pożegnał Ernesta Banacha, swojego pierwszego prezesa. Stawiał podwaliny tego oddziału, był niestrudżonym jego organizatorem już od pierwszej, zorganizowanej w 1989 r. pielgrzymki do Czortkowa.

Ernest Banach, syn ziemi podolskiej, urodził się 27 marca 1923 r. w Czortkowie, w woj. tarnopolskim, w rodzinie nauczycielskiej. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w rodzinnym mieście. Tu przeżył okropności wojny – okupację sowiecką po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1939 r., a po lipcu 1941 r. okupację niemiecką i mordy ukraińskie. Po ekspatriacji w 1946 r. zamieszkał we Wrocławiu, gdzie założył rodzinę. Tu ukończył Akademię Ekonomiczną i przez wiele lat pracował w „Spółem” jako naczelnik działu rewizji gospodarczej i biegły sądowy. Został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Gdy przed 17 laty powstało we Wrocławiu Towarzystwo Miłośników Lwowa, Ernest Banach organizował w ramach tego towarzystwa Klub Czortków. Grupa Czortkowiec, skupiająca się dotychczas wokół dominikanina o. Urbana Szeremety, rozpoczęła zorganizowaną działalność. Klub Czortków, zarejestrowany w maju 1992 r., powiększał się i od stycznia 1994 r., już jako Oddział TMLiKPW Czortków, liczył blisko 100 członków. Ernest Banach, wybrany prezesem klubu, a potem oddziału, pełnił tę funkcję do 1998 r. Członkami oddziału

byli Czortkowiec nie tylko z Dolnego Śląska, ale także ze Śląska Opolskiego, Małopolski z Krakowem i Rzeszowem. Z czasem poszczególne grupy usamodzielniały się, tworząc własne kluby. Od początku zwartą aktywną grupę stanowili mieszkańcy wrocławskich dzielnic Radwanic i Brochowa. W kościele parafialnym w Radwanicach ufundowano kopię czortkowskiego obrazu Matki Boskiej Różańcowej. Organizowali tradycyjne spotkania oplatkowe i wielkanocne oraz uroczyste msze rocznicowe. Co roku, w pierwszą niedzielę września, jeździli do kościoła św. Jacka w Warszawie na ogólnopolskie spotkanie Czortkowiec przed cudownym obrazem Matki Boskiej Różańcowej, przywiezionej do Polski w 1945 r. z kościoła w Czortkowie.

Największym osiągnięciem prezesa Banacha były organizowane przez Niego wyprawy i pielgrzymki – do Czortkowa i okolic, a także do wielu znanych miejscowości na Podolu, jak Skala Podolska, Kamieniec Podolski, Chocim oraz Kołomyja, Jaremcze, Worochta i inne. Pierwszą pielgrzymkę Banach zorganizował już w lipcu 1989 r. na uroczystość poświęcenia zwróconego Polakom i przekazanego Dominikanom kościoła św. Stanisława Biskupa w Czortkowie. Na drugą pielgrzymkę do Czortkowa pojechali w październiku następnego roku Czortkowiec z całej Polski. Zawieźli wówczas do tamtejszego kościoła kopię obrazu Matki Boskiej Różańcowej Czortkowskiej. Kolejna pielgrzymka uczestniczyła w Czortkowie w uroczystym pogrzebie ekshumowanych ojców i braci Dominikanów, zamordowanych przez NKWD w 1941 r. oraz w jubileuszu 50-lecia kapłaństwa zasłużonego dla społeczności czortkowskiej dominikanina o. Reginalda Wiśniowskiego, odbudowującego kościół w Czortkowie i inne kościoły na Podolu. Wyjazdy do rodzinnego miasta Czortkowiec organizowane przez prezesa odbywały się rokrocznie, a niekiedy nawet dwa razy w roku. W czasie podróży zwiedzano świątynie,

miejsca historyczne i miejsca kaźni – zbrodni ukraińskich na ludności polskiej.

Dzięki inicjatywie i staraniom prezesa Banacha powstało w Czortkowie Towarzystwo Kultury Polsko-Ukraińskiej im. Adama Mickiewicza, a wrocławski Oddział TMLiKPW Czortków nawiązał z nim ścisłą współpracę. Oprócz darów dla kościoła, mieszkańców Czortkowa i okolicznych parafii – Rydoduby, Biały Potok, Byczkowce, Piłatkowce, Chomiakówka – objęto opieką dzieci niepełnosprawne w klasztorze Sióstr Miłosierdzia i dzieci Caritasu. Lekarze przebadali dzieci, przekazywano im leki, słodycze i zabawki. Prezes Banach zabiegał o odnowienie Pomnika Legionistów na czortkowskim cmentarzu wojskowym Obrońców Ojczyzny, poległych w latach 1918-1921.

Śp. Jadwiga Hanel (1929-2005)



Jadwiga Hanel urodziła się 29 lipca 1929 roku we Lwowie w rodzinie Karoliny i Jana Łączewskich. W bardzo młodym wieku straciła obojga rodziców i została rozdzielona z trójką rodzeństwa. Po krótkim pobycie w przytułku została zaadoptowana przez Państwo Choińskich.

Powojenne losy, tak jak i innych Lwowiaków, sprawiły, iż zamieszkała we Wrocławiu. Tu poznała o 12 lat starszego, swojego męża – Leopolda. W małżeńskiej harmonii przeżyli wspólnie ponad 50 lat doczekawszy się trojga dzieci, gromadki wnuków i prawnuków.

Jadwiga była osobą niezwykle aktywną, chętnie angażującą się w działalność społeczną.

Śp. Kazimierz Kołodziej (1936-2005)



Dnia 28 lutego 2005 r. zmarł nagle nasz Kolega i Przyjaciół z Gorzowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Był wieloletnim członkiem Zarządu, przewodniczącym Rady Chóru „Ta jo”, zaangażowany w organizację imprez artystycznych.

Urodził się 2 lutego 1936 r. w Podciemnem w pobliżu Lwowa. Na Ziemi Zachodnie jako emigrant przyjechał z rodzicami w 1946 r. Zamieszkali wówczas w Łąkowie k. Kołczyzna w powiecie sulęcińskim.

Pracę zawodową rozpoczął w 1954 r. w Zakładzie Energetycznym w Gorzowie Wlkp. Pracując ukończył Technikum Elektryczne. Przepracował jako energetyk w gorzowskim zakładzie 50 lat. Był sumiennym i wzorowym pracownikiem. Za pracę zawodową był wielokrotnie wyróżniany i odznaczany.

W 1998 r., gdy podczas jednej z pielgrzymek odwiedził groby bliskich w Czortkowie, zasłabł na cmentarzu. Doznał udaru mózgu. Z jego skutkami walczył dzielnie przez ostatnich 6 lat. Został honorowym członkiem Oddziału TMLiKPW Czortków. Życzliwy ludziom, skromny, cieszył się sympatią i uznaniem członków. Nazywany był przez bliskich Tuśkiem. Zmarł 26 sierpnia 2004 r. Został pochowany na cmentarzu Świętej Rodziny we Wrocławiu.

Pamięć o prezesa Ernesta Banachu, o Jego działalności, pozostanie na zawsze wśród członków wrocławskiego Oddziału TMLiKPW Czortków.

Cześć Jego pamięci!

Była wieloletnim członkiem Klubu Miłośników Lwowa, Klubu Emerytów i Rencistów, radną Rady Osiedla. Brała aktywny udział w życiu Kościoła organizując pielgrzymki i uczestnicząc w spotkaniach Żywego Różańca. Została odznaczona Złotą Odznaką Towarzystwa Miłośników Lwowa.

Pokonując z godnością i cierpliwością wiele nękających ją chorób, pokazała innym, jak nie tracić w obliczu choroby radości życia, dając przykład zwłaszcza chorym na cukrzycę.

Choć przeżyła osobistą tragedię – 12.01.2004 roku zmarł Jej mąż Leopold – nadal myślała o innych i do końca starała się aktywnie uczestniczyć w spotkaniach stowarzyszeń, których była członkiem.

Choroba ostatecznie pokonała ją 12.04.2005 roku. Odchodziła spokojnie i z godnością, wśród najbliższych jej ludzi, pogodzona z Bogiem.

Została pochowana na cmentarzu Grabiszyskim we Wrocławiu, wśród licznych Lwowian i Kresowian.

Otrzymał m.in. Srebrny Krzyż Zasługi (1990), Odznaką Honorową za zasługi dla województwa gorzowskiego (1978 r.), Odznaką Zasłużonego Pracownika Zakładu Energetycznego w Gorzowie Wlkp. (1986 r.), Złotą Odznaką Zasłużonego dla Energetyki (1988 r.).

W pracach na rzecz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wykazywał się dużym poświęceniem i oddaniem.

Był miłośnikiem historii Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, wykazywał duże zainteresowanie w gromadzeniu dokumentów historycznych dotyczących rodzinnej miejscowości i ich dawnych mieszkańców.

Był jednym z głównych organizatorów Zjazdu Podciemniar w Kołczyźnie i Jeziorkach w 2002 r.

W oparciu o zebrane materiały historyczne i wspomnienia rodzinne opracował rozdział pt. „Było także Podciemne” umieszczony w pracy Jana Minorowicza „Wołków-Kołczyn. Dzieje parafii i parafian” (wyd. Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archivalny nr 15, Gorzów Wlkp. 2004).

Za działalność w Gorzowskim Oddziale TMLiKPW został uhonorowany przez Zarząd Główny Towarzystwa we Wrocławiu „Złotą Odznaką TMLiKPW” (2002 r.).

Śp. Kazimierz Kołodziej został pochowany 3 marca 2005 r. na Cmentarzu Komunalnym w Gorzowie Wlkp.

W kaplicy cmentarnej zmarłego Kolegę pożegnał chór katedralny wykonując pieśni żałobne, przy grobie – chór „Ta joj” TMLiKPW – żegnał swojego Przyjaciela „Lwowskimi Madonnami”.

W imieniu Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW śp. Kazimierza pożegnał Piotr Franków – przypominając

jego zasługi dla Towarzystwa, podkreślając, że zawsze był człowiekiem prawym, uczynnym, szanującym historię i pamięć o naszych Kresach Wschodnich.

Udział w pogrzebie – obok członków TMLiKPW wzięło grono przyjaciół, kolegów i znajomych z innych organizacji kresowych i zakładu pracy.

Śp. Kazimierz pozostanie na zawsze w naszych sercach i wdzięcznej pamięci!

Piotr Franków

Śp. Waław Jerzy Mańkowski

1 marca 2005 roku zmarł w Warszawie w wieku 82 lat śp. Waław Jerzy Mańkowski, członek Światowego Związku Armii Krajowej, ppor. WP, żołnierz obrony Lwowa w 1939 roku, więzień NKWD, żołnierz Armii Krajowej w akcji „Burza” w okręgu Lwowskim oraz w Bieszczadach w szeregach 19 i 26 pp 5 dywizji o ps. Lot, Demon, żołnierz Dywizji Strzelców Karpaccich 2. Polskiego Korpusu WP formowanego w Italii i Anglii przez gen. Andersa, elew Szkoły Oficerskiej oraz Polskiej Organizacji Wojskowo-Niepodległościowej „Pogoń” w Londynie, sekretarz Koła Armii Krajowej w Nowym Jorku, adiutant Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Nowym Jorku, działacz w organizacjach kombatanckich, polonijnych oraz emigracyjnych w Anglii i Stanach Zjednoczonych, nagrodzony licznymi odznaczeniami, w tym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Urodzony w Zaleszczykach był jednym z czterech braci wychowanych na Kresach, w głębokich tradycjach patriotycznych i niepodległościowych. Najstarszy, Ryszard Kazimierz, walczył w szeregach Brygady Podhalańskiej pod Narwikiem, później był lotnikiem w dywizjonie 300 polskiego lotnictwa w Anglii (zmarł w Blackpool w 1994 roku, jego symboliczny grób znajduje się na cmentarzu w Wilanowie), Zbigniew, walczył w szeregach 5 kresowej dywizji AK pod Lwowem i nad Sanem, zmarł w 1987 roku (pochowany w Lublinie przy ul. Lipowej).

Waław Mańkowski został pochowany na cmentarzu w Wilanowie dnia 8 marca 2005 roku, po mszy świętej, która została odprawiona o godzinie 12.30 w kościele św. Anny w Wilanowie.

*Zygmunt Piotr Mańkowski
z najbliższymi*

Śp. Kajetan Petrowicz (1894-1975)



Kajetan Petrowicz urodził się w roku 1894 r. w Kutach na Kresach Południowo-Wschodnich w rodzinie ormiańskiej. Uczęszczał do Gimnazjum Kupiecko-Handlowego we Lwowie, gdzie mieszkał w burse ormiańskiej prowadzonej przez siostry urszulanki. Następnie ukończył Politechnikę Lwowską, uzyskując tytuł inżyniera budownictwa.

Wcielony do legionów Piłsudskiego jako rotmistrz, pełnił służbę wojskową do czasu, gdy jej kontynuację uniemożliwiła mu choroba płuc. Lekarz wojskowy po jej stwierdzeniu zalecił mu rezygnację

z pełnionych obowiązków i wyjazd w góry. Z tego też powodu znalazł się w Worochcie, miejscowości położonej w Karpatach Wschodnich. Tam ożenił się i wspólnie z małżonką wybudował pensjonat „Ustronie” nad Prutem, w którym przebywał do roku 1944.

W czasie wojny pobyt w Worochcie był niebezpieczny z powodu masowych mordów dokonywanych na Polakach przez bandy ukraińskie, toteż opuścił ją, wyjeżdżając transportem do Proszowic koło Krakowa. Następnie przeniósł się do Starego Sącza, gdzie pracował w Rejonie Lasów Państwowych, a potem do Muszyny k. Krynicy Górskiej.

Po przejściu na emeryturę zamieszkał z żoną Zofią w Lublinie. Tam zmarł 7 IV 1975 r.

*Córka
Krystyna Petrowicz-Szopa*

Wspomnienie o Przyjacielu



Śp. mgr Adam Leopold Rubaszewski urodził się 10 lutego 1919 r. w Stanisławowie w średnio zamożnej rodzinie. Miał dwie siostry: Adelę i Marylę oraz trzech braci. Ojciec Adasia Adolf zmarł w latach trzydziestych przed II wojną światową i został pochowany na tamtejszym cmentarzu katolickim przy

ul. Sapieżyńskiej. W trakcie likwidacji tego cmentarza przez władze sowieckie został ekshumowany i pochowany na nowym cmentarzu we wsi Czukałówka, odległej o parę kilometrów od Stanisławowa, który w międzyczasie przemianowano nadając mu dziwną nazwę Iwano-Frankiowsk.

Matka Adasia Katarzyna po ekspatriacji ze Stanisławowa w latach powojennych osiadła z pozostałą rodziną w Warszawie i tam została pochowana na cmentarzu Stare Powązki.

Adam uczęszczał kolejno do szkół stanisławowskich: Powszechnej Szkoły Ćwiczeń przy Męskim Seminarium Nauczycielskim, a następnie II Państwowego Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego (8-klasowego starego typu), gdzie w 1937 r. zdał maturę. W okresie gimnazjalnym był wzorowym harcerzem dołączając się do stopnia „ćwika”.

Po rocznym przeszkoleniu wojskowym w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 48 pp. II Dywizji Strzelców Podkarpackich w 1938 r. w Stanisławowie, dostał przydział mobilizacyjny do 53 pp. w Stryju w pododdziale zwiadowczym tankietek. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany i skierowany na front w okolice Podhala. Jako kapral podchorąży walczył w składzie 16 Dywizji Artylerii Motorowej wchodzącej w skład 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Stanisława Maczka. 7 września dostał się do niewoli niemieckiej.

Jako jeńca początkowo skierowano Adama do Oflagu X A w miejscowości Itzehoe, a następnie przeniesiono do Stalagu II A w Neubrandenburgu, skąd przeniesiono Go do pracy fizycznej w majątku Frischendorf. W listopadzie 1941 r. udało Mu się uciec do Przemyśla w Generalnym Gubernatorstwie. Tam nawiązał kontakt z Armią Krajową.

Podczas konspiracyjnych odwiedzin swej matki, leżącej w szpitalu we Lwowie, został aresztowany przez Gestapo i po przesłuchaniach zesłany 30 sierpnia 1942 r. do obozu pracy przymusowej w Pustkowie k. Dębicy. Obóz ten miał sławę podobną do sławy obozu w Oświęcimiu.

W lipcu 1944 r. obóz pustkowski był likwidowany i Adama wraz z innymi więźniami przeniesiono do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. W kwietniu 1945 r. także i ten obóz zlikwidowano, a pozostałych przy życiu więźniów, wśród nich Adama, popędzono „marszem śmierci” aż do m. Schwerin nad morzem. 2 maja 1945 r. wyzwoliła ich armia amerykańska.

W okresie pobytu w niewoli i obozach był pomocny współtowarzyszom niedoli dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego, wyuczonego w gimnazjum stanisławowskim.

Po zakończeniu wojny, długotrwałym leczeniu i powrocie do kraju w maju 1947 podjął pracę zarobkową, ukończył studia ekonomiczne w SGH w Warszawie.

Ożenił się z Wiesławą z d. Turnowską dochowując się dwóch synów, Pawła i Tomasza.

Zasłużył się środowiskom stanisławowian w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Warszawie upamiętniając tragiczne dzieje Ziemi Stanisławowskiej, gehenny na niej społeczności polskiej i żydowskiej, martyrologię nauczycielstwa polskiego oraz harcerstwa chorągwi stanisławowskiej – w publikacjach oraz tablicach pamiątkowych umieszczanych w kościołach Warszawy i Wrocławia. Przy tablicy wmurowanej w ścianę katedry wrocławskiej umieszczono ziemię umęczonego Pokucia. Corocznie, od 1982 r., w ostatnią niedzielę września zbierają się ekspatriowani stanisławowiaci z całej Polski na wspólną Mszę św. i modlitwę za dusze pomordowanych i zmarłych tam Rodaków.

Adam Rubaszewski poza pracą zawodową zaangażował się w działalność społeczną na rzecz byłych mieszkańców Ziemi Stanisławowskiej. Między innymi, wspomagany finansowo przez kanadyjską Polonię, dzięki osobistym znajomościom i kontaktom, przeniósł prochy Agatona Gillera z unicestwianego cmentarza stanisławowskiego na Stare Powązki w Warszawie i przy pomocy syna Pawła – rzeźbiarza odtworzył pomnik nagrobny podobny do stanisławowskiego.

Sporządził ewidencję stanisławowian zamieszkałych po wojnie w rejonie warszawskim, wrocławskim i opolskim. Dzięki Jego benedyktyńskiej pracy wiele rodzin stanisławowskich mogło się odnaleźć po wojennej zawierusze, powstały stowarzyszenia mieszkańców województwa stanisławowskiego.

U schyłku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia z synem Pawłem, przy pomocy miejscowych mieszkańców Stanisławowa i okolic, odnalazł osiem zbiorowych mogił, pomordowanych w 1941 r. przez hitlerowców, członków inteligencji stanisławowskiej, w większości nauczycieli, w Czarnym Lesie na stoku wzgórza Uhrynowskiego pod Stanisławowem.

Zgromadził w osobistych zbiorach szereg materiałów źródłowych i książek traktujących o Stanisławowie i Ziemi Pokuckiej.

Opracował stan nauki i nauczycielstwa w I, II i III Męskich Gimnazjach stanisławowskich w okresie 20-lecia. Służył swą wiedzą i zbiorami opracowań źródłowych, informacjami o sprawach stanisławowskich z zakresu wielu dziedzin. w 1990 r. założył w Warszawie Koło Stanisławowian.

Serdeczny i uczynny, wrażliwy na ludzką niedolę i potrzeby, prawdomówny, mądry i zrównoważony, a przede wszystkim pobożny – stanowił oparcie i wzór dla wszystkich, którzy chcieli skorzystać z Jego pomocy i porady.

Za udział w walkach z Niemcami oraz w Ruchu Oporu na terenie obozów jenieckich został awansowany do stopnia porucznika przez rząd polski na wychodźstwie, a następnie do stopnia kapitana przez władze RP. Posiadał przyznane Mu przez rząd na wychodźstwie i władze RP odznaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Polski Podziemnej, Krzyż Partyzancki, Krzyż Więźniów Obozów Koncentracyjnych, medale za udział w Wojnie Obronnej 1939 r., Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Honorową Odznakę Inwalidy Wojennego, Honorową Odznakę obrońcy Przemyśla, Honorową Odznakę Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz inne odznaczenia i dyplomy resortowe.

Zmarł 8 stycznia 2005 r. po długotrwałej chorobie, której nie poddawał się do końca życia.

Żegnany przez Żonę wraz z Synami i Synową oraz liczne grono Przyjaciół, został pochowany 14 stycznia br. w rodzinnym grobie na Starych Powązkach w Warszawie w pierwszym rzędzie w 230 kw.

Cześć Twojej Pamięci Adamie!

Stanisław Leszczyński

Śp. Leopold Świdorski (1929-2004)



Śp. Leopold przyszedł na świat 3.08.1929 r. w królewskim grodzie Iwa – na „Iwoskim Łyczakowi” i jak sam mawiał, kręcił się zawsze wokół św. Magdaleny i św. Antoniego.

W konspiracji działał w Harcerskich Hufcach Polskich pod ps. „Tarzycjusz”. Z tej działalności został zwerfiony w 1995 r., zaś od

1.01.1996 r. został członkiem zwyczajnym Koła Opolskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, gdzie pełnił funkcję członka zarządu d/s kontaktów z harcerstwem.

Za działalność konspiracyjną był uhonorowany Odznaką i Patentem Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny. W lutym 2004 r. mianowany do stopnia porucznika rezerwy Wojska Polskiego.

Pożegnaliśmy 26.12.2004 r. naszego Kolegę i Przyjaciela, człowieka dobrego serca i „szczyregu lwowianka”. Chociaż spoczął na opolskiej ziemi, niech ona mu lekką będzie, bo również piękna i polska.

Cześć Jego pamięci!

NOWE KSIĄŻKI

Szanowni Państwo,

W imieniu oficyny wydawniczej „Skonmark” pozwalamy sobie przesłać książkę zatytuowaną „Wesele na bagnach”, mając nadzieję, że uznacie ją Państwo za wartą rozpropagowania w kręgach kresowian i sympatyków Lwowa, który przewija się w utworze Piotra Szejdy.

Kanwą tej osnutej na autentycznych wydarzeniach powieści – stylem i formą adresowaną do młodszego, nierzadko niechętnego historii czytelnika – są przeżycia żołnierzy I Dywizji Pancerniej gen. Maczka, Lwowianina i dowódcę formacji, w której szeregach przeważali mieszkańcy Kresów. Wydane pod koniec ubiegłego roku „Wesele na bagnach” spotkało się z żywym zainteresowaniem wielu środowisk, w tym również kombatanckich, co dowodzi wierności opisów i treści przekazywanych w utworze. To właśnie skłoniło nas do zwrócenia się do

Państwa Towarzystwa z inicjatywą popularyzacji tej książki wśród Państwa członków, którzy, być może, odnajdą także na stronach powieści własne wspomnienia z tamtych czasów.

Niezależnie od powodzenia Państwa akcji, będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi dotyczące „Wesela na bagnach” szczególnie tych czytelników, którzy pamiętają przedwojenny Lwów.

Dla indywidualnych członków Państwa Towarzystwa wydawnictwo proponuje cenę katalogową tj. 28.- zł, która obejmuje koszty dostawy książki pocztą.

Z poważaniem

Prezes Zarządu „Skonmark” Sp. z o.o.
Miroslaw Skonieczko
87720 Ciechocinek
ul. Zielona 7

Jerzy Duda

Lektury kresowe

Wydawać by się mogło, że o „Archipelagu Gułag” napisano już wszystko, bo z jednej strony są dzieła, które weszły do kanonu klasyki literackiej, autorstwa głównie Aleksandra Solżenicyna, Warłama Szalamowa, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapkiego, czy niezwykle pamiętniki m. in. Eugenii Ginzburg, Iwana Soloniewicza, Waltera Ciszka, z drugiej strony mamy opracowania naukowo-historyczne, jak dla przykładu dostępny na naszym rynku czytelnicy „Przewodnik Encyklopedyczny. Łagry” napisany przez Nikitę Ochotina i Arsienija Rogińskiego, jest także spory zestaw pamiętników więzionych w łagrach Polaków, by wspomnieć chociażby o takich ważnych publikacjach jak: Jadwigi Zawadzkiej „Łagierniczki”, Bernarda Grzywacza „Więzień Workuty”, Janusza Sieniawskiego „Moja Kołyma” i wielu innych. Z tych wszystkich książek można zestawić wcale pokaźną bibliotekę, poszczególne pozycje opisują organizację i strukturę instytucji budujących sowiecki system obozowy, prezentują sylwetki architektów systemu, członków najwyższych władz politycznych kraju odpowiadających osobiście za sprawne funkcjonowanie systemu represji, opisują także wszystkie przejawy łagrowego życia wyznaczanego codziennym

bezprzykładnym okrucieństwem i upokorzeniem milionów ludzi, w większości przypadków bezprawnie pozbawionych wolności, a właściwie nawet nadziei na jej odzyskanie, ludzi którym odmówiono podstawowych informacji o losie ich najbliższych.

A jednak z chwilą ukazania się w księgarniach książki Anne Applebaum „Gułag” okazało się, że na temat sowieckich niewolniczych obozów pracy nie wszystko zostało powiedziane. Bo też łagry przez wiele lat były ważną częścią gospodarki ZSRR, lokowano je nie tylko na ogromnych, syberyjskich pustkowiach, w samym centrum Moskwy był także łagier! Przez łagry przeszło 18 milionów ludzi, nie licząc zmarłych, jeżeli do tego dodamy ponad 7 milionów przesiedlonych, to ogólna liczba 25 milionów ludzi wyznacza skalę zjawiska, które do historii przejdzie pod złowrogą nazwą „Archipelag Gułag”. Trudno się zatem dziwić zainteresowaniu czytelników tą problematyką i łatwo zrozumieć fakt, że „Gułag” Anny Appelbaum, który w 2004 roku otrzymał w Stanach Zjednoczonych prestiżową nagrodę Pulitzera został już przetłumaczony na kilkanaście języków, a łączny nakład dzieła przekroczył kilkaset tysięcy egzemplarzy.

Historia obozów została przez Autorkę opowiedziana w trzech częściach: „Rodowód obozów pracy 1917-1939”; „Życie i praca w obozach”; „Rozwój i upadek systemu obozowego 1940-1986”. Książka dostar-

cza ogromnej ilości informacji, cytatów z dokumentów archiwalnych i z wspomnień.

Gułag nie wziął się z niczego. Stanowił twórcze rozwinięcie carskich praktyk, bo wiekowa była tradycja wykorzystywania przymusowej pracy zesłańców i katorżników w odległych rejonach Rosji do ich gospodarczej eksploatacji. Piotr Wielki wykorzystując przymusową pracę przy budowie Petersburga osiągnął wielki sukces ekonomiczny i polityczny. A to, że tak wielu zginęło przy budowie miasta nie przeszkodziło mu stać się symbolem nowoczesności i postępu. Naturalnym sukcesorem Piotra I był Józef Wissarionowicz Stalin. Wprawdzie nie on był twórcą archipelagu, ale z jego nazwiskiem związane jest to wszystko co w tym systemie było najgorsze. Autorka zwraca uwagę, że swoistą cezurę dziejową w działalności łagrów – funkcjonujących w systemie radzieckim od 1918 roku – stanowił 1929 rok. To wtedy Stalin po pokonaniu najważniejszych przeciwników politycznych mógł poczuć się jedynowładcą, to wtedy rozpoczęła się również industrializacja i kolektywizacja. Ze wsi trzeba było usunąć opornych chłopów, równolegle, w tym czasie gospodarka potrzebowała siły roboczej do zagospodarowania nieprzebranych bogactw naturalnych z odległych i trudno dostępnych rejonów Rosji. Paradoksalnie, obozy pracy z jednej strony były miejscem pracy przymusowej, z drugiej organizowały kolonizację i eksploatację Dalekiej Północy. W ten sposób „Archipelag Gułag” powoli niósł cywilizację w dalekie tereny. Dzięki pracy więźniów bezkresne obszary Syberii, dotychczas w większości niezamieszkałe przez człowieka jak Workuta, Komi czy Kołyma przekształcały się w olbrzymie kombinaty przemysłowe. Kosztem niewyobrażalnych cierpień milionów ludzi powstawały wielkie budowle komunizmu – Magnitogorsk, Norylsk, Magadan, Komsomolsk. Z wielkich budowli Gułagu powstała dzisiejsza gospodarka Rosji rozwijająca się niemal wyłącznie dzięki nieprzebranym zasobom surowców – węgla, złota, ropy, gazu.

Warto zwrócić uwagę także i na to, że Autorka w dużym stopniu korzysta ze wspomnień Polaków, cytując często fragmenty książek m. in.: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Janusza Bardacha, Tadeusza Czerkawskiego, Lesławy Domańskiej, Jerzego Krzysztonia, Mariana Papińskiego i wielu innych. Polacy przecież stanowili potężną reprezentację narodową w dziejach archipelagu. Obszernie pisze Autorka o deportacjach Polaków z Kresów Wschodnich, według cytowanego w książce Aleksandra Gurjanowa z rosyjskiego „Memoriału” do łagrów trafiło – spośród kresowych zesłańców – 108 tysięcy osób. Możemy przeczytać także o zwalnianiu Polaków z obozów w wyniku układu Majski-Sikorski i ich wyjeździe z ZSRR. Kraj Rad, zgodnie z ustaleniami władz sowieckich mogli opuszczać tylko Polacy. Obywatelem polskim innej narodowości odmówiono tego prawa.

Książkę czyta się z nieustającym zainteresowaniem, trudno się od niej oderwać, w sposób szczególny porusza rozdział piętnasty: „Kobiety i dzieci”, jest to najpotężniejsze oskarżenie totalitarnego systemu sowieckiego, i każdy kto zapozna się z przejmującym opisem śmierci urodzonej w obozie w 1942 roku malutkiej Eleonory Volovich córki Havy, temu już nigdy nawet przez myśl nie przejdzie podejmowanie bodaj próby usprawiedliwienia tych strasznych czasów i tego najgorszego z najgorszych systemów politycznych.

Książkę wzbogaca ciekawie dobrany materiał ilustracyjny – rysunki autorstwa więźniów oraz czarno-białe zdjęcia dokumentujące pracę niewolniczą w kamieniołomach, w tundrze czy przy budowie kanałów.

Otrzymaliśmy do rąk znakomitą książkę, wzbogacającą naszą wiedzę o „Archipelagu Gułag”, kontynuującą tradycję wielkiego piarstwa poświęconego sowieckim obozom pracy, a tak naprawdę jest to dzieło o jednej z najciemniejszych kart historii XX wieku. Naprawdę warto po tę książkę sięgnąć.

Anne Applebaum: Gułag. Przekład Jakub Urbański. Warszawa 2005 Świat Książki. 678 str. □

Regulamin II Konkursu Literackiego „Kresowe Wspomnienia Podolan”

I. Cele konkursu:

Klub Tarnopolan PTTK, TMLiKPW oraz SUOZUN w Żarach ogłasza II Konkurs Literacki dla Podolan i ich Przyjaciół pragnących zachować dla przyszłych pokoleń Polaków (i nie tylko) swoje wspomnienia: przeżycia szczęśliwe i tragiczne, opisy swoich rodzin, domów, miejscowości, biogramy kresowych bohaterów (nie tylko Polaków, ale np. tych, którzy ratowali im życie), świadectwa o zbrodni ludobójstwa ukraińskiego, rosyjskiego, niemieckiego na Polakach z Podola. Bardzo poszukujemy tekstów nut podolskich pieśni i starych kresowych modlitw, opisów i ilustracji tradycji, strojów, obyczajów. Zobowiązujemy się – zgodnie z życzeniem – do zwrotu wszystkich nadesłanych na konkurs dokumentów i zdjęć. Najciekawsze prace będą opublikowane w książce i upowszechniane w bibliotekach szkolnych, publicznych i naukowych.

II. Zasady konkursowe:

1. W konkursie mogą brać udział osoby, które chciałyby ocalić od zapomnienia swoje wspomnienia, swoich bliskich i znajomych pochodzących z Podola, są związani więzami rodzinnymi z tamtejszymi mieszkańcami lub odwiedzili tamte strony, znają Podolan.

2. Organizatorzy zachęcają do przysyłania prac w formie pisemnej, wzbogaconych zdjęciami i dokumentami zawierającymi rejestrację życia codziennego, opisów losów Podola i jego mieszkańców lub refleksje nawiązujące do historycznych wydarzeń.

3. Forma prac: opowiadania, reportaże, zapis z pamiętnika, wywiad, album zdjęć, różne formy graficzne.

Objętość jednej pracy w formie czytelnej rękopisu lub wydruku (najlepiej na dyskietce komputerowej – ale niekoniecznie) – bez ograniczeń.

4. Prace należy przesłać w terminie do 17 września 2005 r. do Klubu Tarnopolan PTTK, TMLiKPW oraz SUOZUN w Żarach, ul. Broni Panczernej nr 8. Telefony kontaktowe: (068) 3743841 (Gimnazjum nr 2), (068) 3759694, (068) 4706024 (po g. 20.00), fax (068) 4791366.

5. Autorom najlepszych prac przyznane zostaną nagrody i wyróżnienia.

6. Ogłoszenie wyników konkursu i wystawa nadesłanych prac nastąpi w dniu 11 listopada 2005 r. podczas Ogólnopolskiego Sejmiku Krajoznawczego o Dziedzictwie Kulturowym Polaków Kresowych.

III. Postanowienia końcowe:

1. Na konkurs nie należy przysyłać prac wcześniej publikowanych i nagradzanych.

2. Prace nagrodzone i wyróżnione (za zgodą Autorów) mogą być publikowane.

3. Nadesłane prace stanowią będą początek Muzeum Kresowego w Żarach – o ile Autorzy wyrażą zgodę na ich przekazanie.

Zbigniew Dec – Prezes Klubu Tarnopolan SUOZUN

Mirosław Zengiel – Prezes Klubu Tarnopolan TMLiKPW

Józef Tarniowy – Prezes Klubu Tarnopolan PTTK

dr Lucyna Kulińska – Przewodnicząca Jury

VII Festiwal „Wielkie Bałakanie”

Odbędzie się w dniach 28-29 maja 2005 r. w Żarach. Jako pomysłodawca i bezpośredni organizator pięciu edycji festiwalu w Węglińcu postanowiłem zmienić jego formułę. Już VI Festiwal organizowany był w Bolesławcu i Gierałtowie. Tamtejsze środowisko kresowe i władze samorządowe Bolesławca i Nowogrodźca dostosowują to wydarzenie kulturalne do swoich oczekiwań i możliwości tamtejszych mieszkańców i w dniach 11-12 czerwca 2005 r. zorganizują „Bolesławieckie Kresowiana”, gdzie jednym z głównych punktów będzie pielgrzymka do obrazu Matki Boskiej ze Świrza w Gierałtowie. W V i VI Festiwalu „Wielkie Bałakanie” uczestniczyła duża ilość mieszkańców Żar i okolic. Uczestniczyłem w kilku „impresjach” organizowanych w Żarach przez tamtejszy oddział PTTK (z prezesem J. Tarniowym), Akcję Katolicką przy parafii pw. św. Józefa (Krzysztof Tuga) oraz obecnego prezesa klubu TMLiKPW P.M. Zengela. Na szczególną uwagę zasługują organizowane przez nich Sejmiki Kresowe, czy uroczystości związane z historią Kresów II Rzeczypospolitej. Oddział nasz powierzył tym trzem ośrodkom zorganizowanie VII Festiwalu Polszczyzny Lwowa i Kresów Pd.-Wsch. Organizatorzy przyjęli zmodyfikowaną formułę Festiwalu Polszczyzny i Pieśni Kresowej „Wielkie Bałakanie”. Mam nadzieję, że żarska edycja „Wielkiego Bałakania” będzie równie entuzjastycznie przyjęta przez tamtejsze środowisko jak i zespoły z całej Polski i będzie w przyszłości stałym wydarzeniem popularizującym dialekt, kulturę i historię ekspatriowanych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Tak więc Festiwal „Wielkie Bałakanie” stał się zacyzmem popularizującym kresową kulturę. Mam nadzieję, że VIII i IX edycja w innych miejscowościach Dolnego Śląska również przybliży innym środowiskom piękno języka i kultury kresowej. Na X edycji spotkamy się w Węglińcu. Podaję informację opracowane przez żarskich organizatorów.

Zarząd Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Północno-Wschodnich Oddział w Lesznie, będący głównym organizatorem XIII Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej „TA JOJ!” – Leszno'05 uprzejmie informuje, że wcześniej zaplanowany termin imprezy: **8-10 kwietnia br.** jest z przyczyn niezależnych od organizatorów

nieaktualny!

Imprezy towarzyszące Festiwalowi:

- Wystawy:
 - Kresy Wschodnie w książce i prasie,
 - Zbrodnia ludobójstwa OUN/UPA na Polakach kresowych w książce i prasie,
 - Działalność Klubu Tarnopolan PTTK, TMLiKPW i SUOZUN w Żarach,
 - Kiermasz wyrobów regionalnych i książek o tematyce kresowej,
 - Festyn parafialny (ze stoiskami garmazeryjnymi, ciastem i pieczywem oraz loterią fantową),
 - Rajd kolarski „Szlakiem Osadnictwa Kresowian na Ziemi Żarskiej”,
 - Konkurs Wiedzy o Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

I Przegląd konkursowy odbędzie się w dniu 28 maja 2005 r. w godz. 14.40 – 21.00 na scenie na placu przy kościele pw. św. Józefa w Żarach.

II Wykonawcy przedstawiają utwory o tematyce kresowej:

a) Soliści po jednym utworze o czasie trwania do 6 minut.

b) Zespoły i chóry przedstawiają maksymalnie trzy utwory o łącznym czasie trwania 10 minut.

c) Piosenki powinny być dostosowane do wieku i możliwości wykonawców i prezentowane w języku polskim (preferowane gwara lwowsko-podolska, wileńska).

Wszyscy wykonawcy przysyłają do dnia 15 kwietnia br. kartę zgłoszenia oraz taśmę z nagraniem prezentowanych utworów w Festiwalu Polszczyzny i Pieśni Kresowej: „Wielkie Bałakanie”. Adres komitetu organizacyjnego:

Klub Tarnopolan PTTK i TMLiKPW
Gimnazjum nr 2 w Żarach
68-200 Żary, ul. Broni Panczernej 8
tel.: 0 68/374 96, 374 96 94, 374 38 41, fax 479 13 66
Festiwal „Wielkie Bałakanie”

Alfred Janicki

Ww. festiwal odbędzie się w dniach **23-25 września br.**, a termin składania nowych zgłoszeń do 10 września br.

Za powstałą zmianę, w imieniu organizatora oraz współorganizatorów serdecznie przepraszam.

Janusz Ragankiewicz – prezes

Gdzie kupić „Semper Fidelis”

Przypominamy mieszkańcom Warszawy i okolic, że pismo „Semper Fidelis” jest do nabycia w Galerii Myśliwskiej Elite Expeditions przy ulicy Tarczyńskiej 1, której właścicielką jest Iwówianka p. Izabela Malec, tel. (022) 8245969.

Informujemy także PT Czytelników „Semper Fidelis” we Wrocławiu i okolicy, że nasze czasopismo sprzedawane jest w księgarni „Ossolineum”, która obecnie – po przeniesieniu z Rynku – znajduje się przy ul. Kółkająca 16 (w pobliżu Dworca Głównego PKP).

Errata do nr. 1 (84) / 2005

Str. 31, pr. szp., 9 wiersz od góry oraz str. 31. lewa szp., 19 wiersz od góry – jest Balawander, ma być Balawejder.
Str. 49, autorką wspomnień jest Bożena Krupska.
Str. 7, lewa szp., 23 wiersz od góry – jest Adam Popiel, ma być Antoni Popiel.
Redakcja przeprasza za błędy.

Contents

Zdzisław Kuhl – Epitaph on the death of our Holy Father John Paul II	1
Danuta Nespiak – Greatness, holiness and silence of John Paul II	2
Czesław Miłosz – "We come to You" – a poem	4
Iwo Werschler – 60th anniversary of our bitter "victory" in World War II	5
Jan Woźniak – My grandfather's ways to Poland (II)	7
Aleksander Smoliński – Without "Fire and Sword". Sentimental journey across independent Ukraine in search of traces after the former Republic of Both Nations (II)	9
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Bojko villages in the East Bieszczady Mountains	13
Władysław Stażka – Former and recent recollections. Sixty years of teaching medicine in Lublin (I)	16
Tadeusz Ulrych – My curriculum vitae and war fates (I)	20
Jadwiga Niedzielska – My Lwów school recollections	23
Mariusz Oberc – Tragic 1944 Easter at village Wolków near Lwów	27
Zbigniew Umański – Borderland Diary	29
Alicja Zbyryt – There is a city named Lwów – now it is not forbidden to remember it... ..	33
Alicja Zbyryt – "Borderland rhymes" – a competition at Brzeg	35
Piotr Franków – 65th anniversary of East Borderland Poles deportation deep into the Soviet Union	36
Jan Arski – Christmas meeting and election at the Piła section of Lwów Lovers Society	36
Stanisław Czerkas – Scientific conference on "The role of eminent Polish women in development of science, education and culture at Polish emigration centres in West Europe" organized by the association "Polish Commonwealth" in Opole	37
Zbigniew Abram – 60th anniversary of expatriation of the Obertynians displaced to village Sobociska near Wrocław	37
Maria Janowska – Childhood memories of our family's deportation to Siberia (I)	41
Alfons Soczyński – Across the former Polish East Borderland – Krzemieniec	44
OBITUARY COLUMN	
Ernest Banach (1923-2004)	46
Jadwiga Hanel (1929-2005)	47
Kazimierz Kołodziej (1936-2005)	47
Wacław Jerzy Mańkowski	48
Kajetan Petrowicz (1894-1975)	48
Stanisław Leszczyński – Recollection of my Friend, the late Adam Leopold Rubaszewski	48
Leopold Świdorski (1929-2004)	50
NEW BOOKS	
Mirosław Skonieczko – Promotion of Piotr Szejda's book "Wedding on swamps"	50
Jerzy Duda – Borderland reading matters	50
II and Literary Competition for "Borderland Recollections of Podolians". Regulation	51
Alfred Janicki – VIII Festival „Wielkie Bałakanie” at Żary	52
Errata	53

Lista Ofiarodawców w miesiącach II-III 2005 r.

- | | | | |
|---|-------|---|-------|
| 1. Jadwiga Woźniak, Żagań,
na wydawnictwo | 65.- | 6. Adam Nikorowicz, Dębica,
Cm. Orł. Lw. | 20.- |
| 2. Elżbieta i Andrzej Poraj-Malina, Warszawa,
na wydawnictwo | 200.- | 7. Mieczysław Wilczyński, Katowice | 90.- |
| 3. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice,
Cm. Orł. Lw. | 50.- | 8. Witold Gaca, Wrocław,
pomoc dla kresowian | 200.- |
| 4. Michał Michalczyzyn, Łobez,
na wydawnictwo | 50.- | 9. Kancelaria Notarialna Waldemar Dawidowicz,
Wrocław, pomoc dla kresowian | 150.- |
| 5. Bronisław Więckowski, Kobyłka,
pomoc dla kresowian | 300.- | 10. Edward Zgud, Wrocław,
pomoc dla kresowian | 100.- |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Plenery, aukcje, pomoc Rodakom na Kresach

W marcu br. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” zorganizowała kolejny, tygodniowy, tym razem zimowy II Międzynarodowy Plener Malarski „Karpacz 2005” w stolicy zimowej Dolnego Śląska. Uczestniczyli w nim artyści-plastycy z Ukrainy – Włodzimierz Łobuń ze Lwowa, Halina Lebediewa z Tarnopola oraz artyści wrocławscy – Barbara Gulbinowicz, Maria Rowdo i Stanisław Przewłocki. Tematem wiodącym pleneru były zimowe górskie pejzaże.

Artystów gościł pensjonat „Juhaszówka” w Karpaczu, kuratorem pleneru był Jerzy Tandecki.

Obrazy namalowane podczas pleneru trafiły na kolejną aukcję sztuki, zorganizowaną przez Fundację Kresową „Semper Fidelis”, która tradycyjnie odbyła się w marcu w „Dworze Polskim” we Wrocławiu. Oprócz prac poplenerowych licytowane były także obrazy, ceramika i szkło artystyczne ofiarowane przez profesorów i studentów wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych na Akcję Pomocy Wielkanocnej Rodakom za wschodnią grani-

cą. Dochód z aukcji przedstawiciele Fundacji zawieźli do Lwowa, gdzie go rozdzielono najbardziej potrzebującym.

Podczas pobytu we Lwowie przedstawiciele Fundacji złożyli wizyty w Konsulacie Generalnym RP, Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, spotkali się także z prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie doc. Ewelina Hrycaj-Małanicz, która opiekuje się członkami TKPZL w starszym wieku – mówiono o potrzebach dla zapewnienia im lepszej opieki. Odwiedzili również znaną seniorkę lwowską p. Janinę Zamojską. W związku z planowaną konferencją „Artystyczny Lwów”, nawiązano kontakty z Uniwersytetem i Politechniką Lwowską.

W sierpniu br. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”, wspólnie z Lwowskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizuje we Lwowie kolejny międzynarodowy plener malarski. Dochód ze sprzedanych prac poplenerowych zasili Fundusz Pomocy Rodakom na Kresach.

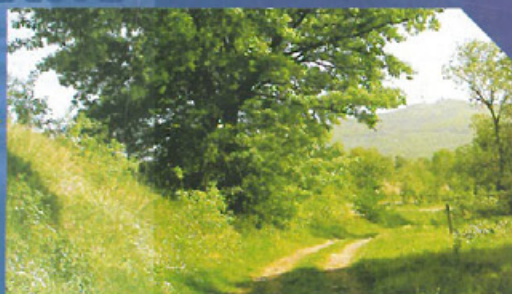
U.Z.

Naturalna woda źródłana z dostawą do KLIENTA! Zalecana również dla dzieci i niemowląt.



WODA BONART Naturalna Woda Źródłana

➔ **PIERWSZA WODA GRATIS!**



WODA BONART jest jedną z niewielu wód w Polsce, która spełnia wymogi nie tylko polskich norm, ale również rozszerzonych norm Unii Europejskiej i jest eksportowana do Niemiec.

Biuro Handlowe: 54-104 Wrocław, ul. Maślicka 211 c, tel. +48 71 354 04 49
www.Woda.BonArt.com.pl e-mail: woda@woda.bonart.com.pl



Woda posiada ocenę PZH nr HU/71/99